www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 24 (1014)
10-16.06.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

Premier stracił cierpliwość do Jędryska

Zbigniew Karaczun
Może przestać padać deszcz

Krystyna Gucewicz
Piszę, bo lubię

Koniec szkolnych wycieczek do McDonald's

KRAJOBRAZ PO BITWIE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 2531abbe

UDOSTĘPNILIŚMY RELACJĘ ZE SPOTKANIA AUTORSKIEGO!

Obejrzyj dyskusję na **www.tygodnikprzeglad.pl**

YouTube

MIĘDZY MOSKWĄ A WARSZAWĄ

OD ALEKSANDRA I DO PUTINA

Zbiór prac profesora Andrzeja Walickiego na temat filozofii, historii i polityki Rosji dawnej, XIX- i XX-wiecznej, ale i dzisiejszej – Rosji Putina, oraz stosunków polsko-rosyjskich.

Przegląd **NOWA KSIĄŻKA**

67 zł

Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3, lok. 7.
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość dostawy kurierem InPost – 14,90 zł.

eprasa.pl 2531abbedc

CYTATY

DONALD TRUMP,
prezydent USA
Zawsze się wykazywało jakieś straty dla wydziału finansowego, żeby zapłacić mniejsze podatki. Robili to prawie wszyscy deweloperzy.
„Forum"

JANUSZ ROLICKI,
reporter, komentator
Teraz potrzeba zbiorowego aktu nieposłuszeństwa, dokuczliwego dla władzy.
„Dziennik Trybuna"

BARTOSZ ARŁUKOWICZ,
europoseł PO
Byłem w koalicyjnym rządzie i wiem, jak trudno jest wypracować kompromis między dwiema partiami, a co dopiero pięcioma.
„Polska The Times"

GRAŻYNA TORBICKA,
dziennikarka filmowa
Życie sprawdza mnie, a ja sprawdzam życie.
„Viva!"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Do sukcesu bez balastu

„Płytko wiosłujesz", pisze kolega ze studiów rozczarowany tezą, którą postawiłem tu tydzień temu – że przed październikowymi wyborami nic jeszcze nie jest przesądzone. Za cztery miesiące będziemy znali wyniki wyborów. A o tym, jakie one będą, w znacznej mierze zdecydują wydarzenia z najbliższych kilkunastu tygodni. Jeśli stara-nowa Koalicja powtórzy tak niemrawą kampanię, jaką nam pokazano przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, to wynik wyborów jest jednak przesądzony. Jeśli po okręgach zostaną poupychani spadochroniarze bez szczególnych talentów, ale dobrze widziani przez liderów partii, wyborcy pokażą im plecy. Czy to kogoś dziwi? Wynik Koalicji przy takich numerach jak ten w Wielkopolsce, gdzie jedynym miejscowym kandydatem był Waldemar Witkowski, szef Unii Pracy, jest i tak rewelacyjnie dobry. Gdyby standardem w Koalicji była taka kampania, jaką prowadzili posłanka Elżbieta Łukacijewska i poseł Bartosz Arłukowicz, efekty byłyby inne. Niestety, zapowiada się, że na listy wepchną się koledzy kolegów, ambicjonerzy, startujący po raz kolejny, zawsze bez sukcesów. Bo są po prostu niewybieralni.

Zaspokojenie sprzecznych interesów tych bytów politycznych, które albo ledwo zipią, albo są bez znaczenia, jest nierealne. Stara metoda budowania list do parlamentu drogą ucierania wybujałych ambicji ludzi, których trzeba podpierać, bo sami niewiele wkładają do wspólnego kotła, jest najprostszą drogą do klęski.

W obecnej sytuacji opozycji będzie to sabotażem albo głupotą. Nie jestem naiwny i wiem, że tak buduje się własne zaplecze polityczne. Ale wiem też, że przegranym liderom zamiast tłumu klakierów zostaje garstka najwierniejszych. Głównie ci najmniej zdolni, mający marne szanse, by egzystować samodzielnie. Dawno temu przekonał się o tym, i to nieraz, Jarosław Kaczyński. Wystarczy spojrzeć na jego starą gwardię z Porozumienia Centrum. Jaki potencjał intelektualny mają ci, którzy go nie zdradzili?

Wygrali los na loterii. A za wierność dostali stanowiska, na które kompletnie się nie nadają. Bo kto władzy zabroni rozdawać posady?

Słyszę od działaczy PiS, że wynik jesiennych wyborów jest przesądzony. Bo z taką Koalicją nie mogą przegrać. Z taką, jaka jest, pewnie nie przegrają. Ale czy Koalicja nie może działać mądrzej, pracowiciej, bardziej pomysłowo? Czy w opozycji nie ma ludzi, na których wyborcy chętnie zagłosują?

Na dobry początek proponuję odesłać do rezerwy paru ludzi. Nie zrobili nic dobrego. I nie zrobią. Są balastem, a nie napędem.

BĄKOWSKI

PRZEGLĄD do bibliotek

Drodzy Czytelnicy, od ponad trzech lat dzięki Waszej hojności kilkadziesiąt bibliotek otrzymało prenumeratę naszego tygodnika. Dzięki Wam setki nowych osób miało kontakt z PRZEGLĄDEM. Niestety, prenumeraty już się kończą, a wiele bibliotek nie ma wystarczających środków na ich kontynuację. Musimy im pomóc.

Zainteresowanych wsparciem prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka". Można też wskazać konkretne miejsce, do którego ma trafić prenumerata. Dziękujemy, każda złotówka ma znaczenie!

Fundacja Oratio Recta
Nr konta:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 2531abbedc

W NUMERZE

KRAJ

8 **Jesienią każdy wynik jest możliwy**
– rozmowa z prof. Jarosławem Flisem

11 **Rząd odbija gospodarkę surowcową**
Jędrysek przegrał starcie z premierem

14 **Znikające PKS-y**
Pisowska ustawa nic nie da

17 **Szkoła na widelcu**
Nie nagradzajmy dzieci fast foodem

26 **U nas takie rzeczy się nie zdarzają**
Wieś nie wierzy w molestowanie

44 **Dziennik pani z marketu**
Dla emeryta tylko najgorsza praca

ZAGRANICA

20 **Jak pokonać Nigela Farage'a**
Brytyjski establishment w opałach

24 **Wielki Cenzor Facebook**
Z czym walczy Zuckerberg

38 **Pamięć o Darnicy**
Ukraińska młodzież czci polskich żołnierzy

58 **Kubańska fiesta**

OPINIE

30 **Jakub Dymek**
Polska Polsce nierówna

HISTORIA

34 **Powojenne przemiany w Polsce – fakty i mity**
Kraj trzeba było budować, nie burzyć

EKOLOGIA

40 **Może przestać padać deszcz**
– rozmowa z prof. Zbigniewem Karaczunem

KULTURA

48 **Piszę, bo lubię**
– rozmowa z Krystyną Gucewicz

52 **Qulturalia**

66 **Świat nieograniczonej inwencji twórczej**

ZDROWIE

54 **Medycyna alternatywna: wiedza czy pseudowiedza?**

NOWE TECHNOLOGIE

60 **Klient cyfrowy, niewolnik zakupów**
Jak firmy nas śledzą

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Do sukcesu bez balastu

23 **Roman Kurkiewicz**
4 czerwca, czyli kapitalizm bękart Solidarności

33 **Tomasz Jastrun**
Spotkania z czasem

37 **Ludwik Stomma**
Księżniczka Anna spadła z konia

51 **Edward Mikołajczyk**
Czy gargulec da radę

17
KRAJ

SZKOŁA NA WIDELCU
Nie nagradzajmy dzieci fast foodem

20
ZAGRANICA

JAK POKONAĆ NIGELA FARAGE'A
Brytyjski establishment w opałach

48
KULTURA

PISZĘ, BO LUBIĘ
– rozmowa z Krystyną Gucewicz

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FOTOLIA, KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 2531abbedc

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

MOBBING – trucizna w małych dawkach

PANGEA – restauracja bez szefa

Śmierć pilarza bez odszkodowania

Z domu dziecka do noclegowni

Krótkowzroczność Schetyny i Tuska

Przysłuchuję się komentarzom polityków PO na temat wyników wyborów do PE, słucham o scysji panów Schetyny i Tuska i widzę jak na dłoni, o co ludziom w PO tak naprawdę chodziło. Gdyby rzeczywiście dla dobra Polski chcieli odsunąć PiS od władzy, cieszyliby się, że mimo uruchomienia potężnej machiny propagandowej, mimo rozdania ogromnych kwot, różnica pomiędzy PiS a stroną proeuropejską jest znikoma. Politycy PO ignorują jednak zupełnie wynik Wiosny, choć przecież na ten ruch głosowali wyborcy o podobnych zapatrywaniach, a politycy przez nich wybrani będą w Parlamencie Europejskim głosować podobnie jak ci, którzy weszli do niego z list PO. Jednak Schetyna, Tusk i inni patrzą tylko na swoje 38% i na 45% PiS i opowiadają o klęsce. Widać z tego, że chodziło im wyłącznie o władzę i stanowiska dla siebie, a przy takiej perspektywie różnica między obiema partiami jest rzeczywiście spora. I jak tu być optymistą?

Ewa Królikowska

Ciemna noc w muzeum

Żołnierz ze skrzypcami

Czytając artykuł „Ciemna noc w muzeum" (PRZEGLĄD nr 22), myślami wróciłem do przeszłości. Był rok 1945. Miałem wówczas 20 lat. Zobaczyłem przechodzącego pod oknami naszego domu żołnierza radzieckiego. Pan dyrektor Muzeum II Wojny Światowej powiedziałby: bolszewickiego. Młodziutki. Wytrzeszczyłem oczy: niósł skrzypce. Przechodząc, zauważył mój fortepian. Zapytał: *Kto igrajet na etom rojale?* Odpowiedziałem: *Ja niemnożko*. On na to: *Togda poprobujem*. No i graliśmy. Widocznie jakoś poszło, bo mówi: *Haraszo. Tiepier pajdiom w bolnicu*. Ja przestraszony: po co do szpitala? A on wyjaśnił, że zagramy chorym żołnierzom. Było tam jakieś pianino i graliśmy. Potem żołnierz odprowadził mnie do domu i rozstaliśmy się serdecznie. A pan, panie dyrektorze, chyba zdaje sobie sprawę, że bez tych „bolszewików" mógłby pan teraz okopywać kartofle u bauera.

Jacek Jaroński, Kielce

Powód „zaćmienia umysłów"

Wstydliwy doktor

W rubryce „Przebłyski" (PRZEGLĄD nr 23) na końcu notki „Wstydliwy doktor" brakuje sporego fragmentu tekstu. Mianowicie końcowe zdanie: „Może na zaćmienie umysłów wpłynęła kasa nieprzyzwoicie bogatego Maxwella?" powinno kończyć się tak: „…dzięki której mógł sobie pozwalać na wydawanie w języku angielskim tomów przemówień ówczesnych przywódców krajów socjalistycznych, m.in. przemówień gen. Jaruzelskiego". Dopiero takie zakończenie wskazuje powód „zaćmienia umysłów" w 1988 r.

BBOS

ZDJĘCIE TYGODNIA

Amerykański weteran II wojny światowej Tom Rice (z przodu) podczas obchodów 75. rocznicy lądowania aliantów w Normandii.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2531abbedc

53% seniorów ma pozytywne nastawienie do życia, a 20% zdecydowanie pozytywne (badania ARC Rynek i Opinia).

Wojciech Raczuk, emerytowany milicjant, który **stracił zdrowie postrzelony w pogoni za bandytą i któremu pisowska ustawa obniżyła emeryturę do 854 zł, wygrał w sądzie sprawę o przywrócenie mu poprzedniego świadczenia.**

Bez wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka niewinny mieszkaniec Gdańska, który w 2011 r. został wielokrotnie brutalnie pobity przez policjantów, bo pomylili go z inną osobą, **nie doczekałby się sprawiedliwości.** Wcześniej Prokuratura Apelacyjna w Gdańsku umorzyła postępowanie. **Ofiara policji dostanie 25 tys. zł zadośćuczynienia.**

Krystyna Janda została uhonorowana medalem „Za mądrość obywatelską" przyznawanym przez miesięcznik **„Kraków"** za szczególne zasługi i odwagę w obronie zasad demokracji i społeczeństwa obywatelskiego.

Firma Newag, producent pociągów z Nowego Sącza, **sprzeda 11 elektrycznych składów Impuls II włoskiemu przewoźnikowi z Bari.** Będą to pierwsze polskie elektryczne składy do przewozu pasażerów dopuszczone do ruchu w Europie Zachodniej.

33% polskich kierowców wysyła SMS-y w czasie prowadzenia samochodu.

Prof. Jerzy Miziołek, dyrektor Muzeum Narodowego powołany przez wicepremiera prof. Glińskiego, **przez pół roku urzędowania narobił tyle głupot, że dalsze trzymanie go na posadzie urąga rozumowi.** W prowadzeniu tej ważnej placówki pomagają mu były zastępca komendanta policji w Warszawie i były komendant komisariatu rzecznego.

Bp Jan Piotrowski spowodował, że **diecezja kielecka była jedyną, która nie zapoznała wiernych z listem Rady Stałej Episkopatu** po filmie braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu".

Zofia Klepacka, sportsmenka, która w ostatnim czasie wyróżnia się atakami na mniejszości seksualne, **straciła tytuł honorowego członka Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.** Kombatanci uznali, że była to samowolna decyzja jednego z prezesów.

Rolnicy i ogrodnicy za swoje produkty: warzywa i owoce, **dostają od 14 do niecałych 50%** końcowej ceny w pięciu sieciach handlowych: **Auchan, Biedronka, Carrefour, Lidl i Tesco.**

Ponad 2 tys. żołnierzy zrezygnowało ze służby w Wojskach Obrony Terytorialnej w ciągu dwóch lat od powstania tej formacji.

PRZEBŁYSKI

Emilewicz ze słomą w szpilkach

Można być z Krakowa. Znać języki i jak Jadwiga Emilewicz być protegowaną wicepremiera Gowina. Ale szpilek lepiej nie zakładać. Bo wyłazi z nich słoma. Minister przedsiębiorczości i technologii w rządzie PiS ma takie podejście do ludzi, że może być wizytówką „Soku z buraka". Jeśli ktoś z tak malutkimi osiągnięciami jak Emilewicz robi cyrkowy numer z dr Alicją Adamczak, panią prezes Urzędu Patentowego RP przez prawie 18 lat, to wypada z obiegu cywilizacji łacińskiej. Emilewicz powinna wylecieć już wtedy, gdy wycięła numer, nie przychodząc na obchody 100-lecia Urzędu Patentowego. Z całego świata przyjechali najważniejsi ludzie z branży, a Emilewicz, której ten urząd podlega, strzeliła focha i nie przyszła. Dr Adamczak została zaproszona do resortu, gdzie dostała jakieś odznaczenie. A w drugim pokoju zwolnienie. Po tylu latach świetnej pracy i służby państwowej. Premierze Gowin, hadko jakoś.

Sakiewicz z kablami. I PIT-ami

Mamy apel Tomasza Sakiewicza z „Gazety Polskiej", by czytelnicy jego tygodnika przyszli na proces, jaki wytoczył pismu Włodzimierz Cimoszewicz po serii obrzydliwych kłamstw na temat zdewastowania leśniczówki, którą wynajmował od Lasów Państwowych. Sakiewicz wzywa czytelników, by na rozprawę przyszli z kablami. Zwolennicy Cimoszewicza wybierają się z plakatami: „Sakiewicz, ujawnij PIT-y. Swoje i rodziny!". Bo nawet w PiS krążą legendy na temat jego zarobków.

Wolni od prawdy

Jeśli 30 lat to dla „Gazety Wyborczej" zbyt mało, by pisać choć trochę obiektywniej o wyborach 4 czerwca, trudno się dziwić, że historia w mózgach prawicowych manipulatorów jest czarną dziurą. W „Ale Historia" czytamy, że „zwycięstwo było pełne", a „komuna na deskach". Teraz budujemy kapitalizm.
Gdyby wszystko było wtedy zero-jedynkowe, to jakim cudem już cztery lata później ludzie ze starego porządku wygraliby z ekipami Solidarności? W wolnych wyborach. I to miażdżąco! Nasza rada dla mądrali z „GW": piszcie prawdę. Bo prawda wyzwala umysły.

Ludzie Trumpa w Warszawie

Patrzymy na radosną facjatę prezydenta Dudy i sami się radujemy. Taki miękki masochizm. Bo wiemy, że za chwilę palnie coś bez sensu. Przy okazji rocznicy wyborów 4 czerwca Duda rzekł, że wówczas odrzucono ludzi Moskwy. Miałoby to sens, gdyby tę myśl rozwinął. I powiedział, że teraz rządzą u nas ludzie Trumpa. Tego od łapania za cipki i wielokrotnych bankructw na koszt amerykańskich podatników. Pasuje do Dudy jak ulał.

FOT. WWW.PREMIER.GOV.PL, YOUTUBE, FACEBOOK.COM/IMGFLIP

eprasa.pl 2531abbedc

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy opozycja ma rezerwy przed październikowymi wyborami?

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA,
politolożka, UW

Myślę, że ma pewne rezerwy. Świadczy o tym choćby frekwencja w wyborach samorządowych, a zwłaszcza to, że nawet wtedy niemal połowa z nas nie poszła do urn. Pytanie, czy opozycja ma rezerwy intelektualne – nowe idee i pomysły. W tej kwestii dużo będzie zależeć od tego, czy pójdzie do wyborów w jednym bloku, czy w dwóch lub trzech. W tym pierwszym przypadku będzie jej dużo trudniej sformułować spójną propozycję dla wyborców. Drugi wariant ułatwi to zadanie, ale znacznie utrudni odsunięcie PiS od władzy, jednak nadal nie będzie to niemożliwe.

SEBASTIAN WIERZBICKI,
SLD

Aby je uruchomić, każda z partii wchodzących w skład ewentualnej koalicji musi zrobić wszystko, by przekonać swój elektorat, że takie porozumienie jest koniecznością, żeby odsunąć PiS od władzy. Podstawowym narzędziem do tego celu jest przekonująca propozycja programowa, dzięki której Polacy odczują, że opozycja potrafi rozwiązać ich rzeczywiste problemy, a nie mówi o sprawach sprzed 30 lat, takich jak Okrągły Stół. PiS obiecuje konkrety i – co najważniejsze – je realizuje, mimo że są kosztowne dla nas wszystkich. Koalicja musi pokazać, że nie odbierze społeczeństwu tego, co dał obecny rząd, a dodatkowo zajmie się innymi sprawami, które są dla ludzi ważne.

DR KRZYSZTOF POSŁAJKO,
filozof, UJ

Opozycja, jak się wydaje, osiągnęła szczyt swoich obecnych możliwości wyborczych. W wyborach do europarlamentu nie zadziałały ani pomysł szerokiego bloku od Leszka Millera po Romana Giertycha, ani próba obejścia centrum od lewej strony (niezbyt imponujący wynik Wiosny i katastrofa Razem). W tej sytuacji hegemonia PiS wydaje się chwilowo niezagrożona. Nie zapominajmy jednak, że kilka lat temu to hegemonia PO wydawała się niepodważalna, a PiS zderzało się ze szklanym sufitem w okolicach trzydziestu kilku procent poparcia. Wystarczyła błyskotliwa kampania prezydencka Andrzeja Dudy, by sytuacja się odwróciła. Być może więc tym, co opozycja może jeszcze zrobić, jest próba nowego otwarcia w eksponowanych medialnie kadrach.

CZYTELNICY PRZEGLĄDU
Jan Kochanowski

Jeżeli w budżecie są rezerwy, to opozycja ich nie ma. Teraz, niestety, jest czas PiS. Czy PO już zrozumiała, gdzie tkwił jej błąd? Nie słyszałem, żeby Tusk głośno powiedział: 30 lat budowaliśmy dobrobyt kosztem najbiedniejszych i wykluczonych. Oszczędzaliśmy na ochronie zdrowia, stawaliśmy na baczność przed biskupami. Nie powiedział tego, więc nie wiemy, czy już to wiedzą.

Maciej Lichaczewski

Opozycja ma rezerwy przed wyborami. Na razie jednak nie prezentuje żadnego pozytywnego i spójnego przekazu dla ludzi myślących, choć tyle tematów jest na wyciągnięcie ręki: służba zdrowia, edukacja, niska płaca minimalna, niskie emerytury itd. Już nie mówiąc o reformie podatkowej, tak aby ludzie majętni dokładali odpowiednio więcej do budżetu państwa. Lewica zaniedbała elektorat pracowniczy, co PiS po mistrzowsku wykorzystało, zapewniając większe świadczenia socjalne.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 2531abbedc

Jesienią każdy wynik jest możliwy

Wsparcie dla PiS jest warunkowe. Nie wynika z jakiejś głębokiej wiary w ideologię

Rozmawia Robert Walenciak

Co pokazały wybory europejskie? Że PiS idzie w górę?

– Do tej pory PiS było partią o najbardziej równym poparciu, niezależnie od stereotypów. A w tej chwili wyraźnie pnie się w mniejszych miejscowościach, natomiast leciutko spada w większych. Tak było przynajmniej w tych wyborach.

Dlaczego tak się dzieje?

– Składa się na to wiele przyczyn. Moja hipoteza wynika z osi podziałów na scenie politycznej. Jeszcze parę lat temu dominował tradycyjny podział lewica-prawica. Lewica mówiła: wspólnota, państwo są dobre w ekonomii, a w obyczaju – nie. Natomiast prawica mówiła, że wspólnota jest dobra w obyczaju, ale w ekonomii – wręcz przeciwnie. Teraz w to miejsce wszedł inny podział, ja go nazywam góra-dół. Otóż dół mówi: wspólnota jest dobra w obyczaju i w ekonomii, a góra odpowiada: wspólnota nie jest nam potrzebna ani w obyczaju, ani w ekonomii.

I wspólnota wygrywa.

– Wspólnota nie jest potrzebna tym, którzy sobie radzą lepiej niż średnio. Tylko że oni z definicji są w mniejszości. I to jest kluczowy problem. Zwłaszcza że w sporej części uważają, że radzą sobie lepiej niż średnio dlatego, że są mądrzejsi i bardziej racjonalni. W ten sposób wypełniają podział na Polskę racjonalną i radykalną, o której mówił Bronisław Komorowski, i wiemy, jak to się skończyło.

Ale był czas, że chętnie to kupowano.

– Takie określenie podziału działało, kiedy PiS było takie jak w roku 2007, kiedy odpychało od siebie tych umiarkowanych. Potem, po Smoleńsku, mieliśmy wypchnięcie kolejnej transzy. I tak było aż do wyborów europejskich w 2014 r. Do tego czasu wydawało się, że PiS jest partią niewygrywalną, a Platforma miała taką przewagę, że Tusk mówił, że nie ma z kim przegrać. Wiadomo jednak, że gdy ktoś mówi, że nie ma z kim przegrać, to porażka jest już blisko.

JAROSŁAW FLIS
– socjolog, profesor UJ, badacz komunikowania politycznego i zachowań wyborczych. Autor książki „Złudzenia wyboru" – obszernego studium praktycznego działania polskiej ordynacji sejmowej.

Sygnalizowały to wybory europejskie w 2014 r.?

– Tamte wybory powinny być dla PO kubłem zimnej wody. PiS wtedy przeprosiło się z Ziobrą i Gowinem. Z kolei Platforma zaczęła amputację swojego prawego skrzydła. Do tego mieliśmy jeszcze słabnięcie lewicy, która przestała być dla PO punktem odpychania, a zaczęła być potencjalnym punktem oparcia. I to już kompletnie przechyliło szalę na stronę PiS, zwłaszcza że po odcięciu prawego skrzydła PO próby przeszczepienia w to miejsce Giertycha i Michała Kamińskiego zakończyły się niepowodzeniem. Nie przyjął się ten przeszczep.

A Gowin w PiS się przyjął.

– Też nie bez problemów. Ale go zaakceptowano. I to było opłacalne. A przede wszystkim PiS otworzyło się na pokolenie 30-, 40-latków. Im różne rzeczy w tej partii się nie podobają, mimo wszystko zaciskają zęby i głosują. Część nasącza się tym pisowskim sposobem myślenia, a część próbuje robić swoje w tych okolicznościach, które są. Do wyboru mają to, co się dzieje po drugiej stronie, a to dla nich nie jest specjalnie zachęcające. Ostatnio kolega sprzedał mi dowcip, *à propos* brexitu, ale bardzo dobrze się nadaje także do sytuacji w Polsce. Otóż w Izraelu na ulicy spotykają się Mosiek z Ickiem. Mosiek mówi: – Icek, ja muszę stąd emigrować, są po temu dwa ważne powody. – Ale jakie? – Pierwszy: nasz rząd prowadzi kraj ku przepaści! – Ale wiesz, idą wybory, opozycja może przejąć władzę… – I to jest właśnie ten drugi powód.

Co się stało z Platformą?

No właśnie… Co się stało z PO?

– Donald Tusk miał przewagę komunikatywności nad Jarosławem Kaczyńskim, miał słuch społeczny. Jak się popatrzy na PO i PiS, to również osoby, które ściągał, miały przewagę nad tymi, które towarzyszyły Jarosławowi Kaczyńskiemu. Ale później zaczął robić bonsai – przycinać tych, którzy mu przeszkadzali: Gowina, Zdrojewskiego.

Koalicja Europejska miała dużo więcej spadochroniarzy niż inni.

A wywyższać tych, którzy mu nie zagrażali.

– Przyszła Ewa Kopacz… Tak to wszystko się robiło. I teraz jest Schetyna, który chce robić bonsai tak samo jak Tusk, tylko bardziej. Opowiadam to, żeby podkreślić, że kiedyś Platforma miała potencjał.

Co to znaczy?

– Najlepszym tego przykładem jest afera wałbrzyska związana

eprasa.pl 2531abbedc

z kupowaniem głosów w wyborach w 2010 r. Kupował je prezydent miasta Piotr Kruczkowski. W rezultacie ustąpił i doszło do przyśpieszonych wyborów. Wydawało się, że w takiej sytuacji opozycja powinna roznieść Platformę w pył. Ale PO sięgnęła po menedżera, dyrektora miejscowego szpitala, który wygrał w cuglach, miał 60% poparcia. Wtedy Platforma miała taki potencjał, że przyciągała tego typu ludzi. Zresztą Mateusz Morawiecki jest tu przykładem. PO mogła po niego sięgnąć i on się z nią umawiał, różne rzeczy sobie z nią obgadywał. Teraz wygląda na to, że ten potencjał straciła. Relacje wewnętrzne ją zdegenerowały.

Teraz było to widać na przykładzie całej Koalicji Europejskiej. Na początku można było myśleć, że takich dziwactw jak PiS to już się nie da zrobić, ale, jak się okazało, można było zrobić jeszcze większe. PiS na listach do Parlamentu Europejskiego zaprezentowało nam przegląd nieudanych ministrów: Jurgiel, Zalewska, Waszczykowski… A Platforma odpowiedziała zestawem przegranych premierów.

Na liście Koalicji Europejskiej znalazło się pięciu byłych premierów.

– A każdy swego czasu boleśnie przegrał, z innego powodu. I wyborca dostał takie menu: można było nie wejść do Sejmu, jak się było premierem, można było odejść w niesławie, bo się powiedziało, że trzeba było się ubezpieczyć, można było startować z listy Samoobrony i nie dostać się do Sejmu, a potem za pomocą pani Ogórek wbić kołek osinowy swojej partii, można było, tak jak pani Kopacz, nie zauważyć, że właśnie przegrało się wybory prezydenckie i wypadałoby coś zmienić. Na liście KE trafił nam się przegląd różnych kryzysów politycznych. I to jest jeden z oryginalniejszych przypadków w historii. Plus jeszcze jedno kuriozum – PO budowała swoją popularność na opozycji wobec rządu Leszka Millera, a teraz umieściła go w czubie listy. Dlatego, jak sądzę, brak entuzjazmu wyborców i brak prawego skrzydła w PO przełożyły się na wynik Koalicji.

Czyli to był błąd polityczny? Źle ułożona koalicja, zła lista, złe hasła…

– Powodów było wiele. Jak mawiają kolejarze, każda katastrofa ma przynajmniej dwie przyczyny. Pomysł, żeby PSL szło w koalicji i żeby doklejać do tego lewicę i innych, był wątpliwy.

Dlaczego?

– Po pierwsze, branie na listę różnych niedobitków, Zielonych, Nowoczesnej, nie ma sensu. Zrobiłem sobie zestawienie, jak wygląda liczba otrzymanych głosów w stosunku do wagi miejsca na liście. Wyszło mi, że drobnica – Zieloni, Nowoczesna – miała mniej więcej jedną piątą średniej wydajności kandydata. PSL było prawie w punkt – 93%. Kandydaci Platformy mieli wynik 120%. A SLD – 75%. SLD wytargował na listach więcej miejsc, niż miał zdolności przyciągania głosów. A dodatkowym efektem takiej układanki były luki terytorialne. Koalicja Europejska miała dużo więcej spadochroniarzy niż inni. Jak wystawiała kandydatów, zwykle byli to warszawiacy. Na liście w Małopolsce, u nas w okręgu, nie było żadnego kandydata z Nowego Sącza, ale był kandydat z Warszawy. Efekt jest taki, że w powiecie nowotarskim w 2007 r., owszem, wygrało PiS, ale stosunkiem 51:32, do tego jeszcze 13% zdobyły na spółkę PSL i LiD. Natomiast w obecnych wyborach PiS w powiecie nowotarskim pokonało Koalicję Europejską 70:17.

Kto nawróci ciemny lud?

A jak głosowali ludzie młodzi? Na prawicę?

– Młodzi wyborcy rzadko są zwolennikami umiarkowanej partii postępu w granicach prawa, a taką zrobiła się Platforma. Część młodych głosuje na Wiosnę, część zgoła przeciwnie. Ale trzeba też zwrócić uwagę, że roczniki uzyskujące prawa wyborcze są coraz mniej liczne. W obecnych wyborach rocznik głosujący po raz pierwszy jest mniejszy o jedną trzecią w stosunku do rocznika głosującego po raz pierwszy w 2007 r. Wtedy było to ponad pół miliona osób, teraz jest nieco ponad 300 tys.

Jak bardzo na wybory wpłynęły transfery socjalne?

– Nie były traktowane jako same w sobie, że ktoś wyborców kupił. Były traktowane jako potwierdzenie troski o nas. Wyborcy partii wspólnotowych, nazwijmy je tak, dostali argumenty: władza szanuje takich ludzi jak my i szanuje to, w co my wierzymy. Otóż w jednym z artykułów w „Gazecie Wyborczej" przeczytałem taką konstatację, że oto zostawiliśmy ludzi z ich kościołami i krzyżami w klasach… Czyli, jak

Bartosz Arłukowicz w wyborach do Parlamentu Europejskiego zdobył niemal 240 tys. głosów, Beata Szydło – 525 tys.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, MAREK SZANDURSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 2531abbedc

rozumiem, oświecony dziennikarz „Wyborczej" uznał, że jest jakiś problem z tym ciemnym ludem, że on ma tych księży, te krzyże, więc trzeba ludzi uświadomić. Że jak przyjedzie ktoś z Warszawy i wytłumaczy, że z tym księdzem jest nie tak, to wtedy przekona.

Nawróci lud! Nowy ksiądz!

– I tak z jednej strony troska o sprawy socjalne, a z drugiej – ataki tych partii „górnych", indywidualistycznych na wspólnotowe działania potwierdziły przekonanie wspólnotowców, że PiS to nasza partia.

A naszym wszystko się wybacza. Bo są nasi.

– Poza tym nie będziemy słuchać tych, którzy przychodzą i w sposób oczywisty nami gardzą. To jest dokładnie tak jak z pojawieniem się niemieckiego nacjonalizmu, które zatrzymało germanizację Śląska. Dopóki uznawano, że wszyscy jesteśmy równi, Śląsk powoli się germanizował, bo żywioł germański miał swoją dynamikę. Ale jak przyszli niemieccy nacjonaliści i zaczęli mówić, że wy, „Kaczmarki", jesteście głupie i niezorganizowane, w tym momencie to się skończyło.

Zagrała godność osobista.

– Nie sposób kogoś przekonać, zaczynając od słów: hej, chodź, ciemniaku, ja przychodzę i cię oświecę.

Ale przecież Platforma się nie zmieni. Ona będzie tak mówić: chodź, ciemniaku, ja cię oświecę.

– To nie jest oczywiste. PiS narobiło przez te lata głupot. Z Trybunałem Konstytucyjnym, z reformą oświaty, z sądami, które są coraz wolniejsze, a miały być coraz szybsze… Większość spraw, które były dla PiS sztandarowe, spaliła na panewce. Poza sprawami socjalnymi. Tylko że one są stosunkowo proste. Natomiast wszystkie problemy bardziej złożone niż proste transfery socjalne leżą.

Ludzie to widzą?

– Jeśli przejrzy się badania i odłoży na bok interpretację o autorytaryzmie Polaków itd., widać, że wsparcie dla PiS jest warunkowe. Nie wynika wcale z jakiejś głębokiej wiary w ideologię. Dajemy im szansę, patrzymy, jak się sprawują, widać pozytywne zmiany, więc po co ich wymieniać. A jak PiS robi rzeczy głupie, to dostaje po łapach. Tak jak w samorządzie. Próbowało zdobyć władzę w samorządzie, szło szeroko, nikt tak nie wystawiał kandydatów jak oni i nikt tak mocno się nie odbił od ściany. Przykładowo – z 10 miast powyżej 50 tys. mieszkańców, w których PiS wygrało wybory w roku 2014, utrzymało się tylko w jednym – Lucjusz Nadbereżny w Stalowej Woli. I to była dla PiS lekcja pokory.

Większość spraw, które były dla PiS sztandarowe, spaliła na panewce. Poza sprawami socjalnymi.

Odrobiło ją?

– Prezes wprawdzie jesienią obwieścił na konferencji, żeby morale nie spadło, niepodważalny sukces, ale przecież wiedział, jak jest; oni uznali, że naprawdę mogą przegrać. Wyciszyli więc te wątki, które w ich przekonaniu umacniały przeciwnika, czyli sprawy europejskie. Wymyślili dobre hasło, żeby pogodzić swoich umiarkowanych entuzjastów Unii ze swoimi prawdziwymi entuzjastami Unii. Bo w sprawie europejskiej nikt nie był tak podzielony jak elektorat PiS. I w ten sposób tę minę rozbrojono, a opozycji został kapiszon.

Jedni mają pod górkę, drudzy z górki

A opozycja co na to?

– Platforma zadowoliła się tym, że udało się stworzyć wspólną listę. Uznała, że to wystarczy. Sam Schetyna się chwalił, że Tuskowi nigdy się nie udało zjednoczenie. Tylko że Tusk miał powyżej 38,5% bez SLD i PSL! Ten plan nie zadziałał.

Taka sklejanka wyborców nie porwała. Koalicja miała mniej głosów niż PO, PSL i SLD osobno.

– Bo elektoraty tak łatwo się nie sklejają. I taka koalicja nie musiała się podobać ani wyborcom z prawego skrzydła PO i PSL, ani tym z lewicy. Poza tym wiadomo, że jak PSL nie startuje oddzielnie, to nie wykorzystuje swojego głównego atutu, czyli kadr, tego, że ma dużo znanych i popularnych lokalnie kandydatów. Bo jego wyborcy nie głosują na PSL, tylko na ludzi z PSL.

Lepiej, jeśli PSL idzie do wyborów samodzielnie?

– Zobaczymy, jak mu teraz pójdzie. Na razie wygląda to na decyzję racjonalną, choć ryzykowną.

Kto więc będzie teraz odgrywał rolę prawego skrzydła PO? Nie da się go odbudować?

– Najpierw trzeba by chcieć. Później trzeba mieć kim. A do tego zbudować jakiś element jego wiarygodności i lojalności. A tu mamy wypowiedź Grupińskiego, która jest przecież politycznym samobójem – że oczywiście zgodzimy się na związki partnerskie, ale przecież nie powiemy tego teraz, w Świebodzinie. To chyba wejdzie do opowieści o gafach wyborczych.

To znaczy, że wynik jesiennych wyborów jest już przesądzony?

– Nie. Wiadomo, jedni mają pod górkę, a drudzy z górki. Ale i wiele do ugrania albo do stracenia. Widać to nawet po wydarzeniach z 4 czerwca, gdy ochroniarze premiera odepchnęli prezydent Dulkiewicz, i reakcjach na to zajście – że w obozie władzy o pokorę teraz będzie trudno. Mniej więcej tak trudno, jak w Platformie o empatię i szacunek dla elektoratu PiS. Ale ciągle jeszcze możliwe są jakieś przegrupowania. Na przykład PO wróci do środka, PSL wystartuje samodzielnie, lewica jakoś się przegrupuje, Biedroń może się dogada z Czarzastym i Zandbergiem. Może też być inaczej: PSL się podzieli, SLD zupełnie uschnie, a Platforma wróci do zwyczajowego traktowania lewicy, że dopraszamy, jak musimy, wyrzucamy, jak możemy.

PO budowała swoją popularność na opozycji wobec rządu Leszka Millera, a teraz umieściła go w czubie listy.

Wszystko przed nami?

– Na pewno jesienią będzie 2 mln więcej wyborców, niż było teraz. A to może wiele zmienić. Między PiS a Koalicją Europejską plus Wiosną była różnica 100 tys. głosów. 5% głosów w dowolną stronę może to zmienić. Kukiz prawdopodobnie już nie ożyje, Korwin też ma podcięte skrzydła. I teraz pytanie: kto tych wyborców zagospodaruje? Dlatego ja bym dziś nie obstawiał, jaki będzie wynik wyborów jesienią.

Robert Walenciak

eprasa.pl 2531abbedc

Rząd odbija gospodarkę surowcową

Mariusz Orion Jędrysek – mocny człowiek polskiej geologii – przegrał starcie z premierem. To jednak nie koniec walki o gospodarowanie polskimi bogactwami naturalnymi

Andrzej Dryszel

Prof. Mariusz Orion Jędrysek, człowiek mający dotychczas ogromny wpływ na polską politykę surowcową, został we wtorek, 4 czerwca, odwołany przez premiera Mateusza Morawieckiego ze stanowisk głównego geologa kraju, pierwszego zastępcy ministra środowiska i pełnomocnika rządu do spraw polityki surowcowej państwa. Kroplą przepełniającą kielich stała się próba wyjęcia branży surowcowej spod nadzoru premiera, ale powodów było więcej.

Prof. Jędrysek, choć miał świadomość, że jego działalność jest oceniana krytycznie, był chyba pewien, że nic mu nie grozi. Jest przecież ważnym członkiem sejmowej drużyny Rydzyka – grupy posłów PiS cieszących się specjalnym wsparciem toruńskiego redemptorysty (i odwzajemniających to poparcie na różne sposoby). Główny geolog kraju miał w tej drużynie szczególną pozycję z racji dużych inwestycji geotermalnych prowadzonych – z pomocą publiczną – przez o. Rydzyka. Jeszcze wieczorem 3 czerwca prof. Jędrysek, w majestacie swoich stanowisk, wręczał nagrody Teraz Polska na uroczystej gali w Teatrze Wielkim.

Co jeszcze można zepsuć?

Tygodnik PRZEGLĄD w ciągu niespełna roku poświęcił działalności Mariusza Oriona Jędryska trzy duże, dobrze udokumentowane teksty. W ostatnim, z 27 maja br., pada stwierdzenie: „W każdym normalnym kraju wysoki urzędnik, którego pracę oceniono by w ten sposób, natychmiast pożegnałby się ze stanowiskiem". Pożegnał się – kilka dni później.

PRZEGLĄD dokładnie opisał jego dziwne inwestycje finansowane z publicznych pieniędzy, pomoc w przejmowaniu Państwowego Instytutu Geologicznego przez ekipę Macierewicza i Rydzyka, niezrozumiałe ograniczanie wydawania koncesji na wydobycie bogactw naturalnych, zdumiewającą politykę – a raczej karuzelę – kadrową, udział w likwidacji poszukiwań gazu łupkowego w Polsce, ograniczanie roli państwowej służby geologicznej, forsowanie tworzenia niezależnej od rządu i z nieodwoływalnym prezesem Polskiej Agencji Geologicznej (nazywano ją „prywatną agencją Jędryska").

O tym, co robił i czego nie robił prof. Jędrysek, można pisać dużo. W przeszłości twierdził on, że gaz łupkowy to nasze wielkie bogactwo, jednak źle organizujemy poszukiwania. Ale gdy objął swoje ważne stanowiska, utajnił najnowszy raport o zasobach tego surowca w Polsce, a pod jego rządami liczba czynnych odwiertów poszukiwawczych gazu łupkowego spadła do zera.

Pięć lat temu Państwowy Instytut Geologiczny rozpoczął budowę nowego magazynu rdzeni (próbek uzyskanych z wierceń) w Leszczach koło Kłodawy. Inwestycja uzyskała wszelkie pozytywne opinie, akceptacje i uzgodnienia, miała być ukończona w ubiegłym roku. W czerwcu 2016 r. wiceminister Jędrysek wstrzymał prace, bo uznał, że nie zostały poprzedzone rzetelną analizą – i zapowiedział, że sam ją przeprowadzi. Instytut stracił 1,17 mln zł, magazyn nie powstał, o analizie nie słychać.

W 2014 r., ostatnim przed nastaniem „dobrej zmiany", PIG osiągnął 970 tys. zł zysku. Gdy znalazł się pod nadzorem prof. Jędryska, były już tylko straty, wynoszące nawet 5 mln zł rocznie. Podczas urzędowania pana profesora wzrosły opóźnienia (w większości przekraczając rok) w podpisywaniu umów z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej,

eprasa.pl 2531abbedc

na podstawie których finansowana jest działalność instytutu. Skoro nie ma umów i pieniędzy, PIG musi brać kredyty, by finansować realizowane zadania, co wpływa na jego straty.

W 2017 r. na telefoniczne polecenie od wiceministra Jędryska PIG wypłacił 0,5 mln dol. Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego – za rozpatrzenie wniosku o przyznanie Polsce 15-letniej koncesji na poszukiwanie surowców pod dnem Atlantyku. Strona polska ponoć nie wiedziała, gdzie leży przyznany jej obszar poszukiwań, więc PIG, też na polecenie wiceministra, zapłacił ok. 30 tys. euro Ogólnorosyjskiemu Instytutowi Geologii i Zasobów Mineralnych Oceanu Światowego w Petersburgu za współrzędne tego terenu. Jeszcze nikt nie rozpoczął komercyjnego wydobycia surowca z dna morskiego – Polska również nie rozpocznie. Wydatki przyniosły jednak efekt – w ubiegłym roku wiceminister Jędrysek został przewodniczącym Zgromadzenia Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego (z siedzibą na Jamajce!).

Tego było już za wiele

Miażdżący okazał się wynik ubiegłorocznego audytu wewnętrznego, który zbadał, jak prof. Jędrysek kieruje polską geologią (minister skontrolował swojego pierwszego zastępcę). Nie przygotowywano wniosków o wykonanie prac geologicznych, gdyż nie istnieje polityka surowcowa państwa, którą miał stworzyć prof. Jędrysek. W zarządzanych przez niego departamentach dochodziło do częstych zmian na stanowiskach kierowniczych (np. w Departamencie Nadzoru Geologicznego sześciu dyrektorów i pięciu zastępców w ciągu około dwóch i pół roku) i panował brak zaufania do pracowników.

Audyt wykazał też słabości w planowaniu i podejmowaniu decyzji strategicznych, powielanie czynności przez różne komórki organizacyjne, brak analizy problemów i skutecznego ich rozwiązywania, niewykonywanie obowiązków, brak nadzoru nad realizacją zadań, istnienie pozornych struktur (np. Zespołu ds. Analiz, który niczego nie analizuje, albo Wydziału ds. Legislacji, który nie prowadzi żadnych projektów legislacyjnych), opóźnienia w postępowaniach koncesyjnych naruszające Kodeks postępowania administracyjnego i powodujące milionowe straty.

Potężna fala krytyki działań Mariusza Oriona Jędryska długo nie robiła wrażenia na rządzie i premierze.

Na te opóźnienia skarżyły się spółki energetyczne w Polsce, które nie mogły rozwijać wydobycia. Zbadania wymagałoby również, w jakim stopniu taka polityka koncesyjna wpływała na wzrost importu węgla i gazu z Rosji. Akurat w czasie, gdy państwowy Węglokoks stawał się głównym importerem węgla do Polski, funkcję wiceprezesa tej firmy pełnił brat Mariusza Oriona, Jarosław Jędrysek, który przeszedł do węgla z miedzi, czyli z KGHM.

Przyszłość pokaże, w jaki sposób dymisja prof. Jędryska wpłynie na realizację jego sztandarowego projektu – czyli utworzenia Polskiej Agencji Geologicznej, mogącej posłużyć do wyeliminowania wpływu rządu na polską politykę surowcową. Projekt stworzenia PAG został, o dziwo, przyjęty przez rząd (co pokazuje siłę wpływów prof. Jędryska) i trafił do komisji sejmowych.

Agencja miałaby się stać organem wykonawczym głównego geologa kraju, pełniąc jednocześnie funkcje państwowej służby geologicznej. Zlecałaby także zadania firmom zewnętrznym i udzielała im pożyczek lub dotacji na różne działania gospodarcze. Prezes PAG ma być powoływany przez ministra środowiska na pięcioletnią kadencję (najwyżej dwie) – i praktycznie nieusuwalny. Odwołanie przed upływem kadencji mogłoby nastąpić jedynie w wypadku niezłożenia w terminie sprawozdania rocznego, a nie w razie odrzucenia sprawozdania. Oznacza to, że żadna negatywna ocena pracy prezesa PAG nie spowoduje jego odwołania.

W pisaniu projektu tej ustawy mogli uczestniczyć lobbyści, zatrudnieni w Ministerstwie Środowiska przez wiceministra Jędryska. Dyrektor Departamentu Polityki Surowcowej i Analiz w resorcie środowiska Hubert Schwarz jest bowiem prezesem Stowarzyszenia Kopalń Odkrywkowych, skupiającego właścicieli tych kopalń i osoby z dozoru. Ekspertem stowarzyszenia jest zaś dr Jolanta Maj, wicedyrektor Departamentu Geologii i Koncesji Geologicznych. Statutowym celem Stowarzyszenia Kopalń Odkrywkowych (z siedzibą we Wrocławiu, skąd posłem PiS jest prof. Jędrysek) jest działalność lobbingowa w celu wpływania na treść aktów prawnych normujących problematykę górniczą. Stowarzyszenie zapewne mogłoby być żywo zainteresowane uzyskaniem dotacji z PAG.

Ryzyko związane z dużym wpływem jednej osoby na przepływ państwowych środków w prywatne ręce było istotnym powodem powszechnej krytyki, z jaką spotykał się projekt ustawy o PAG. Związki zawodowe (zarówno Solidarność, jak i OPZZ) stwierdziły wspólnie, że „nastawiona na prywatne i partykularne interesy działalność (prof. Jędryska – przyp. AD) szkodzi Państwu Polskiemu”.

Zmarł

Krzysztof Wojciewski

Wybitny fotoreporter i artysta fotografik.

Zasłynął zdjęciami ze strajku studentów na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego w marcu 1968 r. Autor wielu fotoreportaży o tematyce społecznej, obyczajowej i kulturalnej, a także portretów znanych ludzi, m.in. Krzysztofa Kieślowskiego, Alana Starskiego, Jerzego Hoffman czy Jerzego Kawalerowicza. Trzykrotnie zwyciężył w konkursie na najlepszy fotoreportaż w polskiej prasie. Swoje prace wystawiał zarówno w kraju, jak i za granicą, m.in. w Pradze, Paryżu, Londynie i Moskwie.

Jerzy Domański, Roman Wojciechowski, Krzysztof Żuczkowski

eprasa.pl 2531abbedc

Zdaniem geologa dr. Tomasza Nałęcza PAG to antypaństwowy i antynarodowy przekręt. Sekcja Krajowa Geologiczno-Wiertnicza NSZZ Solidarność uznała, że byłaby to „forma zorganizowanej grabieży". Komitet Nauk Geologicznych PAN ocenił, że „projekt jest sprzeczny z duchem i zapisami Konstytucji RP, ustawy o finansach publicznych, prawa geologicznego i górniczego". Krajowy Sekretariat Zasobów Naturalnych Ochrony Środowiska i Leśnictwa NSZZ Solidarność stwierdził, że ustawa umożliwi wydawanie publicznych pieniędzy przez PAG „w dowolnym miejscu na Ziemi", a niegospodarność zawsze będzie można uzasadnić „ryzykiem geologicznym". Związek dodał, że nie można „kreować projektu ustawy w oparciu o działania i interesy jednej osoby", wspierającej się, przy uzasadnionych podejrzeniach o nielegalny lobbing, podległym aparatem urzędniczym. Szefowie Związku Zawodowego Geologów i Solidarności w PIG wskazali zagrożenie bezpieczeństwa geopolitycznego Polski spowodowane tym, że Polska Agencja Geologiczna będzie „praktycznie niekontrolowalnym podmiotem", a ustawa, która ją powołuje, dotyczy zarządzania wartymi biliony złotych surowcami i sterowania dostępem do nich.

To tylko niektóre opinie. Jednak cała ta potężna fala krytyki nie robiła wrażenia na rządzie i premierze. Reakcja nastąpiła dopiero, gdy okazało się, że powołanie Polskiej Agencji Geologicznej oraz przejęcie Państwowego Instytutu Geologicznego przez ludzi Antoniego Macierewicza i o. Rydzyka może spowodować utratę wpływu rządu na politykę surowcową państwa, bardzo też osłabi pozycję premiera.

Batalia trwa

Prof. Jędrysek stracił swoje funkcje. Państwowym Instytutem Geologicznym kieruje jednak ekipa, która w tym i ubiegłym roku za jego sprawą objęła kluczowe stanowiska w instytucie.

Błażej Wojnicz, były prezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej (odwołany z tego stanowiska na początku lutego 2018 r., niespełna miesiąc po tym, jak Antoni Macierewicz przestał być ministrem obrony), został w PIG przewodniczącym zespołu zajmującego się „intensyfikacją zaangażowania Polski w poszukiwanie zasobów rud metali na dnach oceanów". Uważa się, że to atrakcyjna poczekalnia przed objęciem znacznie ważniejszego stanowiska.

Do instytutu trafiła też Agnieszka Wieliczko, wcześniej dyrektorka gabinetu politycznego ministra obrony i członkini rady nadzorczej Agencji Mienia Wojskowego. Została kierownikiem biura PIG oraz pełnomocnikiem dyrektora instytutu do spraw optymalizacji (znajdowania najlepszych rozwiązań organizacyjnych, administracyjnych i kadrowych). Zajmuje się wszystkimi sprawami urzędowymi, nadzoruje czynności pracowników, kieruje obiegiem informacji, przepływem korespondencji i ruchem dokumentów. Jak mówi jeden z pracowników PIG, nazywana jest naddyrektorką, dla niej stworzono biuro liczące ok. 40 osób i podporządkowano mu kadry. Wszystkie pisma kierowane do dyrekcji instytutu i podpisywane przez dyrekcję są przekazywane do jej wiadomości – a jeśli nie uzyskają jej akceptacji, nie są wysyłane.

Najbliższa współpracowniczka Agnieszki Wieliczko w PIG to Natalia Tarczyńska, członkini zarządu bliskiego Antoniemu Macierewiczowi stowarzyszenia Solidarni 2010, domagającego się, by w ustalaniu prawdy o tragedii smoleńskiej uwzględnić prawdopodobieństwo zamachu. Jest ona zastępcą dyrektora Państwowego Instytutu Geologicznego do spraw administracyjnych i ekonomicznych. Gospodaruje środkami instytutu oraz kieruje jego funkcjonowaniem – zajmuje się więc tym, co najważniejsze.

Stanowisko dyrektora PIG od 24 listopada 2018 r. zajmuje dr Agnieszka Wójcik, od lat współpracująca z prof. Jędryskiem, który był recenzentem jej pracy doktorskiej.

Ustawa o PAG wciąż jest procedowana. Bardzo prawdopodobne, że prof. Jędrysek jesienią wystartuje do Sejmu i z poparciem o. Rydzyka zdobędzie mandat – a kto wie, jaka wtedy będzie pozycja Mateusza Morawieckiego?

Batalia o to, by polityka surowcowa państwa rzeczywiście pozostała w rękach państwa, nie jest więc jeszcze zakończona.

Andrzej Dryszel

POMOŻECIE?

PRL

NOWA SERIA KSIĄŻEK „PRZEGLĄDU"

POLSKA RZECZYWIŚCIE LUDOWA

Odpowiadając na apele Czytelników i sympatyków naszej linii programowej, rozpoczynamy ambitny plan wydania wielotomowej serii książek o Polsce Ludowej. Chcemy zaprezentować, piórem wybitnych uczonych, ludzi kultury i gospodarki, obiektywny i wyważony obraz 45-lecia Polski Ludowej.

My wiemy, że nie była to żadna „czarna dziura" i że nie wolno PRL wykreślać z historii Polski. Jesteśmy to winni młodym Polakom, którym zamiast prawdy serwuje się kłamstwa.

Wszystkich, którzy są zainteresowani powstaniem tej serii prosimy o wsparcie.

Każda wpłata na poniższe konto ma znaczenie.

Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok.7, 03-410 Warszawa
Nr konta:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 2531abbedc

Znikające PKS-y

Gdy prezes PiS obiecuje przywrócenie połączeń autobusowych, na prowincji jeden po drugim padają kolejne PKS-y i likwidowane są linie

Anna Brzeska

W kwietniu pracownicy PKS Mława dowiedzieli się o likwidacji swojego miejsca pracy. Mirosław Zbrzezny, szef zakładowej Solidarności, do końca wierzył, że ich spółka przetrwa, mimo że już wcześniej krążyły plotki o zakończeniu działalności, a inne PKS-y Mobilisu gaszono jeden po drugim. Jego nadzieje miały pewne podstawy – jeszcze we wrześniu 2018 r. rzecznik prasowy Grupy Mobilis zapewniał dziennikarzy portalu Nasza Mława, że likwidacja nie jest planowana.

– To było dla nas zaskoczenie – mówi związkowiec. – Nie ukrywam, że zdziwiła nas ta decyzja i nie wiemy, dlaczego została podjęta. Zwłaszcza że stało się to już po ogłoszeniu informacji o ustawie o rządowych dopłatach. Spodziewaliśmy się, że przetrwamy chociaż do końca roku. Choćby po to, by zobaczyć, jak ustawa będzie realizowana i czy da się jeszcze coś zrobić.

Ostatecznie związkowcy mogli już tylko podpisać z zarządem spółki porozumienie w sprawie uzyskania przez pracowników odpraw kodeksowych i dodatkowych świadczeń.

Z mejla od Grupy Mobilis, do której należy mławski PKS: „Głównym powodem likwidacji Spółki PKS Mława była trudna sytuacja rynkowa oraz drastycznie, z roku na rok, malejąca liczba pasażerów, którzy regularnie korzystali z usług regionalnej komunikacji autobusowej. W związku z tym, mimo wprowadzonych optymalizacji operacyjnych, nasz model biznesowy pozostawał długoterminowo nierentowny”.

Lawina upadków

W kwietniu został również przesądzony los PKS Szczecinek. Tylko do końca czerwca będą jeździć autobusy PKS Ostrołęka, PKS Ciechanów i PKS Mińsk Mazowiecki, spółek należących do Grupy Mobilis. W likwidacji są PKS-y w Ostródzie, Piotrkowie Trybunalskim i Mrągowie. Wcześniej Mobilis wygasił PKS-y w Płocku, Przasnyszu i Bartoszycach.

Spółka ma oczywiście prawo zamknąć nierentowne przedsiębiorstwo. Rządy i samorządy od dawna nie mają tu nic do powiedzenia – przypomnijmy, że Grupa Mobilis kupiła PKS-y od skarbu państwa w latach 2009-2012. Kilka innych PKS-ów

Na samym Mazowszu jest wiele miejsc odciętych od świata przez brak publicznej komunikacji.

eprasa.pl 2531abbedc

zostało przejętych m.in. przez spółkę Arriva Bus Transport Polska, która w tej chwili likwiduje ich sześć (Węgorzewo, Kętrzyn, Bielsk Podlaski, Sędziszów Małopolski, Prudnik i Kędzierzyn-Koźle).

Mirosław Zbrzezny nie chce już nawet rozmawiać o szczegółach likwidacji. Bo i tak nic nie można zrobić. – Tu trzeba by się cofnąć do czasów, gdy marszałek Struzik nie chciał wziąć PKS-u za symboliczną złotówkę w 2009 r. – stwierdza. – Wtedy PKS Mława miał ponad 1 mln zł zysku netto.

Przypomina również, że związkowcy z Solidarności w PKS Mława jeszcze przed przejęciem przedsiębiorstwa przez Mobilis mieli pomysł stworzenia wspólnego systemu biletowego autobusów z Mławy i komunikacji miejskiej w Warszawie. Niestety, pomysł przepadł, PKS-y sprzedano. Szkoda, bo jak mówi dziś ekspert ds. transportu Marcin Kulinicz, potrzebne jest powstanie instytucji, która ten transport zintegruje – by autobusy, kolej i komunikacja miejska nie były odrębnymi królestwami.

Ustawa nic nie da

Ktoś mógłby powiedzieć: trudno, jeśli niektóre linie zostaną zlikwidowane, po uruchomieniu rządowych środków można będzie je wskrzesić. Tak się jednak nie stanie, bo nowa ustawa o Funduszu rozwoju przewozów autobusowych użyteczności publicznej, szumnie zapowiedziana przez Jarosława Kaczyńskiego w lutym jako jedno z haseł kampanii wyborczej: „Przywrócimy połączenia", nie przewiduje dla nich rozwiązań. Kaczyński obiecywał wtedy samorządom złotówkę do każdego tzw. wozokilometra, co miało rozwiązać problem „białych plam" na transportowej mapie Polski. Złotówka stopniała potem do 80 gr, a ustawa co prawda jest na finiszu – 27 maja została przekazana prezydentowi do podpisu – ale nie wiadomo, kiedy wejdzie w życie, bo potrzebne będzie jeszcze m.in. rozporządzenie Rady Ministrów i porozumienie dysponenta funduszu, ministra transportu, z wojewodami. A co najważniejsze – przewiduje dofinansowania jedynie do nowych linii lub takich, które nie funkcjonują przynajmniej od trzech

Błędy ustawy

Ustawa o Funduszu rozwoju przewozów autobusowych użyteczności publicznej jest obarczona znacznie większą liczbą błędów. Oto najważniejsze:

1. Zbiurokratyzowanie procedur i ograniczenie dofinansowania jedynie do linii nowych lub niefunkcjonujących minimum trzy miesiące przed wejściem ustawy w życie.

Marcin Gromadzki: – Ten zapis nie tylko stanowi poważną przeszkodę dla samorządów (o tym była mowa wcześniej), ale również jest bardzo nieprecyzyjny, bo nie wiadomo, jak zdefiniować linię niefunkcjonującą czy nową. Niektóre samorządy twierdzą bowiem, że wystarczy zmienić trasę o jeden przystanek i już mamy nową linię. Inne uznają, że każda linia będzie dla nich nowa – jeśli do tej pory miały na swoim terenie jedynie przewozy komercyjne, a nie w ramach umów z przewoźnikami o świadczenie usług w zakresie publicznego transportu zbiorowego. Ustawa tego wszystkiego nie precyzuje, a ponieważ dofinansowanie przyznane w sposób nienależny podlega zwrotowi z odsetkami – jak za zaległości podatkowe – powstaje kolejna bariera w dostępie do środków. Obecny zapis spowoduje więc raczej likwidowanie linii, bo samorządy nie podejmą działań, a nie tworzenie nowych czy odbudowywanie wcześniej zlikwidowanych.

2. Niezrozumienie istoty obecnych problemów z transportem i specyfiki branży.

Marcin Gromadzki: – Istnieje wiele linii, na których mamy zbyt mało kursów. W tych miejscowościach potrzeba społeczna jest taka, by dodać kursy, a niekoniecznie tworzyć nową linię. Weźmy miejscowość, do której mamy przez cały dzień tylko parę kursów – jeden zapewniający dowóz do szkoły przed godz. 8, a drugi – powrót dzieci np. o godz. 13.30. Tymczasem mieszkańcy chcieliby dojechać na godz. 7 do pracy i wrócić po 15.30. Po co im nowa linia? Wystarczyłyby kolejne kursy. Taką zmianę zaproponował zresztą przy pierwszym czytaniu projektu ustawy poseł Bogdan Latosiński (PiS), ale nie została ona uwzględniona.

Marcin Kulinicz: – Istniejące dziś plany powstały w każdym województwie na mocy ustawy o publicznym transporcie zbiorowym. Pozostawiają one często wiele do życzenia. Rzetelne wykonanie planu wymaga przecież czasu, przeprowadzenia odpowiednich analiz. Tego zaś brakuje. W niektórych przypadkach administracja na szczeblu województw czy dużych miast ma jakieś doświadczenie w tworzeniu planów transportowych. Natomiast gminy, szczególnie te mniejsze, nie będą miały dostatecznych kompetencji. Co więcej, ustawa angażuje do przygotowywania planów wojewodów, a oni nie mają ludzi, którzy potrafiliby to zrobić.

3. Brak motywacji do inwestowania.

Marcin Gromadzki: – Pierwsze dofinansowanie (jeśli ktoś się na nie załapie według nowej ustawy) przysługiwać ma tylko do końca roku. Ewentualne następne zależy od środków w puli danego wojewody, pokazanych w BIP. Kwot tych jeszcze nie opublikowano. Załóżmy jednak, że jakiś samorząd chce zakontraktować przewozy obsługiwane pojazdami nowymi i dostosowanymi do potrzeb osób niepełnosprawnych. Przecież żaden przewoźnik nie będzie chciał w nie zainwestować, mając z samorządem umowę jedynie na trzy lub cztery miesiące czy nawet taką, która byłaby corocznie odnawiana. Ta powinna być wieloletnia – podobnie jak umowa samorządu z wojewodą na dofinansowanie.

4. Poziom dopłat.

Marcin Kulinicz: – Początkowo zakładano 1 zł dopłaty do wozokilometra, potem tylko 80 gr. Pytanie, czy przy takiej dopłacie spełnienie potrzeb wszędzie okaże się wykonalne. Kurs autobusu kosztuje przecież więcej. Ile – to zależy od warunków lokalnych. Trzeba by sprawdzić, jaki jest poziom dopłaty w stosunku do wartości usługi i czy przewoźnik będzie w stanie pokryć resztę kosztów z biletów na danej linii. Wątpię, czy między małymi wioskami znajdzie aż tylu pasażerów. Być może jest to do zrobienia w niektórych miejscach, ale bez rozsądnego rozpoznania potrzeb i dobrze przygotowanych planów może to być duży kłopot. Tym bardziej że mowa tu też o otwieraniu nowych połączeń.

FOT. KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 2531abbedc

miesięcy. Tymczasem gdzieś na prowincji, z dala od sejmowych korytarzy, jeden po drugim padają PKS-y i likwidowane są linie – te, które dziś funkcjonują.

Czyżby lawina likwidacji PKS-ów obserwowana od jesieni ub.r. była związana właśnie z rozczarowaniem tą ustawą? Być może przedsiębiorcy już wiedzieli, że na rządowe pieniądze nie ma co liczyć, i nie chcieli dłużej czekać. Teraz pozostało im tylko wyprzedać wielomilionowe majątki: tabor, grunty, budynki.

Z drugiej strony może zanim ustawa zacznie działać, w przypadku niektórych linii, nawet likwidowanych teraz, w czerwcu, samorządy będą już mogły starać się o dofinansowanie do nich, jako „nieistniejących od trzech miesięcy". Tak samo będzie w przypadku linii zlikwidowanych w ubiegłym roku i jeszcze wcześniej.

Tu jednak pojawia się inny problem – spadek popytu na usługę wymuszony likwidacją autobusów. Wyjaśnia to Marcin Kulinicz: – Każda oferta transportowa, żeby przyjąć się na rynku, musi się wykazywać jakąś stałością. Jeżeli mieszkam na wsi i potrzebuję codziennie dostać się do miasteczka, nie mogę polegać na autobusie, który znika na trzy miesiące i nie wiadomo, co będzie dalej. Tymczasem w Polsce poza nielicznymi rejonami (np. okolicami dużych miast, samymi miastami i miejscami, gdzie w pobliżu jest kolej) dorośli ludzie na co dzień nie mogą liczyć na autobusy.

Z tego, że nowa ustawa nic nie zmieni, zdaje sobie też sprawę Grupa Mobilis. „Niestety, ta nowelizacja została wprowadzona w życie po rozpoczęciu likwidacji. Z tego powodu znaczna część rynku została utracona. Jego przywrócenie do funkcjonowania pociągnęłoby za sobą niewspółmiernie duże koszty", informuje biuro prasowe firmy.

Dlaczego rząd nie próbuje uratować istniejących i działających dziś linii? – Sądzę, że ograniczenie dopłat do linii nowych i tych niefunkcjonujących od co najmniej trzech miesięcy miało dać efekt nowości – stwierdza Kulinicz. – Opinia publiczna inaczej będzie przecież postrzegać pojawienie się gdzieś nowej linii lub przywrócenie kiedyś istniejącej niż sytuację, gdy pozornie nic się nie zmieni – poza kieszenią, z której pochodzi finansowanie. Co więcej, jeśli okaże się, że ustawa niewiele zmieniła, narracja rządu może być taka, że to wina samorządów.

Ale to nie wszystko. Obecnie likwidowane linie nie zostaną przywrócone z jeszcze jednego powodu – nie są ujęte w planach transportowych.

Marcin Kulinicz: – Podział środków z budżetu państwa zależy od tego, ile kilometrów linii autobusowych jest przewidzianych w planach transportowych w danym województwie. Jednak te zostały przygotowane z myślą o kolei – ponieważ marszałkowie województw są ustawowo organizatorami transportu kolejowego. Gdzieniegdzie wpisano wprawdzie transport drogowy jako transport uzupełniający, ale chyba w żadnym województwie jeszcze tych linii nie uruchomiono. Na przykład województwo mazowieckie ma wpisane do planu tylko dwie takie linie autobusowe: Płock-Zakroczym-Warszawa i Ostrołęka-Maków Mazowiecki-Pułtusk-Warszawa, a wiadomo, jak duże jest Mazowsze.

Dlaczego zatem tych linii jest tak mało? Ekspert wyjaśnia, że marszałkowie mogliby wpisać więcej, ale ograniczał ich budżet. Wskazuje też, że przygotowując plany, marszałkowie nie opierali się na planach przewozów gminnych, ponieważ transport organizowany przez marszałka musi przekraczać granicę powiatu. Linie w obrębie powiatu i tak nie zostałyby więc uwzględnione. – Efekt jest taki, że plany przygotowane przez marszałków nie odzwierciedlają potrzeb transportowych województwa – mówi Kulinicz. – Ustawa o Funduszu rozwoju przewozów autobusowych użyteczności publicznej może poprawić sytuację, ale nie stwarza szans na żadną rewolucję. Z czasem może zacząć funkcjonować – tam, gdzie samorządy nauczą się z niej korzystać. Na pewno jednak nie spowoduje zmartwychwstania upadających dziś PKS-ów – kwituje.

Nie ma prawa, nie ma inwestycji

Kolejny fragment informacji z Mobilisu: „Na trudną sytuację w spółce wpłynął też m.in. brak uregulowań prawnych, które zapewniałyby stabilne podstawy do inwestowania i rozwoju".

Nowa ustawa przewiduje dofinansowania jedynie do nowych linii lub takich, które nie funkcjonują przynajmniej od trzech miesięcy.

Jak to możliwe? Nad nowelizacją istniejącej ustawy o publicznym transporcie zbiorowym Ministerstwo Infrastruktury debatuje już kolejny rok. – Nie ma na nią dobrego pomysłu – mówi Marcin Gromadzki, szef Public Transport Consulting. – Ostatni, 11. już projekt, budzi duże kontrowersje. W mojej opinii jest on nie do zrealizowania. Dlaczego? Ponieważ inny szczebel jednostki samorządu terytorialnego, tj. gminy i powiaty, ma określać potrzeby transportowe mieszkańców, a inny, tj. marszałek województwa, ujmować je w dokumencie planistycznym i „optymalizować" spełnienie tych potrzeb. Notabene mamy tu do czynienia z pomieszaniem pojęć. „Projektowanie potrzeb" to sprzeczność – potrzeby występują po stronie mieszkańców, a nie mogą „być projektowane". Zaprojektować można natomiast ofertę transportową, która zaspokajałaby te potrzeby. Z kolei „optymalizacja potrzeb" to już totalne kuriozum (w projekcie zapisano to tak: „Marszałek dokonuje optymalizacji potrzeb komunikacyjnych, o których mowa w ust. 2a"). Bez głębokiej rekonstrukcji rynku, którą miała wprowadzić nowelizacja ustawy o publicznym transporcie zbiorowym, nowa ustawa o funduszu nie przyniesie efektów – podsumowuje Gromadzki.

Ostatnio likwidowane PKS-y: Mława, Szczecinek, Ostrołęka, Ciechanów, Mińsk Mazowiecki, Ostróda, Piotrków Trybunalski, Mrągowo.

Anna Brzeska

eprasa.pl 2531abbedc

Dorota Bartosewicz

Szkoła na widelcu

Fast food w nagrodę albo by uczyć zasad jedzenia w miejscu publicznym? Już nie tak łatwo

Na ten pomysł wpadł dwa lata temu; starsze dziecko miało wtedy 12 lat. – Kiedy syn jechał na wycieczkę szkolną, okazało się, że nikt nie pomyślał o zorganizowaniu dla uczniów normalnego obiadu – opowiada Piotr Cybula, prawnik i pracownik naukowy AWF w Krakowie. – Dla organizatorów było oczywiste, że dzieci pójdą do baru fast food. Tak też zresztą się stało.

Chwilę później trafił jeszcze w sieci na informację, że w szkołach organizowane są wyjazdy tylko po to, by uczniowie mogli pójść na hamburgera i frytki. – Wtedy ostatecznie zdecydowałem, że trzeba zmienić takie praktyki.

Niespodzianka w sieci

Na założonym przez niego profilu „Stop fast foodom w programach wycieczek szkolnych" – istnieje od 2017 r. – przykładów stale przybywa. A co jeden, to mocniejszy. Szczególnie te dotyczące wycieczek edukacyjnych (*sic!*) placówek z Radomia.

Publiczna Szkoła Podstawowa nr 23: „Wszystkie dzieci dostały paczki darmowych cukierków. Pełni wrażeń pojechaliśmy do KFC. Każdy mógł zamówić swój ulubiony zestaw, a potem na deser skosztować lodów z McDonalda".

Przedszkole publiczne nr 13, także w Radomiu: „Dzieci z gr. Żabek z okazji Dnia Dziecka wybrały się na wycieczkę do Restauracji McDonald's. Głównym celem (…) było kształtowanie umiejętności odpowiedniego zachowania się i spożywania posiłku w miejscu publicznym. Dzieci w miłej i przyjaznej atmosferze spędziły czas. Do jedzenia nikogo nie trzeba było zachęcać. Każdy powrócił do przedszkola z pamiątkową zabawką" (pisownia oryginalna).

Ale wycieczki do fast foodów organizowane są w całej Polsce. Szkoła podstawowa w Bruku: „W drodze powrotnej autokar zatrzymał się w Tczewie na mały posiłek w McDonaldzie, co zawsze jest dla naszych dzieciaków dodatkową atrakcją".

Zespół szkół w Lubianie: „W dobrych humorach wracali do domów. Jeszcze tylko krótki – bo przecież »obowiązkowy« – postój w restauracji McDonald's i wycieczka dotarła szczęśliwie do celu".

Publiczna Szkoła Podstawowa nr 23 w Wałbrzychu (w tym wypadku wycieczka tylko do McDonalda): „Głównym celem (…) było nabycie umiejętności zachowania się w miejscu publicznym".

Z wpisów i podlinkowanych artykułów wyłania się jeden, za to bardzo niespójny, obraz. Z jednej strony, dyrektorzy szkół i nauczyciele doceniają zdrowe odżywianie (w placówkach prowadzone były lub nadal są akcje pod hasłami: „Owoce i warzywa w szkole", „Zdrowa szkoła", „Dobrze jemy. Szkoła na widelcu" czy np. „Zdrowe produkty w sklepikach szkolnych"), z drugiej – jako nagrodę proponują wycieczki do fast foodów. Także najmłodszym, jak np. w przedszkolu samorządowym w Szczebrzeszynie („W nagrodę za cierpliwość przedszkolaki zakończyły wycieczkę w restauracji McDonald's z niespodzianką w postaci zestawów happy meal)".

– Puszczają oko. W przedszkolu czy szkole uczymy tak i tak, ale w życiu, jak to w życiu, bywa już różnie. Czytaj: „Możecie robić, co chcecie". To przecież chore – ocenia prowadzący profil „Stop fast foodom".

Zniżka za kolejkę

Dla Klaudii Anioł, prezes fundacji Instytut Ochrony Praw Konsumentów, ważne stały się jeszcze dwie kwestie. Umieszczanie na profilach przedszkoli i szkół relacji z wycieczek do fast foodów. I promocje dla tych, którzy przyjdą z uczniami.

– Kiedy staliśmy w kolejce do kasy w jednym z barów McDonald's, zwróciliśmy uwagę na opiekunów grupy dzieci, którzy zamawiali posiłki „na zniżkę nauczycielską". Postanowiliśmy sprawdzić, co to za tajemnicza zniżka – opowiada.

Tym, co wzbudziło jej niepokój, był brak jawności i przejrzystości relacji McDonald's i nauczycieli, którzy byli wynagradzani za dowożenie dzieci do fast foodów: – Zrodziło się proste pytanie: dlaczego informacja o promocji, z której korzystali nauczyciele, a której mechanizmy ujawniali nam pracownicy kolejnych lokali, nie jest umieszczona na witrynie internetowej sieci, przy kasie lub na drzwiach wejściowych do lokalu?

Fundacja nie wskazała konkretnych rozwiązań prawnych, jakie należy zastosować. Zamiast tego pokazała mechanizmy, które „trzeba wyeliminować z przestrzeni publicznych placówek edukacyjnych: darmowe posiłki dla opiekunów przedszkolaków i uczniów dowożonych do barów oraz wycieczki, których jedynym celem jest fast food".

Toaletą silni

Konkretami zajęły się niedługo potem dwa resorty. Ministerstwo Zdrowia, które jest zdania, że podobne wycieczki powinny w ogóle zniknąć z harmonogramów wyjazdów szkolnych i przedszkolnych („Nie mogą stanowić formy nagrody dla dziecka i towarzyszyć celebracji wspólnych uroczystości"), i Ministerstwo Edukacji Narodowej („Organizowanie wycieczek szkolnych ma na celu, oprócz poznawania kraju, jego historii, tradycji, zabytków kultury, również upowszechnianie zdrowego stylu życia oraz poprawę stanu zdrowia uczniów"). W efekcie MEN kilka dni temu zaapelowało o całkowitą rezygnację z wizyt w restauracjach szybkiej obsługi podczas wycieczek i wyjść szkolnych. Albo przynajmniej ograniczenie ich do niezbędnego minimum, np. w sytuacji postoju autokaru w miejscu obsługi podróżnych, przy autostradzie lub drodze ekspresowej, gdzie nie ma innych możliwości zapewnienia posiłku.

– To sukces Dawida w starciu z Goliatem – nie kryje satysfakcji Klaudia Anioł z fundacji. – McDonald's wycofuje się z praktyki nagradzania nauczycieli za dowożenie uczniów i przedszkolaków do fast foodu, choć jeszcze kilka tygodni temu koncern twierdził, że nie prowadzi takich działań, a jedynie o nich słyszał.

eprasa.pl 2531abbedc

Deklaruje przy tym, że na razie fundacja będzie monitorować skuteczność nowych rozwiązań. Zamierza też bliżej przyjrzeć się działaniom marketingowym fast foodów oraz producentów wysokokalorycznych napojów i przekąsek, które są oferowane dzieciom.

Tyle że głosy wśród rodziców są w tej sprawie podzielone. „Zakazami uzyskamy skutek przeciwny. Nie zjedzą na wycieczce, to zjedzą po lekcjach w drodze do domu. Problem trzeba dziecku uświadomić. (…) Nie ma co walczyć z wiatrakami, to jest i będzie dla dzieci atrakcja, podobnie jak jedzenie słodyczy czy spędzanie czasu przed komputerem. Ważne, aby znały umiar i rozsądnie korzystały z tego typu rozrywek", uważa Iwona Pawelska, która udziela się na profilu „Stop fast foodom". Iwona Dwojewska, także na „Stop fast foodom", napisała: „Nauczyciele to jeden problem, a rodzice – drugi. W klasie mojego dziecka tylko trzy rodziny uważają, że dania z fast foodów na wycieczce szkolnej to nic dobrego. Reszta jest zdania, że dzieci będą miały fajną atrakcję. Ratunkuuu!".

Inne argumenty za odwiedzaniem fast foodów na wycieczkach? Od bezpieczeństwa produktów po – uwaga – dostęp do bezpłatnych WC („Jest czysta i dostępna toaleta! Masz 30 dzieciaków i jesteś w centrum miasta – gdzie idziesz ich wysikać? Oczywiście – do sieciówki!").

Ale nie brakuje też tych, którzy uważają, że ich weta w ogóle nie brano do tej pory pod uwagę („Wygrywa ta część rodziców, którzy nie wyobrażają sobie, żeby ich dzieci nie zjadły na obiad hamburgera z frytkami…"). A jeśli już, to na krótko. „Przed rokiem mój protest przeciwko wyjściu pierwszaków do baru fast food (pomysł nie wyszedł od rodziców, a okazał się tradycyjną praktyką szkoły) spotkał się ze sprzeciwem niektórych rodziców i napiętnowaniem mnie na zebraniu przez wychowawczynię klasy. (…) Wczoraj znów dostałam do podpisania zgodę na wyjazd w czasie lekcji na lodowisko i do baru fast food. (…) Nie wymagam, by szkoła dostosowywała się do widzimisię jednego rodzica, ale by stosowała się do przepisów", ubolewa Iwona Mentecka-Janek, także aktywna na „Stop fast foodom".

Tymczasem inne kraje już od kilku lat starają się radzić sobie z tym problemem. W Grecji wydano zakaz sprzedaży żywności fastfoodowej w szkolnych sklepikach i stołówkach oraz opracowano standardy prozdrowotnych posiłków szkolnych. We Francji wprowadzono zakaz wstawiania do szkół automatów do sprzedaży napojów i żywności, w Niemczech – urzędową kontrolę materiałów reklamowych rozprowadzanych w szkołach. Najwięcej działań podjęto jednak w Wielkiej Brytanii. Tam nie tylko nałożono podatki na żywność „luksusową" i otwarto centra sportowe w lokalnych szkołach, ale też prowadzono wiele programów, w tym: „Szkolne bary mleczne zastępują automaty z żywnością i napojami", „Jedzenie warzyw i owoców poprawi twoją formę" czy „Water in school is cool" (bezpłatne butelki z wodą dla uczniów).

Polskie szkoły i przedszkola czeka rewolucja, którą inne kraje już dawno mają za sobą.

– To jednak Finlandię od lat podaje się jako przykład działania skutecznego i globalnego. Była to szeroko rozumiana edukacja – artykuły, prelekcje, warsztaty, zmiana składu produktów spożywczych (mniej tłuszczu), ale też np. regulacje na temat reklam i sprzedaży papierosów – mówi dr Anna Januszewicz, kierownik studiów podyplomowych na kierunku psychodietetyka Uniwersytetu SWPS.

W cieniu McDonald's

– Nadal nie otrzymaliśmy odpowiedzi od firmy McDonald's na pytanie, czy tego typu praktyki wynagradzania opiekunów grup szkolnych i przedszkolnych są stosowane przez koncern w innych krajach, czy tylko w Polsce. Możemy więc przypuszczać, że w wielu krajach tego problemu po prostu nigdy nie było, gdyż takie zachowanie spotkałoby się z dezaprobatą społeczną i nie byłoby akceptowane przez samych nauczycieli, którzy wykonują zawód zaufania publicznego – podsumowuje pani prezes Instytutu Ochrony Praw Konsumentów.

– To jak w końcu jest: są akcje obliczone na przyciągnięcie opiekunów wycieczek do sieci? – pytam wprost Dominika Szulowskiego, kierownika ds. relacji korporacyjnych w McDonald's Polska.

– Nie ma żadnych skoordynowanych działań – zapewnia. – Tyle że McDonald's to sieć franczyzowa, 90% z 425 restauracji to lokale będące własnością prywatnych przedsiębiorców. I dlatego zdarza się jeszcze, że niektórzy praktykują coś, co zapoczątkowano 10-15 lat temu, czyli „gest gościnności". Darmową kawę lub ciastko dla kierowcy lub opiekuna wycieczki. Naszym zdaniem jest to jednak niezgodne z aktualnymi standardami etyki biznesowej.

– Ale przecież w branży gastronomicznej to nagminna praktyka: nawet przewodnik z reguły może liczyć na gratisy!

– Tak też mówią nasi franczyzobiorcy. „Dlaczego wymagacie od nas, żebyśmy z tego zrezygnowali, skoro dla naszej bezpośredniej konkurencji to chleb powszechni?", pytają.

– No właśnie, dlaczego?!

– Bo nasze obowiązki są większe niż innych, jesteśmy w końcu jed-

eprasa.pl 2531abbedc

Wizyta w McDonald's to ciągle atrakcja dla dzieciaków. Ale na pewno nie muszą tam bywać ze szkolną wycieczką.

nym z największych graczy w gastronomii. Dlatego jeśli któryś z naszych partnerów biznesowych nadal stosuje praktyki, które budzą wątpliwości od strony etycznej, będzie musiał je ukrócić. Nagłośnienie tematu tylko ten proces przyśpieszy.

– A walka o klientów? Rynek jest przecież mocno konkurencyjny.

– Powiem krótko: łatwiej się schować w cieniu dużego.

– Czyli?

– McDonald's stał się piorunochronem dla innych. My zmiany wprowadzimy, ale nie mam wątpliwości, że tego typu „gest gościnności" nadal będzie praktykowany przy trasach w każdym barze, restauracji czy gospodzie.

Dominik Szulowski zapewnia przy tym, że także oferta dla dzieci (to kolejny argument przeciw fast foodom podnoszony zarówno przez rodziców, jak i przez ekspertów) jest stale modyfikowana. Firma zobowiązała się, że w zestawach dla najmłodszych będzie więcej owoców, warzyw, soków i chudego nabiału. W praktyce: wartość energetyczna zestawu happy meal ma nie przekraczać 600 kcal, a ilość tłuszczów nasyconych nie może być wyższa niż 10%.

– Tyle że nie wystarczy wprowadzić paluszków marchewkowych zamiast frytek do menu i uznać, że sprawa załatwiona – obstaję twardo.

– Zgoda, potrzebne jest też „aktywne promowanie", czyli atrakcyjne przedstawianie produktów z preferowanych grup. I jeśli spojrzeć na nasze reklamy, to od 2015 r., a jest to audytowane, nie ma już żadnego spotu, który by pokazywał zestaw dla dzieci bez owoców bądź w innej opcji niż woda lub sok. Raport z maja pokazał, że sprzedaż zestawów z wodą wzrosła o 12 pkt proc., a to oznacza, że połowa z nich kupowana jest już bez napojów gazowanych. Zmieniamy nawyki, ale to proces obliczony na lata – zastrzega na koniec Dominik Szulowski.

Dzieci w Polsce zaliczane są do najszybciej tyjących w Europie.

Tymczasem z danych publikowanych na stronie Instytutu Żywności i Żywienia wynika jasno, że dzieci w Polsce zaliczane są od kilku lat do najszybciej tyjących w Europie. „O ile w latach 70. poprzedniego wieku nadmierną masę ciała notowano w Polsce u mniej niż 10% uczniów, o tyle obecnie już co piąte dziecko w wieku szkolnym (ponad 22%) boryka się z nadwagą lub otyłością".

Dogonić zagranicę

Kierownika ds. relacji korporacyjnych McDonald's Polska nie przekonuje apel ministerstw. Uważa, że to nie on jest jego adresatem: – Rozumiem, czym jest podyktowany, ale jeśli nawet nie przyjdzie do nas wycieczka szkolna, jedna czy druga, nie rozwiąże to problemu otyłości. Pomóc może jedynie współdziałanie. Chcemy tego czy nie, nasze dzieci będą w przyszłości konsumentami. Chodzi o to, by były konsumentami świadomymi, a więc by potrafiły znaleźć rzetelne informacje żywieniowe i na tej postawie dokonywały mądrych wyborów – zastrzega.

Co będzie dalej? Polacy obejdą i to zalecenie? A może jednak przyhamują? Trudno o jednoznaczną odpowiedź, ale eksperci są sceptyczni.

Andrzej Sadowski, prezes Centrum im. Adama Smitha: – Jeżeli miałaby być jakakolwiek lista, to nie sieci, ale substancji, które dla dzieci i młodzieży są niepożądane i nie powinno się ich spożywać.

Zdaniem Piotra Cybuli dobrym pomysłem byłoby uruchomienie strony internetowej i aplikacji, która pokazywałaby listę restauracji serwujących zdrowe i pełnowartościowe posiłki. Zakazana powinna być też sprzedaż napojów energetycznych dzieciom i młodzieży. – Kiedyś energetyki kosztowały ok. 5-6 zł za sztukę, co w pewien sposób ograniczało ich spożycie. Teraz, kiedy ich cena spadła, to wydatek rzędu nawet mniej niż 2 zł, czyli tyle co słodka bułka. Pora coś z tym zrobić – apeluje. Litwinom już to się udało. W 2015 r. wprowadzili zakaz sprzedaży energetyków osobom poniżej 18. roku życia. Podobne przepisy chce teraz wprowadzić Łotwa.

Dorota Bartosewicz

FOT. ADAM STAŚKIEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 2531abbedc

Jak pokonać Nigela Farage'a

Tylko Boris Johnson jako następca Theresy May ma szansę powalczyć z Partią Brexitu

Tomasz Borejza

W piątek premier Wielkiej Brytanii Theresa May zrezygnowała ze stanowiska lidera Partii Konserwatywnej. Sprawami kraju będzie kierować do czasu wybrania nowego przywódcy torysów. Komentatorzy żegnają ją, pisząc o „najgorszej premier w historii". Sondaże pokazują, że Brytyjczycy całkowicie stracili do niej zaufanie, a krytyki nie szczędzą jej także partyjni koledzy. Nie może to dziwić, bo Theresa May nie ma praktycznie żadnych argumentów na swoją obronę. A skalę problemów, które za sobą zostawia, dobrze pokazują najnowsze sondaże z Wysp. Te przynoszą sensacyjne wyniki.

W sondażu pracowni Opinium, który przygotowano dla „Observera", po raz pierwszy w historii badań jako partię, która wygrałaby wybory, wskazano Brexit Party Nigela Farage'a. Gdyby Brytyjczycy zagłosowali tak, jak zadeklarowali, jej posłowie dostaliby w parlamencie 306 miejsc. Konserwatyści, którzy rządzą Wielką Brytanią, mogliby liczyć na wygraną w zaledwie 26 okręgach. W procentach różnica nie jest tak duża, bo Brexit Party dostała 26% głosów, a torysi – 17%. Jednak większościowy system wyborczy, który dotąd raczej bronił *status quo*, wielu torysów może wysłać poza parlament.

Laburzyści radzą sobie lepiej od torysów, ale także notują straty. Sondaż daje im 22% poparcia – o 7% mniej niż przed eurowyborami – co przełożyłoby się na 205 miejsc w parlamencie. Ciągle zyskują za to Liberalni Demokraci (17%) i Zieloni (11%). Rosnące poparcie dla nich nie oznacza jednak wcale, że Farage nie powtórzy sukcesu z wygranych eurowyborów. O ile bowiem w większości krajów europejskich takie procenty oznaczałyby rządy progresywnej koalicji, o tyle brytyjski system wyborczy jest zbudowany inaczej i suma głosów na poziomie kraju nie ma aż takiego znaczenia. Liczy się, w ilu okręgach ugrupowanie wygrało, a na tym polu dominuje Partia Brexitu.

Theresa May jest nazywana najgorszym premierem w historii Wielkiej Brytanii.

Jeżeli zrealizowałby się sondażowy scenariusz zaprezentowany przez Opinium, rząd formowaliby najpewniej brexiterzy, być może przy wsparciu tych torysów, którym udałoby się przetrwać katastrofalny wynik partii. A Nigel Farage mógłby zostać premierem. Nie jest to jedyny sondaż, który daje Partii Brexitu tak duże poparcie. W opublikowanych kilka dni wcześniej wynikach badania YouGov ludzie Farage'a zdobyli 22% poparcia. Tam jednak znaleźli się na drugim miejscu, bo pierwsze zajęli Liberalni Demokraci z 24%. Jeszcze więcej brexiterzy zdobyli w wyborach do europarlamentu, w których wskazało ich ponad 30% głosujących, ale też frekwencja była wtedy niska. Widać więc, że na razie nie należy zbytnio się przywiązywać do dokładnych wyników. Istotniejsze jest to, że jak pokazują sondaże, zakonserwowany dwupartyjny brytyjski system może się nie utrzymać.

Zwolennik brexitu, który udaje

Jak to możliwe? O odpowiedź nie jest trudno. W ostatnim czasie oś sporu politycznego na Wyspach wyznaczał brexit. Jednocześnie dwie największe partie zajmują wobec niego niejasne stanowisko, bo ich wyborcy są w tej kwestii podzieleni (u laburzystów ok. 70% chce pozostania w Unii, 30% wyjścia, u konserwatystów – odwrotnie) i politycy boją się stracić głosy którejkolwiek grupy. Wybierają zatem kunktatorstwo, dobre na krótką chwilę, ale kiedy

Theresa May sprawami kraju będzie kierować do czasu wybrania nowego przywódcy torysów.

eprasa.pl 2531abbedc

Lider Partii Brexitu Nigel Farage mógł się cieszyć z wyników wyborów do europarlamentu.

chodzi o trwający kilka lat proces, który zdominował rozmowę w sferze publicznej, wyglądające źle. Torysi kompromitują się też tym, jak wygląda sytuacja z brexitem, bo niby chcą go przeprowadzić, ale nie potrafią. I to nie potrafią tak bardzo, że Theresa May jest nazywana najgorszym premierem w historii Wielkiej Brytanii. Dlatego, komentuje większość analityków, zyskują partie, które unikają kunktatorstwa i mają w najważniejszej dla sporu politycznego kwestii jasne stanowisko.

Tak jak Liberalni Demokraci, którzy zdecydowanie opowiadają się za pozostaniem w Unii Europejskiej – chcą drugiego referendum dotyczącego warunków opuszczenia Wspólnoty. Ich hasło to *Exit from Brexit* (wyjście z brexitu). Poparcie zdobywają więc, głównie odbierając zwolenników Partii Pracy, zniechęconych nastawieniem do brexitu Jeremy'ego Corbyna. Ten bowiem stara się jak może nie zająć jednoznacznego stanowiska. „Corbyn to zwolennik brexitu, który z konieczności musi udawać sympatyka pozostania we Wspólnocie", żartują komentatorzy.

Ale nawet żartując, trafiają w sedno sprawy. Corbyn wywodzi się bowiem z lewego skrzydła Partii Pracy i nawiązuje do jej tradycji z lat 70. i 80. ubiegłego wieku. A ówcześni laburzyści mieli zdecydowanie antyeuropejskie postulaty i głośno mówili nawet o opuszczeniu struktur Wspólnoty. Nigdy nie mieli okazji ich zrealizować, bo były to lata rządów Margaret Thatcher, ale u laburzystowskich „dinozaurów" sentyment pozostaje widoczny. Do tego pojawia się problem natury strategicznej, bo jedną z idei Corbyna było odzyskanie poparcia w klasie robotniczej lub raczej jej pozostałościach, które da się znaleźć głównie w biedniejszych regionach i miastach Wysp. A są to te regiony i miasta, gdzie brexit cieszył się największą popularnością i gdzie najżywsze są postawy antyimigranckie.

Gdyby Brytyjczycy zagłosowali tak, jak zadeklarowali, największą partią w parlamencie byliby brexiterzy Nigela Farage'a.

Liderzy laburzystów, nie chcąc się narażać grupie wyborców, którą zamierzają odzyskać, wolą lawirować. Jednocześnie wiadomo, że nie są w stanie rywalizować z prawicą na hasła antyeuropejskie i antyimigranckie – tracą więc, a nie zyskują. Być może, kiedy sprawa brexitu zostanie rozwiązana, taka postawa zaprocentuje. Dziś jednak kunktatorstwo powoduje, że od laburzystów – na rzecz Liberalnych Demokratów i Zielonych – odchodzi wielkomiejska klasa średnia oraz zorientowana proeuropejsko młodzież. Bez jednych i drugich nie mogą zaś wygrać żadnych wyborów. I nie jest to koniec problemów, bo Jeremy Corbyn szybko traci zaufanie społeczne. Już tylko 15% Brytyjczyków uważa, że byłby dobrym premierem.

Partia Brexitu gra demokracją

Dokładnie taki sam wynik ma Theresa May, która po przegranej brexitowej batalii opuszcza stanowisko lidera konserwatystów, a co za tym idzie – premiera rządu. May przegrała nie dlatego, że brexitu na pewno nie będzie – to pozostaje sprawą otwartą – ale dlatego, że choć ogłosiła, że jest najważniejszy dla jej rządu, nie zdołała sensownie zakończyć tego procesu. A ostatnie próby doprowadzenia do brexitu wyglądały jak przeniesione z Latającego Cyrku Monty Pythona. Wśród wielu głupich kroków uwagę zwracają szczególnie nieudane głosowania nad umową wynegocjowaną z Unią Europejską, które próbowano powtarzać aż do skutku. Deklarując jednocześnie, że drugie referendum nie jest możliwe, bo powtarzanie głosowań zaprzecza idei demokracji. W dodatku partyjni koledzy May – zwłaszcza Boris Johnson – nie marnowali żadnej okazji do podstawienia jej nogi. Co zresztą było widać i co źle wpłynęło na notowania partii.

Na tej instytucjonalnej niemocy bazuje dziś Partia Brexitu. Zwolennicy Farage'a spuścili nieco z tonu, jeżeli chodzi o imigrację i nacjonalizm. Zamiast tego – zwraca uwagę John Harris z „Guardiana" – skupiają się na dwóch sprawach. Po pierwsze, że brexit, o którym zdecydowano w będącym ostoją demokracji referendum, jest negowany i odsuwany w czasie. Po drugie – co to mówi o ludziach oraz instytucjach stojących na czele kraju. Otóż establishment próbuje zignorować wolę ludu, a to zagraża demokracji i podważa jej fundamenty – gardłują brexiterzy. „Jeżeli nie dojdzie do brexitu, przestaniemy być demokracją. Wygra dwulicowa, zawodowa klasa polityczna. Ostatnie trzy lata to czas, w którym brytyjski establishment – służba cywilna, większość posłów

FOT. REX FEATURE/EAST NEWS, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 2531abbedc

z obu partii, akademicy, sędziowie i oczywiście nie można zapomnieć o BBC – robił wszystko, by opóźnić, rozbroić i rozmyć brexit. Parlament unieważnił referendum i rozpoczął wojnę z narodem brytyjskim. Może nie być czołgów na ulicach, ale nie pomylcie się: to jest zamach na demokrację", mówił kandydat Partii Brexit Robert Rowland w czasie jednego z wieców przed ostatnimi wyborami, a jego przemówienie cytował „Guardian".

Wyższe rachunki za niższą pensję

Dynamika sceny politycznej jest dziś w Wielkiej Brytanii taka, że zyskują partie, które mają jasne stanowisko w sprawie brexitu. Jednak po progresywnej stronie sceny politycznej ludzie, którzy przestają wspierać laburzystów, mogą wybierać między dwiema partiami. Zyskują więc Liberalni Demokraci i Zieloni, ale nie aż tak bardzo jak Brexit Party, która zbiera cały strumień zniechęconych wyborców prawicy, poza tym bardzo zdecydowanie i umiejętnie prowadzi kampanię. Już na pierwszy rzut oka widać tu rękę amerykańskich specjalistów od marketingu politycznego. Być może tę samą, która pozwoliła wygrać wybory Donaldowi Trumpowi. I choć do planowych wyborów pozostają trzy lata, degrengolada w brytyjskim rządzie jest dziś taka, że coraz głośniej mówi się o przeprowadzeniu wyborów jeszcze tej jesieni.

6 czerwca odbyły się przedterminowe wybory w Peterborough, które miały pomóc odpowiedzieć na pytanie, ile warte są wyniki sondażowe. Tym razem kandydat Brexit Party nie wygrał, ale był drugi. Tuż za laburzystką, dużo przed konserwatystą. Wybory miały być dobrą próbą nastrojów, bo liczące ok. 140 tys. mieszkańców Peterborough to pod wieloma względami typowe miasto. Typowe, bo mierzące się z tymi samymi problemami, które doprowadziły do referendum brexitowego i dały wygraną zwolennikom opuszczenia Wspólnoty – skutkami imigracji, która powoduje pauperyzację robotników, oraz podwyżkami czynszów. Na tych ostatnich skupiła się zresztą kampania, której tematem było to, jak wiele mieszkań jest tam kupowanych na wynajem dla sezonowych pracowników z zagranicy. Miejscowym trudniej o pracę i jest ona gorzej płatna, bo imigranci zgadzają się nawet na bardzo złe warunki. Poza tym rosną koszty życia, bo drożeją mieszkania i czynsze. Za mniejszą wypłatę trzeba więc opłacić wyższe rachunki.

Skoro dokładnie te same problemy zdecydowały o wyniku referendum, oznacza to, że nikt nie podjął działań, które pozwoliłyby je rozwiązać. Zamiast tego brytyjski establishment skupiał się na samym procesie politycznym opuszczenia Wspólnoty, wzmacniając tylko konsternację, złość i przekonanie o wyalienowaniu elity.

Piłka po stronie torysów

Na to, jak rozwinie się sytuacja, bardzo duży wpływ będą mieć jednak decyzje podjęte teraz przez członków Partii Konserwatywnej. Pierwsza będzie dotyczyć tego, kto zastąpi Theresę May. Faworytem jest Boris Johnson. Torysi mają świadomość, że w tej chwili jest on prawdopodobnie jedynym konserwatywnym politykiem zdolnym pokonać Partię Brexitu. I zrobić to jej własną bronią. Johnson wie bowiem, co i jak mówić, by trafić do ludzi – nie bez powodu był tak popularnym burmistrzem Londynu. Nie boi się też populizmu, co jednak powoduje, że jest postacią niezwykle kontrowersyjną. Wielu uważa, że ratowanie się Johnsonem przed Farage'em jest jak chwytanie się brzytwy przez tonącego. Tylko że torysi nie bardzo mają wybór, bo albo odbiją brexiterom wyborców, albo w następnym parlamencie będzie ich o wiele mniej. Żaden z kontrkandydatów Johnsona raczej sobie z tym zadaniem nie poradzi. Właściwie wszyscy są odbierani jako członkowie elity, która się skompromitowała i wyalienowała. Paradoksalnie to Boris Johnson jest uważany za człowieka, który rzuca wyzwanie elicie.

> Ratowanie się Johnsonem przed Farage'm jest jak chwytanie się brzytwy przez tonącego.

Drugą kwestią są ewentualne wcześniejsze wybory, do których może dojść, jeżeli taką wolę wyrazi dwie trzecie członków Izby Gmin lub nowy rząd nie uzyska wotum zaufania. To ostatnie nie jest niemożliwe, bo już Theresa May miała z tym problem, a poparcie zbierała po wygranych wyborach. I o ile trzy lata – zgodnie z planem wybory krajowe powinny się odbyć w 2022 r. – to dla nowego lidera torysów sporo czasu na przegrupowanie, o tyle kilka miesięcy, które zostały do jesieni, może na to nie wystarczyć. Wtedy Partia Brexitu będzie mieć realną szansę odegrania istotnej roli w parlamencie. A nawet wygrania wyborów, co oznaczałoby, że Wielką Brytanią rządziłby twór bardzo podobny do naszej Konfederacji. Nie jest to wcale *science fiction*, choć bukmacherzy, którzy w przewidywaniu wyników wyborów są znacznie lepsi niż pracownie sondażowe, wciąż większe szanse na wygraną dają torysom i laburzystom. Za każdego funta postawionego teraz na zwycięstwo Farage'a w następnych wyborach parlamentarnych można zgarnąć siedem. Stawki płacone za wygraną torysów to 1:8, a laburzystów 6:4.

Tomasz Borejza

W dniu 30 maja 2019 roku zmarł w wieku 91 lat

Henryk Świątnicki

nauczyciel, polityk, dyplomata

Pogrzeb odbył się 3 czerwca 2019 roku
na Cmentarzu Prawosławnym na Woli w Warszawie
z udziałem najbliższej rodziny

eprasa.pl 2531abbedc

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

4 czerwca, czyli kapitalizm bękart Solidarności

30 lat minęło jak jeden dzień, 4 czerwca, obchodzony uroczyście (miasto Gdańsk), bokiem (władza rządowa) i na kolanach – bo papież przyjechał już 40 lat temu – za nami. I dobrze. Po raz kolejny mit, że potrzebujemy jednoczących świąt, że pojedyncze daty mogą taką scalającą mocą się poszczycić, rozbił się o bruk rzeczywistości i właściwie dziwić się można, że można się temu dziwić. 4 czerwca oznacza dla zbyt wielu zupełnie co innego. Jest oceniany z całkiem odmiennych perspektyw, mających źródła w tamtym, odległym czasie. Różne są też oceny, co ta data symbolizuje, jeśli idzie o następstwa „dziwnych", choć bardzo niezwykłych wyborów. Dziwnych, bo daleko im było do standardów demokratycznej równości (odgórnie, za porozumieniem okrągłostołowych środowisk wyznaczono ramy brzegowe ewentualnych sukcesów, uregulowano koryto wyborczej rzeki na poziomie 35% mandatów do wzięcia przez Solidarność, na żywioł puszczono wybory do Senatu, które stały się okrutnym referendum dla ówczesnej władzy). I sam wynik, faktyczne odsunięcie całej formacji od władzy, w pierwszym momencie odebranie jej poczucia legitymizacji, a następnie cały proces transformacji, czyli przejmowania władzy, wprowadzania kapitalizmu, zmiany ustrojowej, pisania prawa na nowo – zwieńczone konstytucją 1997 r. – były i musiały być oceniane i przyjmowane odmiennie. Jest paradoksem, że najzagorzalsze spory 30 lat później toczą teoretycznie i praktycznie ówcześni beneficjenci, czyli środowiska solidarnościowe, bo przecież pijącego wódkę z Kiszczakiem Lecha Kaczyńskiego obecnej władzy wciąż jeszcze nie udało się wygumkować ze zdjęć i filmów, choć piszący na nowo sensy historii jego żyjący brat (wedle własnych marzeń „zbawca narodu") najchętniej tak by uczynił.

Kluczowe jest jednak nie to, dlaczego bracia Kaczyńscy siedzieli tam, gdzie z dzisiejszego punktu widzenia siedzieć nie powinni (Morawiecki senior i Komorowski „weź kredyt, zmień pracę" kontestowali wówczas na serio i z zaangażowaniem – ich na tych zdjęciach nie ma). Liczy się to, co w wyniku tych wyborów się wydarzyło, zmieniając Polskę, polską politykę, polskie życie. Jedni mówią: demokracja przyszła i wolność zwyciężyła. I w jakimś stopniu mają rację. Ich świętujących można było zobaczyć i usłyszeć podczas parodniowej fiesty w Gdańsku, w Europejskim Centrum Solidarności i wokół niego. Inni konstatują: wparował nam niezapraszany kapitalizm, demolując to, co było wartościowe i co można było i należało ocalić; przyszły nierówność, wykluczenie, bezrobocie i bieda. Po kilku latach najdosadniej skwitował to Tadeusz Kowalik, lewicowy ekonomista, jeden z radykalnych, czyli wykluczonych z udziału w debacie po 1989 r., krytyk balcerowiczowskiego demontażu państwa: „Z pierwszej Solidarności pozostało bardzo niewiele, tylko gdzieś na marginesach ludzie dopominają się o jej wartości. Solidarność rozumiana jako mit egalitarystyczny, pracowniczo-solidarnościowy, samorządny jest zmarginalizowana. Natomiast utwierdzają się dwie inne koncepcje tradycji związanej z Solidarnością. Jedna w duchu iście amerykańskim – tu Solidarność pojmowana jest jako droga do wolności, głównie zresztą gospodarczej. Druga, ta bardziej narodowa (nie tylko księdza Rydzyka), upowszechnia obraz Solidarności jako ruchu walki o narodową suwerenność, a zarazem antykomunistyczny. Myśląc o skarleniu Solidarności, nie możemy zapominać o wielkim paradoksie: oto najbardziej masowy i najpotężniejszy ruch pracowniczy w Europie drugiej połowy XX w. wypromował jeden z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów społeczno-ekonomicznych, o największym bezrobociu i ciągle rosnącej biedzie. Musiał więc zapłacić ogromną cenę. W Polsce poparcie dla szokowej terapii dano władzom »na talerzu«". I, jak sądzę, ci drudzy mają dzisiaj jeszcze więcej racji.

Odklejonym od realności manewrem socjotechnicznej manipulacji jest zabieg, żeby z 4 czerwca robić wydarzenie związane z wcześniejszą o dekadę wizytą Jana Pawła II, nie mówiąc już o celebrowaniu upadku w 1992 r. operetkowego rządu Jana Olszewskiego, co też jest ulubioną piosenką polskiej prawicy. Tak czy owak, rozrysowanie tego podziału interpretacyjnego pokazuje jasno, że w świętowanie konkretnego momentu historycznego jako czegoś uniwersalnego, nawet na miarę naszego małego kraju, wpisane są niemożność i sprzeczność. Słabością intelektualną i polityczną marnością jest natomiast nieumiejętność uwzględnienia tych co najmniej dwóch podstawowych perspektyw naraz (demokracja, owszem, ale równocześnie terapia szokowa; kapitalizm, ale też demokratyczny paradygmat). I tak w tym kółeczku się kręcimy, jak żuczki na pleckach, a pozór ruchu nie jest szansą na wyjście. Timothy Garton Ash, oksfordzki historyk, kibic rewolucji Solidarności, podczas pobytu w Polsce w ostatnich dniach wyraził pogląd, że rocznica wyborów 4 czerwca 1989 r. może się stać „mitem założycielskim" polskiej demokracji, potrzeba tylko jeszcze stu kilkudziesięciu lat. W tym czasie, wygląda na to, musimy jednak poradzić sobie sami i mniej mitycznie. Bardziej krytycznie, bardziej przyszłościowo, a nie sentymentalnie, szczególnie gdy ten sentymentalizm zabija racjonalną ocenę i wizję wyjścia z konfliktu plemiennego. Kiedyś Wałęsa stwierdził, że „zapłacimy wielką cenę, bo zmiany będą tak duże; trzeba będzie zbudować kapitalizm. A trzeciej drogi nie ma". Replikował mu Karol Modzelewski, że gdyby wiedział, że chodzi o to, by w Polsce był kapitalizm, nie siedziałby w więzieniu nawet jednej godziny.

Mam swoją interpretację tej dziwnej rocznicy: chciałbym żyć w kraju zbudowanym bardziej z walki Modzelewskiego i diagnoz Kowalika niż z jałowo-kosztownych utarczek Kaczyńskich i Tuska.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2531abbedc

Wielki Cenzor Facebook

Działania Facebooka w Europie są walką nie tyle z dezinformacją, ile z rosyjską propagandą

Mateusz Mazzini

Mark Zuckerberg znany jest z dopracowanego niemal do perfekcji wizerunku publicznego i bon motów, którymi sypie w czasie wystąpień. Szafa pełna identycznych szarych T-shirtów, coroczne wyzwania w rozwoju osobistym, które sam sobie stawia i o których pisze na swoim koncie na portalu, oraz narracja o pełnej niezależności Facebooka – to wszystko składa się na filozofię, którą Zuckerberg podsumowuje hasłem: „Idź szybko do przodu i niszcz rzeczy". Spośród ulubionych recept opisujących sukces Facebooka najczęściej jednak używa dwóch. Pierwsza jest obietnicą, że portal zawsze pozostanie darmowy dla użytkowników, druga – zapewnieniem, że zamiast wznosić mury i dzielić, jego platforma buduje mosty i łączy ludzi.

Koniec Wielkiej Agory

Wszystkie te zabiegi marketingowe mają tak naprawdę jeden cel – zaszczepienie w internautach na całym świecie przekonania, że Facebook jest bytem neutralnym. Nie tylko światopoglądowo, ale i finansowo. Im bezpieczniej czują się na portalu użytkownicy, tym większe szanse, że umieszczą na nim prywatne dane. Zdjęcia, informacje, plany wakacyjne. A dane to nie tylko złoto XXI w. – to przede wszystkim waluta, którą Facebook zarabia na swoje istnienie. Im więcej danych zbierze, tym więcej może ich potem sprzedać na wolnym rynku. Kupców, jak wiadomo, nie brakuje. W dodatku – co wyszło przy okazji licznych śledztw dziennikarskich po amerykańskiej kampanii wyborczej w 2016 r. – przez lata dla władz Facebooka sprawą drugorzędną było, kto na portalu się reklamuje, dzieli informacjami czy skupuje dane o użytkownikach.

Wraz z ujawnieniem przez „New York Timesa" w 2017 r. roli Facebooka jako biernego dostarczyciela gruntu pod rosyjską dezinformację bezpowrotnie skończyła się era neutralności politycznej portalu. Zuckerberg nie może już twierdzić, że jego platforma jest współczesnym odpowiednikiem ateńskiej agory, gdzie każdy obywatel mógł wygłosić swoje poglądy. W odpowiedzi na krytykę i zarzuty pasywności w zapobieganiu rozprzestrzenianiu fałszywych informacji władze Facebooka obiecały wprowadzić całą gamę rozwiązań „mających chronić i promować prawdę" – jak nazwała je Sheryl Sandberg, druga po Zuckerbergu najważniejsza osoba w firmie. Proponowane zmiany dotyczyły niemal wszystkich aspektów obracania informacją w mediach społecznościowych – od nowych reguł zgłaszania fałszywych czy nienawistnych treści do bardziej skrupulatnego weryfikowania reklamodawców i publicznych profili. W ciągu ostatnich dwóch lat Facebook tak energicznie zabrał się do czyszczenia swojej części internetu, że według wielu krytyków zaczyna przesadzać. Z Wielkiej Agory staje się powoli Wielkim Cenzorem.

Czystka w Hiszpanii

W Europie uderzył w tym roku już dwa razy. Najpierw w Hiszpanii, przed kwietniowymi wyborami parlamentarnymi. Kilka dni przed zaplanowanym na 28 kwietnia głosowaniem władze portalu usunęły 17 politycznych profili publicznych, łącznie śledzonych przez 1,4 mln użytkowników. Profile te, koordynowane przez trzy prawicowe platformy: Unidad Nacional Española (Hiszpańska Jedność Narodowa), Todos Contra Podemos (Wszyscy Przeciw Podemos) i Lucha por España (Walka o Hiszpanię), tylko w ostatnim tygodniu swojego funkcjonowania opublikowały treści, które dotarły do ponad 7 mln użytkowników. Facebook zlikwidował je z dnia na dzień. Główne zarzuty pod ich adresem to: dystrybuowanie fałszywych informacji, wpisy zawierające mowę nienawiści oraz generowanie sztucznego ruchu na portalu. Zwłaszcza to ostatnie zjawisko doskonale pokazuje, jak łatwo było do tej pory obchodzić wewnętrzne regulacje portalu dotyczące dezinformacji.

Przynajmniej na pierwszy rzut oka Facebook nie zabrania użytkownikom administrować kilkoma kontami jednocześnie. Mowa tu oczywiście o tzw. profilach publicznych, zwanych fanpage'ami. Problem pojawia się jednak wtedy, gdy w rękach jednej osoby czy grupy znajdują się na pozór niezwiązane ze sobą platformy o bardzo silnym ładunku ideologicznym. Tak było właśnie w przypadku hiszpańskiej prawicy – większość z 17 usuniętych kont była tylko podstronami dużych profili politycznych. Z jednoczesnym administrowaniem kontami Facebook walczy, bo to właśnie staje się źródłem baniek informacyjnych. Ten sam wpis czy artykuł udostępniony z dezinformującego portalu, opublikowany jednocześnie na kilkunastu profilach o luźno powiązanej tematyce, działa jak echo – wzmacnia przekaz. Użytkownicy niewprawieni w rozróżnianiu źródeł informacji w internecie często nie są w stanie sami odkryć, że za bombardowaniem treściami na konkretny temat może stać jedna osoba.

Facebook stara się łatać dziury w swoim regulaminie, jednak wszystkich sposobów na szerzenie propagandy nie da rady wyeliminować. Chociażby najprostszego zabiegu, jakim jest sprzedawanie praw do

Zuckerberg stawia znak równości między rosyjskimi pieniędzmi na swoim portalu a zagrożeniem propagandą i radykalizacją użytkowników.

eprasa.pl 2531abbedc

Pikieta aktywistów Avaaz wzywających do naprawy Facebooka przed brytyjskim parlamentem, który zajmował się wpływem portalu na demokrację i rozpowszechnianymi za jego pośrednictwem fałszywymi wiadomościami.

administrowania kontami na rynku wtórnym. W praktyce każda osoba zainteresowana przejęciem kontroli nad konkretnym profilem może zaoferować właściwą cenę i stać się nowym administratorem. W dodatku często nie są to wygórowane ceny. Jak dowiedział się PRZEGLĄD, na polskim rynku popularny *fanpage* humorystyczny, znany z żartów o Polakach za granicą i śledzony przez ponad 80 tys. użytkowników, kosztuje zaledwie ok. 5 tys. zł. Z punktu widzenia dużych podmiotów propagandowych to cena wręcz śmieszna. A skupienie kilku czy kilkunastu takich kont może dać efekt podobny do hiszpańskiego – stworzenie facebookowego konglomeratu, wielogłowej hydry, która za pomocą różnych stron jedną informacją może atakować jednocześnie miliony internautów.

Mark Zuckerberg chce takie hydry ze swojego portalu wyeliminować zupełnie. I na razie walczy z nimi intensywnie, choć nie do końca wiadomo, czym w tej walce się kieruje. Głównym zarzutem pod adresem akcji czyszczenia Facebooka jest niemal kompletna arbitralność w wyborze kasowanych stron. Firma co prawda za każdym razem przedstawia publicznie tę samą argumentację – o mowie nienawiści, fałszywych informacjach, tworzeniu efektu echa, jednak wciąż nie podaje jasnych kryteriów, na podstawie których kasuje te, a nie inne strony.

Cięcie we Włoszech

Podobnie było we Włoszech, gdzie Facebook wcielił się w rolę cenzora przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Mechanizm na Półwyspie Apenińskim był dokładnie taki sam jak w Hiszpanii. Usunięto 23 strony, łącznie polubione przez prawie 2,5 mln użytkowników, ale kontrolowane przez zaledwie kilka podmiotów. Wszystkie skasowane profile miały charakter polityczny, a treści na nich publikowane były mocno polaryzujące, miejscami radykalne. Znów, tak samo jak w Hiszpanii, stawiały one w dobrym świetle prawicę i populistów – Ligę Północną i Ruch Pięciu Gwiazd, współtworzące koalicję rządzącą.

Na tym podobieństwa między hiszpańską i włoską interwencją Facebooka się nie kończą. W obu przypadkach podwykonawcą amerykańskiego portalu była organizacja Avaaz, zajmująca się identyfikacją fałszywych treści w mediach społecznościowych. To właśnie jej eksperci sporządzili raporty, później przedstawione władzom Facebooka, w których wskazywali konta naruszające zasady portalu. Choć w uzasadnieniach organizacji nie ma słowa na temat orientacji ideologicznej skasowanych stron, trudno wierzyć, że dezinformacja w sieci istnieje tylko na prawicy. Dlatego według wielu ekspertów, takich jak Kurt Wagner z platformy Recode, dziennikarskiej inicjatywy zajmującej się opisywaniem działań politycznych w sieci, Facebook w Europie walczy nie tyle z dezinformacją, ile z rosyjską propagandą. Trudno bowiem udowodnić bezpośredni związek między Kremlem i pojedynczymi profilami, ale widać, że eliminowane strony popierają partie otwarcie prorosyjskie. Skrajnie prawicowa Liga włoskiego wicepremiera Mattea Salviniego oskarżana jest wręcz o korzystanie z rosyjskiego finansowania w kampaniach wyborczych. Podobne zarzuty wysuwane są pod adresem nowej nadziei hiszpańskiej prawicy, partii Vox. Wydaje się zatem, że czerpiąc lekcję z wyborów w USA, Zuckerberg stawia znak równości między rosyjskimi pieniędzmi na swoim portalu a zagrożeniem propagandą i radykalizacją użytkowników.

Cenzorska kampania w Europie nie została odebrana jednoznacznie pozytywnie. Brak jasnych kryteriów kasowania stron, korzystanie z podwykonawców i politycznie jednostronny wymiar tej krucjaty wzbudzają kontrowersje. A to nie koniec – Avaaz poinformował w ubiegłym tygodniu, że podejrzenia wzbudza kolejne 80 kont publicznych na włoskim Facebooku, śledzonych przez 16 mln użytkowników. Ponieważ Włochy stoją na krawędzi stabilności politycznej i możliwe są przyśpieszone wybory, tamtejsze media społecznościowe lada moment mogą się stać polem bitwy w wojnie informacyjnej. Zuckerberg twierdzi, że w tym konflikcie Facebook zawsze będzie stał po stronie demokracji. Fakt, że buduje swoją pozycję również za pomocą działań będących dla wielu cenzurą, każe w te deklaracje mocno wątpić. ■

FOT. TWITTER.COM/AVAAZ

eprasa.pl 2531abbedc

U nas takie rzeczy się nie zdarzają

Potrzeba było dziennikarki z Warszawy, żeby o skardze uczennic na molestowanie przez księdza dowiedziała się władza

Ewa Smolińska-Borecka

Sielska gmina Głowaczów leży zaledwie 80 km od Warszawy. Ale ta sielskość-anielskość jest tylko naskórkiem. Pod powierzchnią kipi inne życie. Wydaje się, że człowiek nagle przeniósł się 460 lat wstecz i wtopił w obraz Pietera Bruegla „Walka karnawału z postem". We wsi Brzóza trwa bezpardonowa batalia przeciw uczennicom, które odważyły się poskarżyć, że były molestowane przez katechetę. Nie miały chyba świadomości, jak wielkie siły poruszą.

Dyrektor szkoły zabronił nauczycielom rozmawiać o incydencie. Sprawę zatajono nawet przed lokalną władzą, choć szkoła jest jednostką samorządową. I potrzeba było dziennikarki z Warszawy, żeby rządzący się dowiedzieli. Nazajutrz po mojej wizycie w gminie, kiedy wszystko wyszło na jaw, do szkoły w Brzózie przybył korowód miejscowych emerytek. Były wzburzone, wściekłe na nauczycieli, choć oni przecież trzymali język za zębami. – Co wy robicie, nie szkoda wam księdza? – pytały. Ale machina sprawiedliwości już ruszyła i nie da się jej zatrzymać.

Rada rodziców nie rozmawia

Czy rada rodziców wiedziała o sprawie, czy jeśli kryła incydent, to sama, czy może wspólnie z dyrekcją szkoły go zataiła? Dzwonię do przewodniczącej rady Elżbiety Dolot.

– Przygotowuję reportaż o Brzózie, a ponieważ pani jest przewodniczącą rady rodziców, chciałabym prosić panią o wypowiedź.

– A o czym będzie pani pisać?

– O problemie waszej szkoły.

– O jakim problemie?

– O molestowaniu uczennic.

– A skąd pani wie?

– Po prostu wiem.

– Nie mogę rozmawiać.

I w ślad za tymi słowami rozłączenie rozmowy. A przecież to była dla rady rodziców okazja, by zaprezentować własną wersję wydarzeń. Zakończenie rozmowy telefonicznej nie zatrzyma publikacji. Kiedy w grę wchodzi godność i bezpieczeństwo uczniów, właśnie rada rodziców powinna stanąć w ich obronie. To rodzice powinni dawać uczniom poczucie bezpieczeństwa. I nie można mylić obrony własnych dzieci z atakiem na Kościół.

Dzwonię do matki jednej z uczennic, które zgłosiły molestowanie. Pyta, skąd mam jej numer telefonu. – Nie mogę powiedzieć – odpowiadam. Na co ona ze wzburzeniem: – Życzę miłego dnia. Do widzenia.

Nie dziwi mnie ta reakcja. Działa presja społeczna, kiedy większość ludzi we wsi staje murem za księdzem, a nie za dzieckiem, obawa przed ostracyzmem. Na dodatek nie wiadomo, jakie są faktyczne intencje dziennikarza. Zresztą już w dniu wizyty w gminie spotkałam się z odmową innej matki. Dotarłam do miejscowości, w której mieszka druga poszkodowana uczennica. Matka wyszła do bramy. Powiedziała, że w ogóle nie ma córki w wieku szkolnym, jej córka jest studentką. Wyrzekła się córki, żeby uniknąć rozmowy?

Zadziwienie wójta

Zaczęło się tak. W podstawówce we wsi Brzóza, nazajutrz po wyborach do Parlamentu Europejskiego, do szkolnej pedagog przyszła uczennica. Powiedziała, że ksiądz katecheta

eprasa.pl 2531abbedc

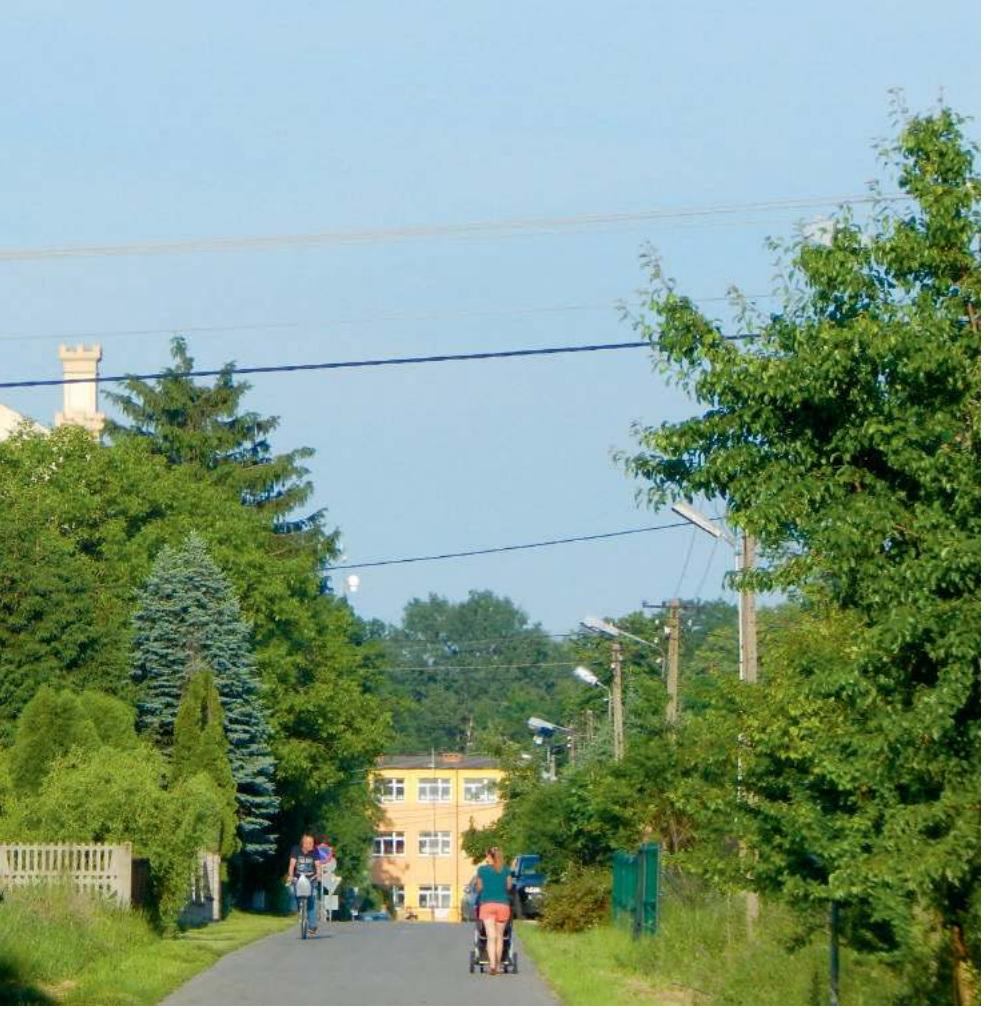

Publiczna Szkoła Podstawowa im. Bartosza Wojciecha Głowackiego w Brzózie mieści się vis-à-vis kościoła pw. św. Bartłomieja Apostoła.

przyparł ją swoim ciałem do ściany. Co by znaczyło, że ją molestował seksualnie albo wręcz zmuszał do tzw. innych czynności seksualnych. Potem do pani pedagog przyszły jeszcze dwie uczennice, które miały podobne doświadczenia z katechetą. Pani pedagog sporządziła protokół i o sprawie poinformowała dyrektora szkoły i wicedyrektorkę. A oni stwierdzili, że trzeba postąpić zgodnie z procedurami. Informacja dotarła do biskupa radomskiego. W piątek, cztery dni po sporządzeniu protokołu, do szkoły przyjechał wysłannik biskupa. Powiedział, że Kościół zajmie się wyjaśnieniem tej sprawy. Na wszelki wypadek ksiądz katecheta został odsunięty od zajęć z młodzieżą.

Można godzinami krążyć po Brzózie i pytać ludzi, czy słyszeli o molestowaniu dziewczyn we wsi, a każdy odpowie, że nie słyszał. Przepytałam wiele osób i za każdym razem otrzymywałam odpowiedź, że to spokojna gmina, tu takie rzeczy jak molestowanie się nie zdarzają. Tak powiedzieli mi i ludzie nastoletni, i dojrzali, i godny potępienia alimenciarz, i godny poszanowania sołtys Brzózy Władysław Pszczółka, i właścicielka gospodarstwa agroturystycznego, i robotnicy najemni relaksujący się w parku. Nawet kobiety z popegeerowskiego domu, które o gminie wiedzą niemal wszystko, choćby to, w jaki sposób ktoś w odległej wiosce odszedł na tamten świat, o molestowaniu nie wiedziały. Chociaż ich dom jest o rzut beretem od szkoły podstawowej. Ale najbardziej bulwersujące jest to, że o sprawie nie wiedziały władze gminy.

We wsi trwa bezpardonowa batalia przeciw uczennicom, które odważyły się poskarżyć, że były molestowane przez katechetę.

Do gminy Głowaczów jechałam z nurtującym mnie pytaniem, kto rozdaje karty w wyciszaniu sprawy. Czy jest w to zaangażowana miejscowa władza? Proboszcz? A może w ogóle sprawy nie ma, to tylko rykoszet, lokalne echo nagłaśniania w mediach molestowania nieletnich przez księży? Do głowy mi natomiast nie przyszło, że ktoś, kto jest powoływany na stanowisko przez władzę samorządową, miałby odwagę taki problem przed nią ukryć.

4 czerwca. Na tablicy przed urzędem gminy nadal rzuca się w oczy plakat wyborczy kandydatki PiS do Parlamentu Europejskiego. Pod sekretariatem wójta siedzi dwóch mężczyzn. Mówią, że czekają dwie godziny, bo wójt jest w terenie i nie wiadomo, kiedy wróci. Starszy jest bardziej niecierpliwy, odchodzi rozeźlony, przeklinając. Młodszy twierdzi, że będzie czekał, bo przyszedł do wójta po pomoc w sprawie pracy w gminnych wodociągach.

Pytam w sekretariacie, kiedy wójt przyjedzie. Mówię, że przygotowuję reportaż o gminie i interesuje mnie sprawa molestowania uczennic. Sekretarka, słysząc słowo molestowanie, zachowuje kamienną twarz. Zastanawia się, czy może mnie odesłać do gminnego ośrodka pomocy społecznej, bo tam podobno zajmują się nie tylko pomocą finansową czy materialną, ale też wsparciem w trudnych sprawach. Przypomina sobie jednak, że cała załoga GOPS jest na szkoleniu, więc ośrodek jest nieczynny. Doradza rozmowę z sekretarzem gminy Krzysztofem Wolskim. Od lutego sprawuje tę funkcję, z zawodu jest nauczycielem, przez wiele lat był dyrektorem szkoły podstawowej i gimnazjum w Głowaczowie.

Kiedy Wolski słyszy, że interesuje mnie sprawa molestowania uczennic, jest zaskoczony: – Do naszego urzędu nie wpłynęło żadne oficjalne zawiadomienie. Owszem, w czasie treningu piłkarskiego, który prowadzę z dziećmi z całej gminy, przypadkiem usłyszałem, jak rodzice coś mówili o takim przypadku. Ale potraktowałem to jako plotkę, skoro nikt do nas takiej sytuacji nie zgłosił. Gdybym zajmował się wszystkimi plotkami, nie miałbym czasu wykonywać swoich obowiązków. Wykluczam, żeby ta sytuacja miała miejsce w szkołach w Głowaczowie, bo mam bardzo dobry kontakt z nauczycielami i na pewno by mi o tym powiedzieli.

Czy może sprawa molestowania seksualnego dotarła do rady gminy? Marek Piotr jest najmłodszym przewodniczącym rady w dziejach gmi-

eprasa.pl 2531abbedc

ny, ma 25 lat. Wykładam mu, w jakiej sprawie przyjechałam. Jest zaskoczony, podobnie jak wcześniej sekretarz gminy. – Pierwszy raz takie sygnały docierają od pani – twierdzi. – Czy mogę wiedzieć, jakiej szkoły to dotyczy?

Kiedy mówię, że szkoły podstawowej w Brzózie, stwierdza: – Jestem absolwentem tej szkoły i kiedy byłem uczniem, takich przypadków nie było. Nie wiem, co się dzieje, jestem zaskoczony tą sytuacją. Dyrekcja mnie nie informowała o takich rzeczach. Nie wiem, kiedy to się wydarzyło, jakiego okresu dotyczy. Grono pedagogiczne – jeśli to dotyczy grona pedagogicznego – tak drastycznie się nie zmieniło przez lata. Większość nauczycieli znam, utrzymujemy kontakt poza szkołą i nigdy bym nie przypuszczał, że takie rzeczy mogą się dziać. Nawet między rodzicami nikt nic nie mówił. Sądzę, że w środowisku wiejskim taka informacja szybko by się rozeszła.

Okazuje się, że przewodniczący właśnie wrócił z kontroli stanu gminnych dróg, w którym brał udział u boku wójta. Jest więc szansa, że porozmawiam także z wójtem. Czy wiedział wcześniej o molestowaniu? W każdym razie już ma świadomość, jakiej szkoły i jakiego nauczyciela sprawa dotyczy.

– Wiem, że taki fakt miał miejsce, ale dowiedziałem się o tym dzisiaj. Pan sekretarz mi taką informację przekazał po pani wizycie – twierdzi wójt

W nowym numerze tygodnika „NIE”:
Lewicowy uczony dręczony przez wymiar tzw. sprawiedliwości.

Wcześniej nie miałem wiedzy na ten temat. Jest to dla mnie bulwersujące. Jeśli zarzuty się potwierdzą, to jest wręcz niewyobrażalne, że na terenie naszej gminy coś takiego mogło mieć miejsce. Ale ja bym poczekał z osądami. W tej chwili nie mamy żadnej wiedzy na ten temat, jakie to były okoliczności, ile tych uczennic, jak pani wspomniała, było molestowanych, jak długo ten proceder trwał. Jeśli to są fakty, to poczekajmy na wyjaśnienie. W tej chwili poleciłem, aby pan dyrektor Pronobis pojawił się w urzędzie gminy, chcę na ten temat z nim porozmawiać. Dostałem informację, że to było w szkole w Brzózie. Rozumiem, że chodzi o księdza wikariusza parafii św. Bartłomieja w Brzózie. Kilkakrotnie miałem z nim kontakt i powiem pani szczerze, że jeśli to się potwierdzi, to jest to dla mnie zadziwiające, bo ja nigdy bym się nie spodziewał po księdzu takich rzeczy. Mam nadzieję, że to wszystko zostanie bardzo szybko wyjaśnione. Chcę się dowiedzieć od dyrektora Pronobisa, jakie kroki zostały poczynione, czy odpowiednie służby zostały poinformowane.

Dyrektor Dariusz Pronobis dostał wiadomość, że w urzędzie gminy ma się stawić niezwłocznie, nawet gdyby akurat prowadził lekcję fizyki. Wkrótce nadjechał skuterem. W rozmowie oprócz wójta uczestniczył sekretarz gminy. Po wyjściu z gabinetu poprosiłam dyrektora o wypowiedź. – Nie będę rozmawiał o tej sprawie – stwierdził. – Robię to dla dobra uczennic.

Poproszony o komentarz wójt był już bardziej ostrożny. Powiedział, że nazajutrz zadzwoni do mnie, by przekazać, co z rozmowy wynikło. Zapewne chciał się zastanowić, co może ujawnić.

Dyrektor nie o „tej” sprawie

Zespół Szkół Ogólnokształcących w Brzózie mieści się na wschód od rynku, *vis-à-vis* kościoła pw. św. Bartłomieja Apostoła. Tak to w naturalny sposób obie instytucje są połączone długą na kilkaset metrów parkową aleją. Zespół szkół obejmuje podstawówkę i gimnazjum, w tym samym budynku mieści się też publiczne przedszkole. Niezrażona tym, że dyrektor Pronobis odmówił rozmowy, zjawiam się w szkole, licząc, że zmieni zdanie. Dyrektora nie ma w gabinecie. Musiał być mocno zdenerwowany, bo zostawił w zamku pęk kluczy. Okazuje się, że zwołał zebranie w pokoju nauczycielskim. Czekam pod drzwiami, mając nadzieję na rozmowę i z dyrektorem, i z panią pedagog. W końcu dyrektor jest. Zaprasza do swojego gabinetu, pod warunkiem że rozmowa nie będzie dotyczyć „tej” sprawy. Z panią pedagog się nie spotkam, bo akurat dziś jej nie ma. Korzystam więc z zaproszenia dyrektora.

– Sprawa jest wyjaśniana, wszystko, co miało być wykonane i do czego jestem zobowiązany, zostało zrobione. Tylko tyle mogę pani powiedzieć – stwierdza Dariusz Pronobis.

Do szkoły przybył korowód wzburzonych emerytek. – Co wy robicie, nie szkoda wam księdza? – pytały nauczycieli.

– To znaczy, że nic nie wynika z pana spotkania z wójtem?

– Ale tu nic nie miało wyniknąć. Powtórzę jeszcze raz: ze względu na dobro dzieci nie będę się wypowiadał.

– Czyli pan dyrektor uważa, że chronienie dzieci polega na tym, że o takich sprawach się nie mówi?

– Wyciąga pani tak pochopne i tak banalnie proste wnioski. Pani zrobi z tego materiał, który może wprowadzać ludzi w błąd zupełnie niepotrzebnie. Dlatego kwestia wyjaśnienia wymaga czasu. Pani teraz mówi mi, że jeżeli ja będę uciekał od tematu, to w ten sposób nie chronię dzieci. Nie, proszę pani, bo dla mnie w tym momencie najważniejsze jest dziecko. Jeśli da się wyjaśnić tę sprawę, to będzie wyjaśniona. Nie zamiatamy niczego pod dywan, nie chowamy się, nie uciekamy przed tematem.

– Czy kuratorium przejęło tę sprawę?

– Nie.

– To kto ją wyjaśnia?

– Ci, którzy powinni wyjaśniać. Widzi pani, ja panią zaprosiłem, żeby porozmawiać o szkole, a rozmawiamy tylko na jeden temat. Zamykamy tę rozmowę, jeśli ma tak wyglądać.

Wobec tego rozmawiamy jeszcze chwilę o szkole. Ponad 200 uczniów. Nowe skrzydło, w którym mieści się

eprasa.pl 2531abbedc

Uczniowie szkoły w Brzózie mogą się pochwalić osiągnięciami w sporcie i w olimpiadach przedmiotowych.

ogromna, nowoczesna hala sportowa z trzema rzędami trybun i stołówka. Osiągnięcia uczniów w sporcie i w olimpiadach przedmiotowych. Nauka patriotyzmu. Kącik patriotyczny na korytarzu pod pokojem nauczycielskim, z tablicą poświęconą „żołnierzom wyklętym" i gablotą upamiętniającą 100-lecie niepodległości Polski, w której obok Piłsudskiego znalazły miejsce flaga od prezydenta Dudy i medal okolicznościowy od Senatu.

Gesty źle odbierane

Na ogrodzeniu plebanii ogłoszenie o godzinach pracy kancelarii. Kobietę kręcącą się w ogrodzie pytam, czy pracuje w kancelarii. – Ale gdzie tam, ja jestem tylko kucharką. Ksiądz proboszcz przyjmuje osobiście – słyszę. Przychodzę więc w godzinach pracy kancelarii, bo dopiero wtedy proboszcz wróci ze szkoły, gdzie jest katechetą. Dzwonię, czekam. Powoli tracę nadzieję, że ktoś wyjdzie otworzyć furtkę. Może proboszcz został przede mną ostrzeżony? Wychodzi mężczyzna w czerni, ale nie w sutannie: podkoszulek z „żołnierzami wyklętymi" i czarne spodnie. Wysoki, przystojny, krótko ostrzyżony, około czterdziestki, o miłej aparycji. Zaprasza do środka. – Spodziewałam się księdza proboszcza, a pan chyba nie jest proboszczem, sądząc po wieku? – mówię. – Przygotowuję reportaż na temat Brzózy, a konkretnie na temat molestowania uczennic przez księdza wikariusza.

Uśmiech zastyga na twarzy mężczyzny. – To właśnie ja jestem tym księdzem – mówi i tym razem to ja jestem zaskoczona. Potem nie zgadza się na nagrywanie rozmowy, bo musiałby mieć na to pozwolenie biskupa. Właściwie ma zakaz rozmawiania na temat tej sprawy z kimkolwiek. Ale co miał zrobić? Wyrzucić mnie? Na pewno poniesie jakieś przykre konsekwencje tego, że ze mną dyskutuje, ale trudno. Co z podejrzeniami o molestowanie uczennic? – Takie sytuacje nie miały miejsca, nie zdarzyły się – twierdzi z naciskiem. A potem mówi o tym, że zdarza się, że gesty będące wyrazem przyjaźni są odbierane jako molestowanie. Na przykład jak się kogoś przytuli na powitanie. On nigdy niczego złego nie miał na myśli. Jego sprawą zajmuje się kuria. Nie podano mu nazwisk osób, które oskarżyły go o molestowanie. Bardzo smuci go to, że przypisuje mu się złe intencje. I to, że w takich sytuacjach, kiedy jest fałszywie oskarżony, ksiądz pozostaje sam. Zupełnie sam.

Nieoczekiwanie wikary kończy rozmowę, bo musi przygotować się do mszy popołudniowej. Organista otwiera szklane drzwi kościoła, szczotką wymiata z przedsionka wodę, która zgromadziła się w czasie ulewy. Zapewnia, że wikary wejdzie głównym wejściem, co daje mi szansę, że zgodzi się na zrobienie zdjęcia, choćby od tyłu. Nie zgadza się. Rozpoczyna się msza. W kościele cztery kobiety. Modlą się żarliwie.

Pokłosie

Nazajutrz wójt Hubert Czubaj dzwoni do mnie zgodnie z obietnicą. – Potwierdzam, że dyrektor szkoły w Brzózie zgłosił na policję niejednoznaczne zachowanie księdza. Policja wykonuje czynności – mówi. To wszystko. Żadnych szczegółów. Nie wiadomo, czy zgłosił tę sprawę w poniedziałek, 27 maja, czy może dopiero dziś.

Tymczasem w gminie wrze. Burzą się emerytki, które nawiedzają szkołę. W kościele odprawia się mszę w intencji wikarego. Uczniowie z klasy poszkodowanych dziewczyn i one same są z rodzicami wzywani do Komendy Powiatowej Policji w Kozienicach na przesłuchania. A dyrektor szkoły nadal twierdzi, że dla dobra uczennic niczego nie będzie komentować. Nie chce też powiedzieć, kiedy faktycznie zgłosił sprawę na policję. Pani pedagog szkolna, którą chciałam spytać o sporządzony przez nią protokół, nie oddzwania, choć dyrektor powiedział, że nie ma embarga.

Zapewne z zeznań młodych ludzi, postawionych twarzą w twarz z władzą i trochę przestraszonych, wynikać będzie, że nikt niczego nie widział i nie słyszał, że nic strasznego się nie wydarzyło. A może i same dziewczyny zmienią zdanie.

Ewa Smolińska-Borecka

FOT. EWA SMOLIŃSKA-BORECKA

eprasa.pl 2531abbedc

Polska Polsce nierówna

Niedawne badania wytypowały Polskę jako najbardziej rozwarstwiony pod względem dochodów kraj w Unii

Jakub Dymek

Czy Polska po 30 latach od wyborów 1989 r. jest krajem bardziej wolnym, sprawiedliwym i równym? Zależy, kogo zapytać. Według niektórych jesteśmy jak Szwecja. Inni coraz częściej mówią – i mają na to dowody – że jednak bardziej jak Brazylia lub Chiny.

Weźmy nauczycielkę z Warszawy. Przykład stołeczny, bo w Warszawie największe są możliwości, jakość usług, zarobki, ale i koszty życia. Nauczyciel kontraktowy według badań Sedlak & Sedlak zarabiał w Warszawie w 2017 r. 3 tys. zł brutto. Dla porównania dyrektor lub dyrektorka działu informatycznego – 14 tys. zł brutto. Wynagrodzenia w szkolnictwie i nauce w ogóle są o 1 tys. zł mniejsze niż w organizacjach pozarządowych, o ponad 1,5 tys. zł niższe od tych w budownictwie i aż o 3 tys. zł od tych z branży informatycznej. A jeśli nasza nauczycielka mieszka na Pradze? Różnica w średniej cenie kawalerki jest znikoma. Za to różnice w średniej długości życia między Pragą a Wilanowem? Olbrzymie – 7 lat dla kobiet i 15 dla mężczyzn.

Niedawne badania zespołu francuskich ekonomistów wytypowały Polskę jako najbardziej rozwarstwiony pod względem dochodów kraj w Unii. Badacze z Londynu zaś i nasze Ministerstwo Finansów pokazują dane sytuujące Polskę wśród tych krajów świata, w których nierówności są największe. A mimo że rząd chwali się sukcesami w polityce społecznej i „efektem 500+", także jego własne opracowania pokazują, że nierówności w naszym kraju są większe, niż dotychczas myśleliśmy.

Fakt, że nierówności – przede wszystkim dochodowe – są w Polsce duże, uznaje się coraz częściej. Ale droga do tego, by ów problem stanął w centrum naszej debaty publicznej, była długa i wciąż nie jesteśmy blisko jej kresu.

Z ziemi francuskiej do Polski

Pięć lat temu francuski ekonomista Thomas Piketty dokonał rzeczy prawie niemożliwej – napisał książkę ekonomiczną, która stała się międzynarodowym bestsellerem, pozycją, której nie wypada nie mieć na półce, a z jej podstawowego wykresu zrobiono wręcz symbol popkulturowy, który trafił nawet na T-shirty. Głównym tematem badań Piketty'ego były nierówności. Francuz wykazywał, brutalnie rzecz upraszczając, że zyski z posiadania kapitału są większe niż z inwestycji – najbardziej więc „opłaca się" urodzić bogatym i nie zainwestować choćby jednego euro. W takiej sytuacji zaś, nawet jeśli bogacą się wszyscy, to najzamożniejsi i posiadający kapitał, choćby nie robili nic, średnio bogacą się szybciej, niż rośnie gospodarka, a w efekcie nierówności majątkowe rosną. Przypływ nie unosi wszystkich łodzi. Choć Europa Zachodnia od ponad półwiecza nie widziała wojny, a od ponad ćwierć wieku cieszyła się ze zdobyczy globalizacji od Warszawy po Lizbonę, nierówności społeczne pogłębiły się, zamiast wyrównywać – wynikało z analizy Piketty'ego.

W Polsce „Kapitał w XXI wieku" ukazał się w 2015 r. i podobnie jak w całym zachodnim świecie sprowokował do wielkiej debaty o nierównościach. Tym żywszej być może, że III RP obchodziła 25. urodziny, a w ostatni rok kadencji weszła rządząca koalicja PO-PSL, która swoją tożsamość opierała na mitach złotego wieku polskiej gospodarki i nietkniętej kryzysem zielonej wyspy. Warunki, by zaprezentować bilans kapitalizmu w Polsce i go rozliczyć – zapytać i o wolność, i o równość – były zatem idealne.

Zadudniły więc publicystyczne armaty. Jarosław Kuisz, redaktor naczelny internetowego pisma „Kultura Liberalna", w tekście „Nierówności jako farsa" próbował dyskusję o nierównościach jednoznacznie zamknąć. „Brakuje danych", pisał, a mówienie w Polsce o nierównościach to jego zdaniem wyłącznie kopiowanie wzorców z Zachodu, gdzie ta dyskusja się rozpoczęła, „intelektualna prowincjalizacja". Odpowiadali mu Dorota Szelewa i Michał Polakowski na stronach internetowych „Krytyki Politycznej": „Proszę pana, nierówności to fakt". Powoływali się na dane GUS i Eurostatu oraz szacunki UNICEF dotyczące ubóstwa dzieci. „Nie ulega wątpliwości, że od początku transformacji nierówności dochodowe systematycznie rosły; najbiedniejsi w coraz mniejszym stopniu korzystali z efektów wzrostu gospodarczego, najbogatsi – w największym", stwierdzali. Przypominali, że inny wskaźnik nierówności, majątkowych, systematycznie w Polsce wzrasta, nawet jeśli nierówności w zarobkach z różnych powodów mogą się wydawać nie aż tak drastyczne.

> Od początku transformacji nierówności dochodowe systematycznie rosły.

Podobne uwagi zgłaszała nieraz prezeska Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego prof. Elżbieta Mączyńska. Kontrował oczywiście prof. Leszek Balcerowicz, który przekonywał, że po pierwsze nierówności nie są aż tak wielkie, po drugie i tak odpowiada za nie zła polityka państwa, a po trzecie zróżnicowanie dochodów tworzy w kapitalizmie bodźce do awansu i pracy, więc nie jest złe jako takie.

Gorąca i prowokująca intelektualnie dyskusja, która wtedy przetoczyła się przez Polskę, miała jednak bardzo nieoczywiste konsekwencje. – Lewica nie „wygrała" Piketty'ego dla siebie. Mówiła wiele słusznych i trafnych rzeczy, ale najbardziej rewolucyjna teza „Kapitału w XXI wieku", że problemem jest nie tylko bieda, ale także właśnie skrajne, niekontrolowane nierówności, pogłębiające choćby systemowe koszty ekologiczne we współczesnych społeczeństwach, się nie przebiła – uważa Adam Ostolski, socjolog, analityk polityki, a wówczas współprzewodniczący Partii Zieloni. I choć nie jest to diagnoza jednoznacznie

eprasa.pl 2531abbedc

potępiająca tych, którzy chcieli tematu nierówności bronić i walczyć o lepszą politykę, Ostolski uważa dziś, że należało iść dalej i upominać się o uznanie zasadności tez Piketty'ego. Politycznych odpowiedzi, dlaczego tak się stało, jest wiele. Ale jest także jeden problem dotyczący samej miary nierówności i tego, jakie one naprawdę są.

Wszystko bowiem zawisło na jednym wskaźniku – współczynniku Giniego.

Magia liczb

Pod hasłem współczynnika lub indeksu Giniego w naukach ekonomicznych i społecznych rozumie się najczęściej miarę nierówności dochodów. Współczynnik Giniego dla jakiegoś kraju wynosiłby 0, gdyby wszyscy zarabiali po równo, a 1, gdyby wszyscy poza jednym szczęśliwcem nie zarabiali nic. To oczywiście abstrakcyjne i skrajne warianty – każdy jednak o Ginim wie tyle, że im wyższy współczynnik, tym większe nierówności w społeczeństwie. Wartości, jakie w realnym świecie osiąga indeks Giniego, wahają się między 0,2 (lub 20%) a ponad 0,5 (ponad 50%). Egalitarne społeczeństwa skandynawskie mogą się pochwalić współczynnikami w górnej dwudziestce – w połowie ostatniej dekady było to np. 29% dla Szwecji. W krajach bardzo rozwarstwionych – np. w Rosji czy w USA – indeks Giniego przekracza 45%, absolutnie szczytowe wartości – ponad 50% – osiąga zaś w niektórych krajach Afryki i Ameryki Południowej.

Polska, dość konsekwentnie, przez ostatnią dekadę trzymała się unijnej średniej. W 2015 r. było to ok. 32%. Nierówności dochodowe, co jasne, rosły w czasach transformacji, a także po otwarciu się Polski na zagraniczny kapitał, po akcesji do Unii Europejskiej trochę spadły i ustabilizowały się na wspomnianym przeciętnym poziomie w drugiej kadencji rządów PO-PSL. Trudno więc było ogłosić zwycięstwo którejkolwiek strony sporu o nierówności w Polsce. Pozycja naszego kraju w połowie stawki dla UE nie potwierdzała hurraoptymistycznych tez o tym, jak gonimy Zachód i bogacą się wszyscy – ale też nie sprzyjała lewicowym krytykom dorobku III RP, którzy dla odmiany obwiniali ją o drastyczne rozwarstwienie i radykalne wzbogacenie się wąskiej grupy elit kosztem społecznych mas.

– Gini ma oczywiście swoje wady – uważa dr Grażyna Kacprowicz z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego zajmująca się badaniem struktury społecznej w Polsce. – Ten sam współczynnik mogą otrzymać społeczeństwa o wcale nie identycznej strukturze dochodów. A wnioski z różnych badań nierówności są czasami niespójne, bo stosuje się różne miary, inaczej zebrane dane i ich nieustandaryzowane zbiory, do tego próbując je stosować do analizy porównawczej między krajami. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale to badaczom w Polsce poprzedniej epoki umożliwiano robienie badań – np. awansu społecznego – na próbie 10 tys. pracujących mężczyzn i 3 tys. kobiet. Choć Piketty metodologię miał, owszem, solidną – dodaje.

Stwierdzenie Jarosława Kuisza o braku danych, choć w sensie ścisłym nieprawdziwe, w przewrotny sposób się potwierdziło. Na podstawie samego współczynnika Giniego nie sposób było wówczas wyciągnąć żadnych istotnych wniosków o poziomie nierówności w Polsce.

Mamy jednak rok 2019 i coś – przynajmniej w stanie naszej wiedzy na temat nierówności – się zmieniło.

Czempion wzrostu w pierwszej lidze nierówności

Pod koniec 2017 r. ukazała się praca Pawła Bukowskiego i Filipa Novokmeta z London School of Economics, badająca polskie nierówności dochodowe w perspektywie historycznej – sięgająca aż do roku 1892! Bukowski i Novokmet za miarę nierówności przyjęli nie współczynnik Giniego, ale liczbę najbogatszych i ich dochody. Najprostszy wykres ilustrujący te badania pokazuje, jaki odsetek dochodu trafia do rąk 1% najbogatszych – im wyższy, tym podział dochodów mniej egalitarny. W roku 2015 – ostatnim objętym badaniem – miara ta wynosiła 14%.

To dużo czy mało? „Owoce wzrostu gospodarczego z okresu między rokiem 1989 a 2015 w dwukrotnie większej części trafiły do tej grupy (1% najbogatszych – przyp. JD) niż do 50% najbiedniejszych – pisał pod koniec 2018 r. Bukowski. – W konsekwencji Polska znajduje się obecnie wśród najbardziej nierównych krajów Unii Europejskiej. Rozwarstwienie dochodów w Polsce jest nie tylko większe niż we Francji czy w Szwecji, ale również na Węgrzech czy w Czechach".

III RP bliżej pod względem rozwarstwienia do Brazylii niż do Szwecji.

Autorzy pracy, aby podsumować awans gospodarczy w Polsce po 1989 r., użyli sportowej metafory: Polska była „czempionem wzrostu", ale trafiła też do „pierwszej ligi nierówności".

Thomas Blanchet, Lucas Chancel i Amory Gethin, współpracownicy Thomasa Piketty'ego w założonym przez niego Laboratorium Nierówności na Świecie (World Inequality Lab), dołożyli do tego swoje badania z kwietnia 2019 r. Tytuł ich raportu brzmiał: „Jak nierówna jest Europa?". Przez pewien czas było o nim w Polsce całkiem głośno, bo pod względem rozwarstwienia dochodów zajęła niechlubne pierwsze miejsce. Wyniki Francuzów były zbieżne z tym, co o nierównościach

RYS. MAŁGORZATA TABAKA

eprasa.pl 2531abbedc

w Polsce pisał Bukowski: udział najbogatszych w podziale dochodów jest większy niż europejska średnia. W istocie „gramy w pierwszej lidze nierówności". Trzeba jednak dodać, że Polska nie wypadła najgorzej we wszystkich zestawieniach składających się na raport Francuzów – w niektórych krajach nierówności rosły szybciej lub kryzysy mocniej uderzyły w najbiedniejszych, ale wyprzedziła wszystkie pozostałe badane państwa europejskie akurat w tym aspekcie nierówności, który badacze uznali za najważniejszy.

Blanchet, Chancel i Gethin przyjęli za taki odsetek dochodów uzyskiwany przez 10% najzamożniejszych. Wskaźnik ten dla Polski wynosi według nich 38%. Zarazem mniejsza część dochodu trafia w ręce klasy średniej, a uboższa połowa społeczeństwa ma się relatywnie lepiej – choć o symboliczny jeden punkt procentowy – pod względem odsetka dochodu niż w Portugalii czy w Niemczech, a remisuje z Francją. To wciąż znacznie lepiej niż w Rosji czy w Turcji i daleko od największych światowych nierówności, ale jak na Europę zapewnia podium.

Z tego powodu szybko znaleźli się w Polsce krytycy badań ekonomistów związanych z Laboratorium Nierówności na Świecie. Na portalu Bankier.pl – który nazwał wyniki szokującymi – dr Jan Rutkowski z Instytutu Badań Strukturalnych mówił o „pojedynczym oszacowaniu, obarczonym błędem i odbiegającym od innych". Odredakcyjny komentarz przestrzegał zaś przed pokusą zwiększania transferów socjalnych dla najuboższych czy obciążeń podatkowych dla najbogatszych z powodu takiej percepcji nierówności i „klęski polskiej transformacji".

Jednak niecały miesiąc później Ministerstwo Finansów upubliczniło własne dane, z których wnioski wzmacniają raczej tezy czarnowidzów niż optymistów czy wręcz negacjonistów nierówności. Jeśli przyjmiemy tę samą miarę co francuscy badacze – dochód 10% najbogatszych – jest... gorzej, niż wskazywałyby na to wszystkie poprzednie szacunki.

Według wyliczeń ministerstwa odsetek ten wynosi nie 38% (i tak rekordowe), ale 41. Dane o dochodach z różnych województw pokazują też, że wielkie nierówności występują i w regionach, i pomiędzy nimi. Dla przykładu: indeks Giniego dla Mazowsza – zapewne z powodu stolicy – wynosi aż 0,57, a dla Śląska 0,49. To oznacza, że są miejsca zasługujące na miano nadwiślańskich faweli. Te wskaźniki dają do zrozumienia, że III RP bliżej pod względem rozwarstwienia do Brazylii niż do Szwecji. Średni roczny dochód brutto dla Pomorskiego wynosi 37 tys. zł, w Podkarpackiem – 29 tys. zł. W dodatku, wskazywał raport, w Polsce mamy degresywne podatki. To znaczy system, w którym im się jest zamożniejszym, tym mniejszą część dochodu brutto pochłaniają składki i podatki. Proporcja podatków i składek do zarobków naszej nauczycielki z początku artykułu jest gorsza niż u milionera.

Wielkie nierówności występują i w regionach, i pomiędzy nimi.

Ale żeby nie było tak łatwo, „oficjalny" współczynnik Giniego szacowany przez GUS w Polsce... maleje. W 2017 r. wyniósł 29% (w stosunku do 33% pięć lat wcześniej), czyli tyle, ile wynoszą szacunki Banku Światowego dla Szwecji.

Jak to rozumieć? Jeszcze raz dr Kacprowicz: – Nierówności w Polsce nie są jednowymiarowe i dlatego jednoznaczny wskaźnik, jakim jest indeks Giniego, może być czasem zwodniczy. Bo istnieją także różne osie nierówności. Być może najbardziej interesującą wyznacza edukacja, która poskutkowała wielkimi zmianami, wciąż nie dość zbadanymi. Z jednej strony, pozytywny skutek posiadania dyplomu dla przyszłych zarobków nie jest już tak widoczny, z drugiej zaś większe szanse wciąż mają dzieci z domów rodziców wykształconych. Podobnie jest z regionami, nowymi i starymi sektorami gospodarki i tak można mnożyć.

Rząd Prawa i Sprawiedliwości na te – pozytywne dla nich i bilansu polityki społecznej PiS – dane zareagował entuzjastycznie. Wiceminister w resorcie rodziny, pracy i polityki społecznej w rządzie Beaty Szydło, Bartosz Marczuk, mówił w 2017 r. „Rzeczpospolitej", że to właśnie efekt skutecznej polityki gospodarczej PiS i 500+. W podobnym tonie wypowiadał się wtedy również Ryszard Bugaj.

– Nie byłabym tego aż tak pewna – zaznacza dr Kacprowicz. – Mieszanie nierówności dochodów, majątków i społecznie pozytywnych skutków programu 500+ może niebezpiecznie się ocierać o metodologiczne nadużycie na użytek publicystyki i polityki.

Adam Ostolski: – Może być tak, że ostatecznie ważniejsza jest percepcja nierówności niż ich empirycznie mierzona wysokość. Polska może przecież być krajem bardzo dużych nierówności – mnie wyniki badań zespołu współpracowników Piketty'ego wydają się wiarygodne – a jednocześnie poczucie tego, jak jest nierówna czy niesprawiedliwa, za rządów PiS maleje. Więcej osób czuje współudział w dobrej koniunkturze.

Dlaczego? – To kwestia poczucia godności, o które w oczach wielu milionów Polaków obecny rząd się zatroszczył i skutecznie je wzmocnił. A np. zupełnie odwrotną sytuację w ostatnim roku kadencji miał niegdyś SLD. Polska notowała wtedy rekordowy, większy niż teraz, wzrost gospodarczy, a jednocześnie w jednym z badań aż 90% pytanych odpowiadało, że zarabia mniej, niż im się należy – wyjaśnia Ostolski.

Powtórka z rozrywki?

I tu wracamy do roku 2015. Wtedy, choć wśród publicystów i badaczy nie było wygranych i przegranych dyskusji o nierównościach, to polityczny zwycięzca był jeden – Jarosław Kaczyński. Który, co ciekawe, na jednym ze spotkań z wyborcami polecał lekturę Piketty'ego. PiS w kampanii nie mówiło bynajmniej językiem wykresów i liczb, ale niewątpliwie skorzystało z tematu nierówności. Tyle że mówiąc o „Polsce w ruinie", niesprawiedliwości polityki społecznej w III RP i pogardzie płynącej ze strony wielkomiejskich elit. Bardzo mocno również podkreślając istotny dla Polski wymiar nierówności regionalnych i uprzywilejowania wielkich ośrodków kosztem małych miejscowości, gdzie rozczarowanych transformacją było więcej.

Nieistotne okazały się nierówności mierzone jako oderwana od doświadczenia życiowego statystyka. Ważniejsze było ich subiektywne postrzeganie. Język służący opowiadaniu o nierównościach okazał się ważniejszy niż nawet najbardziej wyrafinowane próby precyzyjnego ujęcia problemu.

Niemal równo pięć lat po tym, jak dyskusja o nierównościach w Polsce rozgorzała na dobre po raz pierwszy w XXI w., jesteśmy w momencie bliźniaczo podobnym. I choć wiemy więcej, pytanie, co z tej wiedzy wyniknie, pozostaje otwarte.

Jakub Dymek

eprasa.pl 2531abbedc

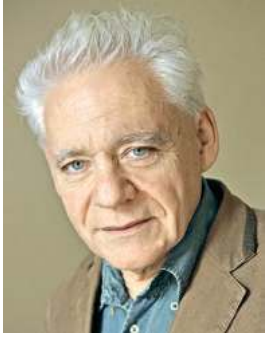

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Spotkania z czasem

Budzę się zawsze rano ze smutnym zdumieniem – jaki ja jestem stary. Nie mam już innych przebudzeń. Potem to uczucie z biegiem czasu topnieje jak bryłka lodu na dłoni. Teraz doszedł jeszcze poranny niesmak, że zatruta jest nasza wolność. Krajobraz po przegranej bitwie nie napawa optymizmem, przegrani nie tylko liżą rany, ale też je rozdrapują. Tak jednak często bywa po klęsce, szczególnie w kraju, który ma tradycję porażek, co wcale nie uczy przegrywać. Przegrane się kumulują. Czuję, że tracimy energię, coraz więcej w nas obrzydzenia, coraz mniej buntu.

•

Tatry w chmurach. Chłodno, wilgotno. Hotelowe śniadanie, radość z małej czarnej kawy. Sztuka dobrego życia to cieszyć się z małego, nawet jeśli jest czarne. Kelnerka – młoda Ukrainka ze śpiewnym akcentem i światłem w twarzy. Ukraińcy są już wszędzie, nie tylko pracują w usługach, wolałbym, żeby to byli Szwajcarzy, ale jakoś nie chcą do nas przyjeżdżać. Jednak ci sąsiedzi ze Wschodu budzą na ogół moją sympatię.

Przegrani nie tylko liżą rany, ale też je rozdrapują.

Wkrótce przyjedzie po nas samochód i zawiezie na obrady. Jestem w jury dorocznego konkursu na literacką książkę o Zakopanem. To miasto kapiące zamożnością. Bywałem tu bardzo często od małego, ale w ostatnim okresie mego życia była długa przerwa, z jednym krótkim spacerem Krupówkami rok temu. Przypominam sobie miejsca i one przypominają mi o sobie. Jem fantazyjną kaszę w restauracji, która specjalizuje się w kaszach. Nagle uświadamiam sobie, że to w tym pięknym, drewnianym domu był Poraj, a tam słynne rydze i kanapki. Było gęsto i świetliście i stał zapach lepszego świata. Nie znajduję Cocktail Baru, to raj mojego dzieciństwa, królestwo lodów i melb. Potem dowiaduję się, że nowy budynek podobny do czarnego, błyszczącego mercedesa nowej generacji wyrósł właśnie w jego miejscu. To galeria handlowa, niewielka, ale i tak za duża, nie w skali ulicy. Na początku jestem estetycznie urażony, nawet oburzony, ale kiedy widzę ten budynek po raz kolejny, gdy zwiedzam jego luksusowe wnętrza, jadę pierwszymi schodami ruchomymi w Zakopanem, nagle zaczynam patrzeć bardziej przychylnym okiem. To prawie pewne, że za kilkadziesiąt lat interesująco się zestarzeje i będzie przykładem stylu, który jeszcze nie ma nazwy, a dopiero się uwyraźni z czasem – lat 20. XXI w. Wiemy przecież, jak była krytykowana przez współczesnych wieża Eiffla, jak nam się nie podobał Pałac Kultury, a teraz wydają się interesujące.

•

Paweł Skawiński był wieloletnim dyrektorem Tatrzańskiego Parku Narodowego, przewodnik tatrzański, leśnik. Spacerujemy, podnoszą się chmury, wyłaniają się zbocza z płatami śniegu. Opowiada o drzewach, zwierzętach, o wspinaczce, głęboka wiedza, miłość do przyrody, troska, talent oratorski. Niezwykłe, że taki człowiek był dyrektorem Tatrzańskiego Parku Narodowego, dzisiaj to nie do pomyślenia. Miejscowi potwierdzają, że tu też PiS wymienia ludzi na kierowniczych stanowiskach na „szyszki". Trwa inwazja barbarzyńców. Nie mamy oglądu całości sytuacji, a tak jest wszędzie.

Pytam pana Pawła o moich dawnych zakopiańskich znajomych. Na początku lat 70. wszedłem głęboko, chociaż tylko na chwilę, w góralsko-zakopiański świat. Wszystko dzięki Yoshiho Umedzie. Japończyk mieszkający od dziecka w Polsce był moim przyjacielem. Zakorzenił się w górach, traktowany był tu trochę jak przyrodnicza osobliwość. Dowiaduję się, że Maciek, świetny narciarz, rozpił się, miał amputowane obie nogi i umarł. Na zawsze zostanie w mojej pamięci jako krewki młodzian. Bracia Krzeptowscy kierujący schroniskiem w Pięciu Stawach? Andrzej nie żyje, o wiele wcześniej trójka jego małych dzieci utopiła się w Bałtyku. Jego brat Józek nadal po stronie istnienia, ale już nieświadom niczego. Życie to rzeźnia.

•

Gdy na chwilkę wejdę w media publiczne – bardziej wpadam, niż wchodzę – to zawsze trafiam na jadowitą propagandę. Czyli całość przekazu zrobiona jest z gęstej propagandowej papki. Dlaczego to gorsze niż w czasach PRL? Oni korzystają z wiedzy psychologicznej, też dotyczącej reklamy, która narosła przez lata. Dlatego to tak perfidne, przebiegłe i działa na prosty lud.

•

Od ludzi, też z niewielkich miast, dostaję świadectwa, jak są udręczeni, jak wykorzystywani, upokarzani, zastraszani przez pracodawców. To zjawisko powszechne. Polski kapitalizm jest drapieżny. To kolejny powód, czemu PiS wygrywa. Pisowcy stwarzają wrażenie, że się zatroszczą, pomogą, wesprą.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2531abbedc

Tadeusz Krzymowski

Powojenne przemiany w Polsce – fakty i mity

Nie wolno burzyć, trzeba budować i drobnymi krokami dojść do demokratyzacji życia politycznego

Jako dziecko, do 12. roku życia żyłem w II Rzeczypospolitej. Pamiętałem z okresu przedwojennego – a szczególnie dobrze to poznałem, kiedy w Zwiadzie Konnym AK przemierzałem wzdłuż i wszerz całą Wileńszczyznę – jak beznadziejna nędza na wsi i w małych miasteczkach Wileńszczyzny była w tym czasie normalnością. Jak ogromny odsetek ludności był analfabetami i podpisywał się trzema krzyżykami. Czym był przednówek. Jak wyglądało życie wielodzietnej rodziny, tłoczącej się w jednej izbie z klepiskiem glinianym zamiast drewnianej podłogi, w chacie krytej słomą, z małymi oknami i zaśnieżoną zimą ubikacją obok stodoły. A takich chat były dziesiątki i setki. Jak ogromny procent dzieci w całym dzieciństwie nie miał choćby jednej pary butów.

Moje dzieciństwo było inne, ale ja widziałem i nie mogłem tego nie pamiętać. I choć wydaje się to dziś paradoksem, to ja, były żołnierz AK, żyjący w Polsce Ludowej przez 13 lat na fałszywych, nielegalnych dokumentach, ale pełen życia 20-latek, który tu w Polsce, pracując, kończy gimnazjum w wieczorowej szkole w Brodnicy i rozpoczyna na Uniwersytecie Warszawskim studia – byłem dumny z odbudowy zburzonej przez Niemców Warszawy, z odbudowy zniszczonych miast i miasteczek, z likwidowania analfabetyzmu, z migracji milionów chłopów z nędznych wiejskich chałup do miejskich mieszkań z łazienką i ubikacją. Migracja chłopów ze wsi i miasteczek do odbudowywanych i budowanych miast! Kto dziś o tym pamięta? Dzieci i wnuki owych przesiedleńców, dzisiejsza inteligencja, jakże często dziś twórcy kultury i sztuki, uczeni, inżynierowie, politycy i wysocy rangą urzędnicy, najczęściej odcięli się od swoich korzeni, zapomnieli, kim byli ich dziadkowie, babki, ojcowie i matki, i w jakich to czasach zmienił się ich status społeczny, komu i jakim czasom zawdzięczają swoją dzisiejszą pozycję społeczną.

Porywało mnie to, a zapewne i wielu innych, że uczelnie wyższe wypełniały się tymi, którzy w innym ustroju pozostaliby bez szans. Sądziłem, że idee Stefana Żeromskiego z „Popiołów" i „Przedwiośnia", które były dla mnie szlachetne i wielkie, znajdują swój finał, a jeśli jeszcze nie znajdują go dziś, to muszą znaleźć w niedalekiej przyszłości. Choć, dziś to wiem, było w tej ocenie wiele utopii, być może naiwnej wiary w szansę nowego nieznanego, ale, jak wierzyłem, sprawiedliwszego ustroju. Ta wizja nie tylko mnie porywała.

Miliony młodych Polaków, takich jak ja, pełnych aktywności i dobrej woli, nie chciało pozostawać na marginesie wydarzeń i podobnie jak ja wiązało swoje emocje z nieznaną, a więc może z lepszą przyszłością.

Krzyż Armii Krajowej – odznaczenie wprowadzone 1 sierpnia 1966 r. przez gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłków żołnierzy Polski Podziemnej 1939-1945.

„Kto w młodości nie był utopijnym socjalistą, ten najczęściej będzie łajdakiem na starość", nie bez racji chyba powtarzali słowa kanclerza Bismarcka dawni Piłsudczycy i inni. Dziś rozumiem, że jest to kwestia wrażliwości, która w jakże różnym stopniu rozwija się u każdego z nas. Ale podobnie myślących były naprawdę miliony.

Są fakty, ale są i utrwalone mity.

Mitem jest, że opór przeciw nowemu ustrojowi był powszechny. Miliony Polaków, z nadzieją na lepsze życie, popierało ten nowy, nieznany ustrój. To dzięki zmianom powojennym tysiące bezrolnych lub małorolnych otrzymało ziemię z rozparcelowanych majątków, to tysiące przenosiło się z ubogich Kurpi i Podkarpacia oraz innych dzielnic Polski na Mazury, na Ziemie Zachodnie. Tam zajmowali piękne gospodarstwa rolne, przydzielane im za darmo. Z radością witano parcelacje majątków i nacjonalizację przemysłu. Z radością przyjmowano brak tak tragicznego przed wojną bezrobocia czy otwarcie nowych szkół powszechnych. Z entuzjazmem witano bezpłatne szkoły średnie i wyższe, pamiętając o czasach przedwojennych, gdzie odpłatność za szkolnictwo średnie i wyższe było podstawowym ograniczeniem, dla milionów niedostatecznie zamożnych, dostępu do tych szkół.

Tak jak mitem jest, że w czasie okupacji niemieckiej wszyscy Polacy walczyli z okupantem. Prawda jest nieco inna. I tej gorzkiej prawdy nie można zamiatać pod dywan, nie można

eprasa.pl 2531abbedc

Dr Roman Korab-Żebryk (po prawej), ostatni (po śmierci „Juranda") dowódca 1. Brygady Wileńskiej AK i autor książki „Operacja wileńska AK", podczas wizyty w Olsztynie. W środku Henryk Krzyszczak, akowiec z olsztyńskiego ZBOWiD-u, z lewej autor.

oszukiwać młodzieży. Prawdę trzeba znać! Dziś wiemy, że w czasie okupacji część Polaków przeszła przez straszne, trudne do wyobrażenia tortury i obozy, że straciła życie, a jeśli przeżyła, pozostały u nich niegojące się blizny. Część walczyła w oddziałach leśnych Armii Krajowej, w Armii Ludowej, w Batalionach Chłopskich. Ale to była „część".

Dziś wiemy, po ujawnieniu dokumentów, że prawdą jest, iż ok. 150 tys. Polaków współpracowało też z Gestapo. Ile tzw. donosów do Gestapo napisali Polacy na Polaków? Konspiracyjne organizacje Polski Podziemnej kierowały swoich członków do pracy na poczcie, aby przechwytywać listy adresowane do Gestapo. Donosy pisane były przez Polaków najczęściej na swoich sąsiadów. Około 20 tys. pracowało w tzw. polsko-niemieckiej granatowej policji. To z tej policji wywodzą się tzw. szmalcownicy, to ta policja eskortowała prowadzonych do getta lub na śmierć Żydów. Ilu Polaków przywłaszczyło sobie pożydowskie mienie? Część Polaków żyła spokojnie, żeniąc się i rodząc dzieci, a inna część nawet bogaciła się, prowadząc intratne handlowe interesy lub zdobywając złoto od przechowywanych bogatych Żydów. Taka jest prawda, choć dziś niemiła. Faktów nie można wymazywać z historii. Prawda jest jedna, chwalebna czy bolesna, ale prawda, z którą należy żyć. Dziś nie chce się odróżniać dramatycznych czasów lat wojny i okresu bezpośrednio powojennego, kiedy wojenne okropności jeszcze się wlekły, kiedy zaistniały sprzyjające warunki do rabunków i samowolnie wymierzanej sprawiedliwości, kiedy państwo musiało osądzić zbrodnie okupacyjne i samowolne pofrontowe rozliczenia, od późniejszych czasów życia w odbudowywanej z gruzów Polsce. Nie chce się odróżniać wczesnego okresu powojennego od czasów po 1956 r., od czasów lat 70., kiedy wyrastał nowoczesny przemysł i miliony mieszkań. Tworzy się uogólnienia i nowe fałszywe mity. Dlaczego tylko ocet stał na półkach w latach 80., nie zrozumie dzisiejsza młodzież, którą karmi się kłamstwami, powtarzanymi często przez osoby, które na przełomie lat 70. i 80. nie były już dziećmi i powinny tamte realia rozumieć.

Iluż jest dziś nieznających historii i karierowiczowskich dziennikarzy, którzy ten jakże złożony proces istnienia państwa polskiego, podkreślam, przecież jedynego istniejącego w Europie państwa polskiego, działającego z konieczności w takich, a nie innych sojuszach i układach politycznych, opisują w zafałszowany i prymitywny sposób. Tak łatwo jest dziś przekreślić nie tylko wysiłek i wyrzeczenia całego powojennego pokolenia Polaków, ale także efekty tych wysiłków, ich znaczące w wielu dziedzinach sukcesy, dorobek gospodarczy, naukowy, kulturalny i społeczny. Podkreślam: konkretny dorobek wielu dziesięcioleci.

Jak łatwo jest wygasić przeszłość, opluć ją lub wykpić, upokarzać całe pokolenie Polaków, które z poświęceniem i zapałem przystąpiło do gojenia ran wojennych, do odbudowy zrujnowanych domów, szpitali, kościołów, dróg i całej infrastruktury.

Byłem świadkiem tamtych wydarzeń, miałem otwarte oczy. To w czasach, które dobrze pamiętam, m.in. organizowano kursy pisania i czytania, likwidując analfabetyzm. To w tamtych czasach doprowadzano prąd elektryczny nie tylko do miasteczek, ale do wsi i osiedli. Hasła: „likwidacja analfabetyzmu" czy „elektryfikacja kraju" były nośne i znajdowały powszechne poparcie. Ile osób z ogromnym zaangażowaniem się włączało w odbudowę małych miast i miasteczek, w odbudowę zniszczonej infrastruktury, w organizację szkolnictwa, służby zdrowia, nauki. Jak nośnym i szlachetnym hasłem było: „Tysiąc szkół na tysiąclecie państwa polskiego". Ile stworzono szkół wyższych, ile wybudowano szpitali, muzeów, teatrów, ile odbudowano zniszczonych pałaców i innych zabytków.

Mitem jest powszechny opór przeciw nowemu ustrojowi. Miliony Polaków, z nadzieją na lepsze życie, popierało ten nowy, nieznany ustrój.

Z uwagą i aprobatą czytałem napisaną ocenę prof. Andrzeja Friszkego, olsztynianina, historyka pracującego w placówce Polskiej Akademii Nauk. W swojej książce „Polska. Losy państwa i narodu 1939-1989" (Warszawa 2003), m.in. tak pisze: „Ustrój polityczny został uznany jako rzecz dana obiektywnie, niezmienna, nie-zależna od woli społeczeństwa, konsekwencja podziału świata i powojennych przemian wewnętrznych. [...]. Ogromna część społeczeństwa dokonywała porównania współczesnego poziomu życia z poziomem życia

eprasa.pl 2531abbedc

swoich rodziców oraz ich samych w młodości i dochodziła do wniosku o dokonanym postępie".

Były wiceminister kultury polskiego rządu, już po przemianach ustrojowych, humanista i społecznik Michał Jagiełło kiedyś powiedział: „Było, jak było, ale to było nasze państwo, innego nie było".

Czy mnie osobiście nie raził brak demokracji i niedemokratyczne, autorytarne rządy, tworzone przez rządzącą mniejszość partyjną? Chyba nie.

Po pierwsze, wyrosłem w czasie wojny, w okresie ugruntowanego kultu dla hasła „cel uświęca środki".

W latach 80. Roman Korab-Żebryk, ostatni były dowódca mojej 1. Brygady Armii Krajowej „Juranda"

i autor „Operacji wileńskiej AK" (Warszawa 1985), wręczył mi swoją książkę z dedykacją: „Ten przeciw nam, który nie idzie z nami". Czy było to zawołanie demokratyczne? A to były słowa hymnu, który w swoim czasie, w latach okupacji, był dla mnie świętością, ale i nakazem.

Ponadto uważałem, że są sytuacje, szczególne warunki, które sprzyjają temu, by decyzje były podejmowane szybko, ale też, by były one skuteczne. Na przykład, jak to się dzieje przy stole operacyjnym. Chirurg operujący nie postępuje demokratycznie, nie przeprowadza dyskusji podczas zabiegu. Zespół operujący nie głosuje, chirurg działa autorytarnie, a jednak jego działanie jest akceptowane, bo tego wymagają okoliczności.

Okoliczności po wojnie wydawały mi się zupełnie szczególne. Nie byłem ani politykiem, ani znawcą rozwiązań ekonomicznych. Uważałem, że należało wybierać między tym, co jest realnie możliwe a mrzonkami, które w określonych warunkach są tylko „chciejstwem". Uświadomiona konieczność jest też wyborem.

Powrót do przedwojennych stosunków społeczno-politycznych, do narodowych, bliskich faszyzmowi rządów, wydawał mi się niemożliwy. Byłem przekonany, że uzasadnione jest poszukiwanie nowych, niestosowanych dotąd stosunków społeczno-politycznych, które pozwolą wyrównywać szanse mieszkańcom zacofanych wsi i zacofanym w ich codziennym życiu robotnikom. Nacjonalizacja majątków, banków, fabryk, wprowadzanie do dworów i pałaców szkół lub szpitali – były działaniami bardzo mi bliskimi. Wynikało to z mojej wrażliwości na istniejące rozwarstwienie społeczne.

Nie miałem wówczas i nie mam dziś wątpliwości, że po wojnie w Polsce dokonywane były historyczne przemiany: odbudowa kraju z powojennych ruin, zmiana ustroju społecznego, zmiany gospodarcze, które kraj typowo rolniczy przekształcały w kraj przemysłowo-rolniczy, ofensywa ideologiczna, która odsuwała Kościół i endecką prawicę od rządzenia i kształtowania umysłów, przede wszystkim od umysłów młodych ludzi. To były fakty, które widziałem i ceniłem. Trzeba było działać szybko i skutecznie.

Czy nie warto zrezygnować z pewnych nawet demokratycznych form rządzenia, aby po tak strasznej i niszczącej wojnie działać szybko i skutecznie, bo w dobrej przecież sprawie, myślałem?

Wszystkie powojenne działania uznawałem z jednej strony za uświadomioną konieczność, przejściową, powojenną, bo po II wojnie światowej, po ustaleniach zwycięzców w tej wojnie nie można było inaczej, ale z drugiej strony, one mi gdzieś tam w głębi mojej duszy odpowiadały i w drodze wyboru, mimo wielu spostrzeganych i drażniących wypaczeń i defektów, z przekonaniem podpisywałem się pod hasłami nowego ustroju.

Byłem przekonany, że w Polsce nie ma żadnego komunistycznego ustroju, że jest on inny, niż był na wschodzie, a jest to socjalizm, polski, już nie utopijny, lecz realny socjalizm, który na tym etapie i w tych warunkach geopolitycznych może i musi być wcielany w życie, choć trzy czwarte świata za wszelką cenę pragnie go zlikwidować wszystkimi możliwymi sposobami. Polski realny socjalizm, dziś w prymitywny sposób nazywany „komuną", pozwalał milionom rolników mieć własne gospodarstwa, być właścicielami ziemi, czyli gospodarstw do 50-100 ha, pozwalał mieć własne domy, prowadzić o określonej wielkości warsztaty wytwórcze, gospodarstwa ogrodnicze itp. Czy tak było w sąsiedniej Litwie, czyli na mojej dawnej Wileńszczyźnie, lub w jakiekolwiek republice radzieckiej? A mogliśmy podzielić los Litwy, Łotwy i Estonii, które przed 1939 r. miały taki sam status polityczny jak Polska.

Polski realny socjalizm pozwalał milionom rolników mieć własne gospodarstwa, domy, prowadzić warsztaty wytwórcze.

Wierzyłem, że przyjdzie kiedyś czas na daleko idące zmiany ustrojowe. Ale trzeba do tego dojrzeć, trzeba działać rozważnie, odpowiedzialnie. Nie wolno burzyć, trzeba budować i drobnymi krokami dojść do demokratyzacji życia politycznego. Rozumiałem, że mój w tym udział musi być zminimalizowany, bo mam inne kwalifikacje, inne zadania życiowe, inną pasję i inne obowiązki.

Każde wydarzenie zrywów społecznych w 1956, 1968, 1970 i 1980 było mi bliskie, choć bolesne. Uważano mnie za rewizjonistę, ale nie przeszkadzało mi to, aby uznawać siebie za socjalistę, za człowieka lewicy.

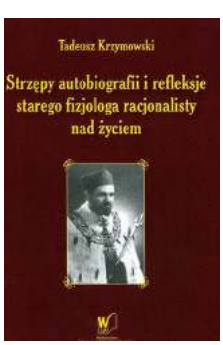

Fragmenty książki Tadeusza Krzymowskiego *Strzępy autobiografii i refleksje starego fizjologa racjonalisty nad życiem*, Wydawnictwo UWM, Olsztyn 2018.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA (2), ARCHIWUM

eprasa.pl 2531abbedc

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

Księżniczka Anna spadła z konia

Przeczytałem niedawno, że panowanie Elżbiety II jest najdłuższym w historii europejskich władców. Nie jest to informacja prawdziwa. Zasiada Elżbieta na tronie od 1952 r., na razie więc króluje Wielkiej Brytanii lat 67, tyle samo, co Egiptowi Ramzes II. Jeżeli jednak odrzucimy Ramzesa, bo to i starożytność, i geograficznie Afryka, i jeszcze datacja niezupełnie pewna, i tak znajdzie się przed nią trzech władców:

1. Ludwik XIV, król Francji. Wstąpił na tron 14 maja 1643 r. i panował do 1 września 1715 r., czyli 72 lata, 3 miesiące i 17 dni.

2. Harald I Pięknowłosy (Hårfagre), król Norwegii przez 70 lat (lata 860-930, niektórzy datują 858-928, co nie zmienia dla nas istoty rzeczy), a mógł rządzić dłużej, gdyż od chwili przekazania berła najstarszemu synowi Erykowi Krwawemu Toporowi (Blodøxowi) żył jeszcze trzy lata.

3. Franciszek Józef I, cesarz Austrii. Koronowany został 2 grudnia 1848 r., zakończył panowanie 21 listopada 1916 r. Zasiadał więc na tronie 68 lat bez 11 dni. Intronizowana *in absentia* (6 lutego 1952 r., w dniu śmierci Jerzego VI, przebywała w Kenii) Elżbieta II dogoni go dopiero 26 stycznia 2020 r.

Natomiast od dawna już zasiada Elżbieta na tronie dłużej niż jej praprababka Wiktoria (1837-1901), która stała się symbolem epoki wiktoriańskiej. Jest też w Australii stan Wiktoria, w Afryce – Jezioro i Wodospady Wiktorii, w Arktyce – Wyspa Wiktorii, na Antarktydzie – Ziemia Wiktorii, nie wspominając już o stylu wiktoriańskim obejmującym nader eklektyczne formy. Niestety, czasy się zmieniły i żadna epoka elżbietańska do podręczników nie trafi, acz winno w nich się znaleźć miejsce dla czarujących świat cały elżbietańskich (szczególnie różowych) kapelusików.

W Polsce długotrwałością czyichkolwiek rządów nie bardzo możemy się pochwalić. Najdłużej, ponad 48 lat, a ściślej 48 lat, 2 miesiące i 28 dni, panował Władysław Jagiełło (w tym 13 lat wspólnie z Jadwigą, mającą także prawa królewskie), co daje mu w rankingu europejskim miejsce w czwartej dopiero dziesiątce, na równi m.in. z Janem I Wielkim, królem Portugalii, i Janem II, królem Kastylii i Leónu, ojcem Izabeli Katolickiej, która opłacała podróże Kolumba. 45 lat stał na czele Polski Kazimierz Jagiellończyk, a prawie 44 i pół Zygmunt III Waza – koniec piątej dziesiątki. Stanowi to pewien brak w sentymentalnej historii Polski, gdyż w tradycji międzynarodowej przyjęło się uważać, że sędziwi monarchowie są przeważnie poczciwi, mało podatni na zbyt skomplikowane intrygi, nie mają energii, by się upierać przy zbyt karkołomnych reformach, wielu rzeczy nie dosłyszą, co powoduje ich sympatię dla poddanych, a nawet wykazują się wobec nich pewną empatią. Dlatego pełno o nich ciepłych i wesołych opowieści i dowcipów. Tak było z Ludwikiem XIV, któremu wkładał w usta poeta i filozof Bernard Fontenelle karykaturalne powiedzonka. Na przykład po nierozstrzygniętej bitwie pod Malplaquet (11 września 1709 r.) miał Ludwik powiedzieć: „Czy ten Pan Bóg zapomniał, ile dla niego zrobiłem?". Po innej porażce: „Gdybym nie był królem, tobym się wściekł". Apokryfów bez końca, na czele z moim ulubionym, wygłoszonym rzekomo, kiedy kareta przyjechała po władcę z dokładnością do sekundy: „Jeszcze chwila, a musiałbym czekać" (*J'ai failli attendre*).

A cóż dopiero z Franciszkiem Józefem I! O tym ostatnim przytacza niezastąpiony krakauer Leszek Mazan anegdot setki. Przypomnijmy więc tylko: „W drugim roku wojny (1916 – przyp. LS) pewien austriacki oficer polskiego pochodzenia w liście do przyjaciela nazwał Cesarza »starym pierdołą«. List przechwyciła cenzura, sprawa trafiła do sądu. Wezwani w charakterze ekspertów trzej profesorowie uniwersyteccy, poloniści: Kazimierz Nitsch, Jan Łoś i Jan Rozwadowski zgodnie zawyrokowali, iż »stary pierdoła« to nie – jak sugerował kontrwywiad – »*alter Dummkopf*«, lecz »*gutmutiger Opa*«, dobrotliwy staruszek. Cesarz, wyraźnie zadowolony, chwalił wypróbowaną lojalność Polaków i kazał sobie wielokrotnie odczytywać raport w tej sprawie, przy możliwie największej ilości świadków". Albo: „Z prawdziwym zadowoleniem czytał Franciszek Józef adres uchwalony przez sejm galicyjski: »Z głębi serc naszych oświadczamy, że przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy«. Monarcha doskonale zrozumiał zawartą w adresie aluzję i zarządził, by starszym sygnatariuszom adresu wolno było w jego towarzystwie na chwilę przysiadać". Starym będąc, doceniał Franciszek zasługi ludzi wiekowych. Kiedy dowiedział się, że najstarsza prostytutka w Wiedniu, z pochodzenia Włoszka – Maria Tornetta, obsługuje klientów mimo ukończonych 81 lat, żałował bardzo, że charakter jej zajęć utrudnia wykorzystanie w podręcznikach szkolnych jej życiorysu jako przykładu rzetelnego stosunku do pracy.

Funkcjonowały też na Zachodzie żarciki o młodszych monarchach. Ale zawsze, zgodnie z prawem kumulacji, o sędziwych najwięcej. W każdym razie „dobrze, dobrze być cysorzem, choć to świnia i krwiopijca".

A dlaczego o tym wszystkim piszę? Kiedy w 1981 r. wyjeżdżałem do Francji, mama prosiła mnie, żebym przysyłał jej ilustrowane żurnale („Paris Match" itp.). Ponieważ wielce była praktykująca, przekazywałem jej wszystkie pisma z reportażami i komentarzami o Janie Pawle II (pełnymi fotek oczywiście). Aż w końcu taki dostałem list: „Kochany – papieża to my tu mamy po uszy i powyżej. Gdybyś mógł przysyłać pisma z jakimiś plotkami o aktorach, a najlepiej o królewskich dworach, strojach, zdradach i małżeństwach...". Od tego czasu od Wojtyły odetchnęliśmy nieco. Ale teraz z kolei do znudzenia: Kaczor i Schetyna, Schetyna i Kaczor. Żebyż oni chociaż przystojni albo inteligentni byli! Pragnąc dać czytelnikom chwilę odprężenia, ten felieton więc im poświęcam. Księżniczka Anna spadła z konia – dawno to już było, ale nadal rzecz ciekawsza niż piknik patriotyczny z damą Szydło.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2531abbedc

Pamięć o Darnicy

Darnicka młodzież czci poległych polskich przeciwlotników i dba o ich mogiły

Zbigniew Domino

Otrzymałem niedawno wzruszający list od pedagogów i uczniów Gimnazjum nr 290 w Darnicy, dzisiaj zadnieprzańskiej dzielnicy Kijowa. Darnicka młodzież czci pamięć poległych tam w czasie wojny polskich żołnierzy.

Wszystko działo się 75 lat temu, w nocy z 7 na 8 kwietnia 1944 r. W Darnicy w drodze na front zatrzymał się kolejowy transport polskiego 1. Samodzielnego Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej z 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Polacy obchodzili akurat święta wielkanocne. Nagle dowództwo dywizjonu otrzymało wiadomość, że do Kijowa i Darnicy zbliża się znaczna liczba niemieckich bombowców. Alarm! Obsługi dział i karabinów maszynowych znalazły się na swoich stanowiskach. Bombowce nadleciały. Baterie radzieckie i polski dywizjon otworzyły ogień. Nurkujące niemieckie samoloty wpadały w krzyżowy ogień polskich dział i cekaemów. Pierwszy samolot, trafiony przez kpr. Władysława Pajoska, spadł w płomieniach na ziemię. Z kolei kpr. Michał Kurczewski strącił strzałami z karabinu maszynowego ok. 10 rakiet oświetlających. Kolejny nurkujący bombowiec został zestrzelony przez kpr. Stanisława Dębniaka.

Po kilkudziesięciominutowej walce przeciwlotnikom zaczęło brakować amunicji. Kto nie obsługiwał armat, biegł do wagonu amunicyjnego po skrzynki z nabojami, choć ogień palących się sąsiednich transportów, wybuchy bomb i cystern z benzyną śmiertelnie raziły.

Nalot na Kijów i Darnicę skończył się dopiero o świcie. Odsłonił się przerażający obraz zniszczeń: pożary, gruzy zabudowań, zerwane tory, porozbijane wagony, wielu zabitych i rannych.

W darnickim boju polscy przeciwlotnicy nie tylko z honorem spełnili swój żołnierski obowiązek, ale także w znacznym stopniu przyczynili się do obrony Kijowa. Strącili kilka samolotów wroga, w tym na pewno trzy junkersy 88. Jednak cena tego bohaterskiego boju była wysoka. Dywizjon stracił tamtej nocy 49 żołnierzy, kilkudziesięciu było rannych.

Pomnik poległych polskich żołnierzy na darnickim cmentarzu.

Opisaliśmy ten bój przed rokiem w PRZEGLĄDZIE (nr 22/2018). Za pośrednictwem pisarza i publicysty Jewhena Łukianenki ten numer trafił do Kijowa. Artykuł o Darnicy przedrukowano w ukraińskiej prasie. Odbiło się to echem zwłaszcza wśród mieszkańców Darnicy, gdzie na tamtejszym cmentarzu znajduje się zbiorowa mogiła poległych polskich żołnierzy. Mieszkańcy Darnicy zareagowali natychmiast (PRZEGLĄD nr 26/2018). W opiekę nad mogiłami polskich przeciwlotników włączyła się miejscowa parafia prawosławna, a także pedagodzy i uczniowie gimnazjum.

Oto fragmenty ich listu: „(…) W naszym mieście na darnickim cmentarzu leżą polscy żołnierze, którzy stoczyli bój na darnickim węźle kolejowym i mężnie walczyli z niemieckimi messerschmittami, które nagle się na horyzoncie pojawiły. Polscy zenitczycy (przeciwlotnicy) na wieki spoczęli na ukraińskiej ziemi. Czcimy ich pamięć i składamy kwiaty na ich mogiłach.

Zatelefonowała do nas pani Julia Łukianenko i opowiedziała nam szczegółowo o tych całkiem młodych chłopcach żołnierzach, którzy w noc wielkanocną spełnili swoją misję i bronili obcych ludzi, obcego państwa i polegli na wieki na tej obcej ziemi. Rozumiemy, że ci bohaterscy żołnierze byli czyimiś synami, braćmi, ojcami. Oni kochali i ich kochano. Trudno wyobrazić sobie żal i ból po tej stracie. Walcząc w obronie Darnicy – to oni ocalili życie tysiącom ludzi.

Ci młodzi chłopcy w noc wielkanocną bronili obcych ludzi, obcego państwa i polegli na tej obcej ziemi.

Dzięki Julii Łukianenko i panu znamy z nazwiska tych polskich bohaterów i możemy opowiedzieć o ich bohaterstwie przyszłym pokoleniom, naszym dzieciom i wnukom…

Każdego roku w naszym gimnazjum odbywają się specjalne lekcje poświęcone pamięci o bohaterach,

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2531abbedc

Lekcja pamięci w Gimnazjum nr 290 w Darnicy poświęcona przeciwlotnikom, którzy oddali życie w obronie Kijowa.

którzy oddali życie w czasie II wojny światowej. Czcimy ich pamięć i przekażemy ją następnym pokoleniom. Wiemy, że ludzie żyją, dopóki pamięć o nich żyje. Poznawszy szczegóły historii polskich przeciwlotników broniących Darnicy i przeczytawszy o nich w Pana »Syberiadzie polskiej«, nie mogliśmy pozostać obojętni i mówiliśmy o tym na lekcjach poświęconych Dniu Wyzwolenia Kijowa.

Jesteśmy szczerze wdzięczni za opisanie tej historii i uświadomienie jej nam. A my ze swej strony postaramy się upowszechniać ją dalej, aby na wieki zachować pamięć o poległych polskich żołnierzach".

W imieniu pedagogów i uczniów Gimnazjum nr 290 w Darnicy list podpisała dyrektor Polina Zamaskina.

Już po tym liście w kijowskiej „Roboczej Gazecie" ukazał się kolejny artykuł Julii Łukianenko poświęcony temu tematowi.

Aktualnie rządzący Ukrainą, podobnie zresztą jak nasze władze, nie obchodzą oficjalnie 9 maja jako dnia zakończenia II wojny światowej. Ale wielu Ukraińców, żeby nie powiedzieć większość, wie swoje. W tym roku 9 maja ulicami Kijowa przeszedł wielotysięczny pochód, zwany Marszem Nieśmiertelnego Pułku, którego uczestnicy nieśli portrety swoich poległych przodków. Wśród transparentów wyróżniał się baner z napisem: DARNICA. Widziałem to w telewizji (oczywiście nie naszej) i jednoznacznie odniosłem to do pamięci darniczan o naszych przeciwlotnikach.

PS Podaję adres Gimnazjum nr 290 w Darnicy.

ГІМНАЗІЯ № 290
вул. Ревуцкого, 13а, м. Київ, 02091,
tel./faks + 380 44 563-02-62
e-mail: gymnasium_290@ukr.net

Być może ktoś z weteranów lub czytelników zechce napisać do tych młodych ludzi, bo na polską ambasadę w Kijowie nie ma co liczyć. A szkoda.

■

Rosyjska „Pierwsza Brygada"

Ciemna noc w muzeum

Dyrektor Muzeum II Wojny Światowej uznał tryczną piosenkę o wojennej mrówce za bolszewicką propagandówkę

Z PRZEGLĄDU (nr 22) dowiadujemy się o bohaterskim proteście pana Karola Nawrockiego, dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, przeciw ohydnej (bo radzieckiej) pieśni „Ciemna noc" ze słowami niesłusznie przetłumaczonymi na świętą mowę polską przez jakiegoś Tuwima (wiadomo…). Wypada zaproponować, by pan Nawrocki złożył także protest w sprawie dwóch innych polskich (?) pieśni, w dodatku wojskowych. Oto tak (niesłusznie) popularna kiedyś pieśń „Rozszumiały się wierzby płaczące" to znana od dawna melodia marsza rosyjskiego „Pożegnanie Słowianki". I więcej: „najdumniejsza pieśń żołnierza polskiego", jak zawyrokował Marszałek (nie jakiś nikomu nieznany Rokossowski, lecz sam Piłsudski!), „My, Pierwsza Brygada", od 2007 r. pieśń reprezentacyjna Wojska Polskiego, o autorstwo polskich słów której toczyły się długie boje, to także melodia marsza rosyjskiego „Tęsknota za ojczyzną". Uważa się, że skomponował go Dmitrij Trifonow w 1904 r. dla 51. Pułku Piechoty Litewskiej, stacjonującego w Symferopolu (autor był w dodatku rosyjskim Żydem, tylko studia muzyczne odbył w konserwatorium rosyjskim w Warszawie). Według innych źródeł autorem był Jakow, a jeszcze inni podają, że użyczył on tylko Trifonowowi nazwiska, żeby ukryć pochodzenie autora, co było możliwe, bo widać w Symferopolu nie było wtedy takiego patrioty jak Nawrocki (http://vilavi.ru/pes/toska/vokrug.shtml). W każdym razie istnieje wiele nut i płyt z tymi pieśniami, wydanych jeszcze przed I wojną światową, i to w Rosji. Nadmienić należy, że niestety polscy akordeoniści też produkują się w internecie i „Pożegnaniem Słowianki", i „Tęsknotą za ojczyzną", ale w ich wykonaniu nie można się doszukać melodii znanej w Polsce jako „My, Pierwsza Brygada". Trzeba jednak i tak dać odpór. Mężny panie Nawrocki, do dzieła!

Krzysztof Kwaśniewski

eprasa.pl 2531abbedc

Może przestać padać deszcz

Zmiana klimatu postępuje szybciej, niż przypuszczaliśmy jeszcze kilka lat temu

Rozmawia Barbara Jagas

ZBIGNIEW KARACZUN
– profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, ekspert Koalicji Klimatycznej

To mamy komara tygrysiego w Polsce.

– Jeszcze niezupełnie. Mamy doniesienia o jego pojawianiu się w naszym kraju, ale chyba jeszcze u nas się nie zadomowił. Natomiast z dużym prawdopodobieństwem możemy powiedzieć, że jego obecność przyczyniła się do pierwszego przypadku śmierci na chorobę tropikalną w Czechach. Osoba, która zmarła na dengę, została ukłuta przez komara tygrysiego, który przenosi tę chorobę. A wiadomo, że ten ktoś nigdy nie wyjeżdżał za granicę. Najprawdopodobniej komar został w ubiegłym roku zawleczony do Czech, może w samolocie. Istotne jest jednak to, że w związku z ociepleniem się klimatu możemy wkrótce się spodziewać komara tygrysiego w naszej części Europy. Warunki już sprzyjają przenoszeniu się tutaj zwierząt i roślin, a także chorób, które dotąd występowały tylko w tropikach.

Jak zmiany klimatu będą oddziaływały na zmiany w przyrodzie? Czy prowadzi się na ten temat badania i obserwacje?

– Instytucja, w której pracuję – Katedra Ochrony Środowiska SGGW, prowadzi badania w tym zakresie. Natomiast Koalicja Klimatyczna, która jest organizacją pozarządową, bada, jak zmiany klimatu będą wpływały na bezpieczeństwo żywności w Polsce.

Jakie są wyniki?

– Przede wszystkim negatywne: obniży się poziom bezpieczeństwa żywnościowego Polski, znacząco zmniejszy się pewność produkcji rolnej. Wciąż jednak nie wszystko o tym wiemy. Powinno się prowadzić badania nad modelem prognostycznym, który powie, jakie skutki zmiana klimatu będzie miała dla poszczególnych sektorów gospodarki. Takie próby, co prawda, zostały podjęte, ale ich efekty nie do końca odpowiadają obecnym realiom, bo zmiana klimatu postępuje szybciej, niż przypuszczaliśmy jeszcze kilka lat temu. Badania powinny być prowadzone w dwóch kierunkach. Po pierwsze, by wskazywać metody redukcji emisji gazów cieplarnianych, które doprowadziły do dzisiejszego stanu. Po drugie, by określić, jak postępować, aby zaadaptować się do tych zmian.

Jakie są skutki zmian klimatycznych?

– Skutkiem bezpośrednio zagrażającym zdrowiu i życiu człowieka jest wzrost częstotliwości występowania ekstremalnych zjawisk pogodowych. W atmosferze zatrzymywane jest więcej ciepła, a więc energii, która musi się rozładować. Dzieje się to za pośrednictwem tych zjawisk ekstremalnych, które obserwujemy. Są to ulewne deszcze, huraganowe wiatry, długotrwałe susze. Niestabilność pogody nasila się, w związku z czym nie można tworzyć długotrwałych prognoz, a stare modele do prognozowania pogody zawodzą, są nieprzydatne. Innym skutkiem zmian klimatycznych jest to, że zamiast sześciu pór roku mamy dwie. Po prostu wzrasta ilość ciepła, w związku z większym stężeniem gazów cieplarnianych nasza planeta staje się cieplejsza. Jednym z efektów jest to, że mamy w Polsce wydłużenie okresu wegetacyjnego – wcześniej się zaczyna, później się kończy.

To może nie tak źle...

– Niektórzy mówią, że to świetnie, przecież widzimy, jak Polska staje się krajem winnym – na coraz większym obszarze powstają winnice i jest produkowane wino. W coraz większej części naszego kraju rośnie kukurydza, stajemy się jej producentem, a 50 lat temu uprawiano ją na niewielkiej powierzchni.

Jest też druga strona medalu...

– Coraz trudniej będzie w Polsce uprawiać ziemniaki, bo one są zimnolubne. Zmieni się zasięg występowania niektórych roślin dziko żyjących. Przykładem jest wycofywanie

eprasa.pl 2531abbedc

Podtopienia, takie jak we wsi Czarnochowice, gm. Wieliczka, i powodzie to skutek gwałtownych zjawisk pogodowych i złej gospodarki wodnej.

się świerka z Puszczy Białowieskiej, bo robi się dla niego za ciepło. Inna zła wiadomość: już pojawiły się nowe choroby roślin i zwierząt, które wcześniej nie występowały w Polsce. Wśród nowych szkodników upraw mamy omacnicę prosowiankę, szkodnika kukurydzy, który potrafi zniszczyć uprawy nawet w 80%. Mamy też pierwsze przypadki wystąpienia choroby niebieskiego języka u bydła.

A czy zaobserwowano jakieś niebezpieczeństwa dla zdrowia człowieka?

– Mamy ewidentny wzrost liczby zachorowań na boreliozę, którą przenoszą kleszcze. W ciągu ostatnich 15 lat odnotowano czterokrotny wzrost tych zachorowań. I nie jest to tylko spowodowane większą wykrywalnością tej choroby. To samo bowiem dzieje się w krajach skandynawskich i na Syberii – gdzie w ogóle nie było kleszczy.

Co na to wszystko politycy? Chyba specjalnie się tym nie przejmują.

– Nie wszyscy, ale polscy politycy rzeczywiście lekceważą problem niebezpieczeństw związanych ze zmianami klimatu.

Energetyka oparta na węglu u nas kwitnie.

– Tak. Politycy chronią 80 tys. górników i cały sektor górniczy, bo to ich zaplecze wyborcze i bardzo gęsty splot interesów związków zawodowych, biznesu i partii politycznych. Proszę zwrócić uwagę na to, ilu polityków pracuje w spółkach węglowych i całym sektorze energetyczno-górniczym, węglowym. Hamuje to w sposób istotny inicjatywy na rzecz ochrony klimatu. A my przecież wiemy, co trzeba robić.

A co trzeba robić?

– Cały świat odchodzi od paliw kopalnych na rzecz rozwoju energetyki odnawialnej. W 2015 r. udało się przyjąć ustawę o odnawialnych źródłach energii, z poprawką, która pozwalała małym producentom, w zasadzie rodzinom, właścicielom nieruchomości, zakładać własne instalacje energetyczne i mieć z tego korzyści. Zostało to przegłosowane m.in. głosami PiS, które wówczas było w opozycji. Ale gdy PiS doszło do władzy, zlikwidowało tę poprawkę. Co gorsza, wprowadziło zmiany, które spowodowały, że energetyka wiatrowa na lądzie przestała się rozwijać. W związku z tym Polska w tej chwili jest w bardzo złej sytuacji, jeśli chodzi o energetykę, mamy gwałtownie rosnące ceny energii i coraz mniejsze bezpieczeństwo energetyczne. Zwłaszcza że energetyka węglowa przestaje nam gwarantować bezpieczeństwo.

Jak to?

– Jednym ze skutków zmian klimatu są fale upałów, z temperaturą 25 st. C i więcej przez całą dobę. W związku z tym w lecie zapotrzebowanie na energię elektryczną zaczyna być największe, bo ludzie masowo używają klimatyzacji. A jest ona bardzo energochłonna. Jednocześnie ze względu na permanentną suszę letnią, którą mamy od połowy lat 90., zaczyna brakować wody w rzekach i nie ma czym chłodzić elektrowni. Dlatego nie mogą one pracować z pełną mocą. Czyli z jednej strony rośnie zapotrzebowanie na prąd, a z drugiej – energetyka węglowa nie może go zaspokoić, bo nie ma czym chłodzić kotłów. Powinno to być powodem jakiejś refleksji u decydentów.

W związku z ociepleniem się klimatu coraz trudniej będzie w Polsce uprawiać ziemniaki, bo one są zimnolubne.

A nie jest?

– Myślę, że eksperci pracujący w spółkach węglowych wiedzą, że idziemy w złym kierunku. Ale nacisk polityczny jest taki, by używać tylko węgla, i nikt nie może podjąć innej decyzji. Każdy po prostu woli siedzieć cicho, bo wie, że jeśli się odezwie, to wyleci. I płacimy za to wszyscy. Mamy wzrost gospodarczy, ale jednocześnie sektor energetyczny zaczyna skręcać w ślepą uliczkę. Już mieliśmy dwa czy trzy przypadki

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2531abbedc

w lecie, gdy byliśmy na krawędzi ogólnokrajowego załamania systemu energetycznego. Bo zapotrzebowanie na energię w lecie było tak duże, że sieć ledwo je zaspokajała. Pamięta pani, co się działo w Szczecinie trzy lata temu?

Tak, całe miasto zgasło.

– A teraz może zabraknąć prądu w całej Polsce. Bo padnie cały system energetyczny, a nie da się go podnieść od razu. Gdyby każdy rząd patrzył perspektywicznie, widziałby to zagrożenie i od kilku lat inwestował w odnawialne źródła energii – przede wszystkim w fotowoltaikę i energię wiatrową. Bo jak jest słońce, to nie ma wiatru, a jak jest wiatr, często nie ma słońca. Musimy zabezpieczyć sieć elektryczną, trzeba 5 tys. MW fotowoltaiki – właśnie po to, by w lecie, kiedy jest gorąco i nie ma wody, dawała nam prąd. Cały świat o tym wie. Tylko polscy politycy albo nie wiedzą, albo nic sobie z tego nie robią.

Co powinno zrobić państwo?

– Przede wszystkim przyjąć rozsądną strategię energetyczno-klimatyczną – nie opartą na obronie sektora węglowego, ale taką, która uwzględni fakt, że mamy do czynienia ze zmianą klimatu. Powinniśmy zatem włączyć się w globalny trend odchodzenia od paliw kopalnych i budowania efektywnej energetyki – gospodarki cyrkulacyjnej.

Trzeba dołączyć do Europy.

– Tak naprawdę chodzi o dołączenie do świata. Europa jest co prawda liderem, ale jak się popatrzy na świat, to najwięcej odnawialnych źródeł energii powstaje w Chinach i w Indiach. Poza tym potrzebujemy działań adaptacyjnych do skutków zmian klimatycznych. Takie programy opracowano już w polskich miastach w ramach dużego projektu Ministerstwa Środowiska, który dotyczył m.in. gospodarowania wodą opadową. Chodzi np. o to, aby nie działo się tak, że przez pół godziny spada ulewny deszcz i całe miasto zostaje zalane. W ramach tego projektu w Warszawie odbudowano Staw Służewiecki, tworząc tam zbiornik retencyjny, który podczas ulew przejmuje nadmiar wody z Potoku Służewieckiego. Zaczyna się w nowy sposób tworzyć miejskie trawniki – aby po deszczach woda z nich się nie wylewała, tylko w nie wsiąkała, a także by spływała na nie z chodników. Można retencjonować trochę wody na jezdniach – 5-10 cm wody nie przeszkadza, wprawdzie samochody muszą jeździć wolniej, ale ta woda nie zalewa wtedy miasta.

Miasta mają więc strategię postępowania w przypadku ulewy.

– Tak. Wiedzą też, co powinny robić, aby zabezpieczyć się przed innymi skutkami zmian klimatu. Natomiast nie ma programu adaptacji do zmiany klimatu na obszarach wiejskich. Tam przede wszystkim powinno się iść w kierunku retencji wody. I nie przez betonowanie rzek, jak to jest planowane. Po co robić te autostrady rzeczne? To nic nie da. Kto reguluje rzekę, ten zwiększa prędkość jej przepływu. W ten sposób przyczynia się do ucieczki wody i zwiększa zagrożenie powodziowe. Wielkie tamy i wielkie zbiorniki zaporowe nic nie dadzą, wielkie tamy tylko niszczą środowisko, zamiast mu pomagać.

Jeśli nie tamy i wielkie zbiorniki, to co?

– Potrzebujemy programu odbudowy małej retencji, czyli budowy małych zbiorników śródpolnych, ochrony śródpolnych zadrzewień, przywracania bagien i mokradeł. Bo tam ta woda zostaje i oddziałuje pozytywnie na cały obszar dookoła. Więcej – w przypadku suszy może służyć jako zbiornik, z którego bierze się wodę do podlewania np. najcenniejszych upraw. Bo nie można czerpać z wód głębinowych, by podlewać rośliny.

Dlaczego?

– Ponieważ mamy tych wód bardzo mało i powinny one pełnić funkcję rezerwy strategicznej. Rezerwy, z której korzystać będziemy nie tylko my, ale także pokolenia, które przyjdą po nas.

Mówi się, że 12 lat zostało na to, by uciec przed katastrofą związaną ze zmianami klimatycznymi. O co tutaj chodzi?

– To czas podany w raporcie Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu (IPCC) opublikowanym w październiku ub.r. Raport stwierdza, że mamy tyle czasu, aby osiągnąć cel porozumienia paryskiego, umowy, którą Polska podpisała i ratyfikowała. Mówi ono, że celem działań wspólnoty międzynarodowej jest powstrzymanie zmiany klimatu w taki sposób, by średnia temperatura na Ziemi nie wzrosła powyżej 2 st. C, a najlepiej mniej niż o 1,5 st. C – bo to jest poziom, który zabezpiecza kraje wyspiarskie na Pacyfiku przed zalaniem. Wzrost temperatury jest bardzo silnie skorelowany ze stężeniem gazów cieplarnianych w atmosferze. Gazy, które dzisiaj emitujemy, nie znikają nagle. Na przykład metan zostanie w atmosferze przez sto lat. Są modele, które mówią, że jeśli znacząco obniżymy poziom tej emisji w nadchodzącej dekadzie, najprawdopodobniej wzrost temperatury nie przekroczy 1,5 st. C. Jeśli zaś tego nie zrobimy, temperatura jeszcze wzrośnie.

I co wtedy?

– Problem polega na tym, że zmiany w systemach przyrodniczych nie zachodzą w sposób liniowy. Jeśli przekroczymy ten poziom, nie zrobi się tylko trochę gorzej, może się zrobić zupełnie inaczej. System przyrodniczy się zmieni. Tak naprawdę nie wiemy, co będzie. Raczej nie będzie to świat, w którym będziemy świetnie funkcjonować, tylko taki, w którym nie będziemy w stanie żyć.

Co może się stać?

– Różne zjawiska, np. w niektórych regionach przestanie padać deszcz, zmieni się rozkład opadów. A to spowoduje, że z Afryki będzie chciało wyemigrować nie kilkadziesiąt czy kilkaset tysięcy ludzi, ale kilkadziesiąt albo kilkaset milionów. Znikną lodowce, co spowoduje, że w Azji umrze 1,5 mld ludzi, którzy wykorzystują do picia wodę z zasilanych przez nie rzek.

Czyli w Polsce nie będzie Sahary. A co może być?

– Może się zmienić cyrkulacja oceaniczna. Na przykład Golfsztrom

W ciągu ostatnich 15 lat odnotowano w Polsce czterokrotny wzrost zachorowań na boreliozę.

Znikną lodowce, co spowoduje, że w Azji umrze 1,5 mld ludzi, którzy wykorzystują do picia wodę z zasilanych przez nie rzek.

eprasa.pl 2531abbedc

znacząco osłabnie lub zmieni się kierunek prądów morskich. Wtedy będziemy mieli kompletnie inny klimat. Być może już to się dzieje, niektóre badania wskazują na 30-procentowe zmniejszenie się aktywności Golfsztromu w ciągu ostatnich 10 lat.

I to może nas czekać za 12 lat?

– Tyle nam zostało czasu, abyśmy obniżyli emisję gazów cieplarnianych i nie przekroczyli ich krytycznej ilości w atmosferze. Dlatego np. Koalicja Klimatyczna, w ślad za Polską Akademią Nauk, domaga się, aby Polska do 2030 r. zaprzestała wykorzystywać węgiel w energetyce.

Jakie instytucje w Polsce podejmują działania na rzecz zatrzymania zmian klimatu?

– Jedynymi takimi instytucjami są organizacje pozarządowe. Działania prowadzą niektóre samorządy, choć one na ogół są bardziej zainteresowane wdrażaniem działań adaptacyjnych, a nie zmniejszających emisję gazów cieplarnianych. Trochę też działają naukowcy – badają, alarmują polityków, że jest źle i trzeba coś robić, ale ci wolą wierzyć w fake newsy, a nie w badania naukowe. Natomiast rząd nie robi nic, a w zasadzie można powiedzieć ostrzej – podejmuje decyzje, które zwiększają ryzyko zmiany klimatu, np. ta o budowie elektrowni węglowej w Ostrołęce.

Wielkie tamy tylko niszczą środowisko.

Co pan na to?

– Czuję coraz większą frustrację. Chociaż coś się zmienia. Kwestie ochrony klimatu były ważnym tematem ostatnich wyborów do Parlamentu Europejskiego. W Niemczech, we Francji i w wielu innych krajach członkowskich politycy partii głównego nurtu zostali ukarani przez wyborców za brak działań na rzecz ochrony klimatu. W Niemczech Zieloni zdobyli w wyborach drugie miejsce, a we Francji trzecie. Partia Zielonych w nowym Parlamencie Europejskim będzie czwartą siłą polityczną! Dobrze też, że młode pokolenie staje się coraz wrażliwsze na te problemy. Organizuje szkolne strajki klimatyczne, coraz głośniej domaga się od polityków prawdziwych działań, a nie tylko pustych obietnic. Bo zmiana klimatu jego dotyczy najbardziej, to będzie jego świat. Mamy też nowy ruch na świecie, Extinction Rebellion, czyli Rebelię Przeciw Wymieraniu, i ten ruch zaczyna stosować nieposłuszeństwo obywatelskie, by wymusić na politykach działania. Kilka tygodni temu zablokował ulice w Londynie. Jest też w Polsce.

To studenci?

– To bardzo różne osoby, z różnych klas społecznych, starsze i młodsze, które widzą zagrożenie i bezczynność oraz kunktatorstwo polityków. Postanowiły więc ruszyć do akcji. Bo naprawdę trudno nie dostrzec, że zmienia nam się klimat. Trzeba coś robić.

Barbara Jagas

eprasa.pl 2531abbedc

REPORTAŻ

Dziennik pani z marketu

Dla emeryta są tylko najcięższe i najgorzej płatne prace

Ewa Rogowska

Może mieć na imię Anna, Halina albo jakkolwiek. Przeszła na emeryturę w 2017 r., zanim z powrotem obniżono wiek emerytalny. Co znaczy, że nadal pracowała, mając ponad 60 lat. I zamierzała to robić tak długo, jak zdrowie pozwoli. Ale zaczęto patrzeć na nią krzywym okiem, bo jej stanowisko było łakomym kąskiem. – Ogromną rolę przy podejmowaniu tej decyzji odegrały też względy finansowe – mówi Anna. – Sądziłam, że kiedy przejdę na emeryturę, będę miała czas wolny, by dorabiać. Zależało mi, żeby zarabiać więcej pieniędzy, chciałam pomóc sobie i córce. Ona, choć jest dorosła i pracuje, potrzebuje mojego wsparcia. Nie miałam świadomości, że dla emeryta są tylko najcięższe i najgorzej płatne prace.

Bez odpowiedzi

Anna planowała, że przez kilka miesięcy zrobi sobie wakacje, a potem pójdzie do pracy. – Byłam przekonana, że nie będę miała problemu ze znalezieniem zatrudnienia – mówi. – Mam wyższe wykształcenie, skończyłam SGPiS, kilkanaście lat temu ukończyłam studia podyplomowe w zakresie księgowości na SGH, czyli w tej samej uczelni. Mam certyfikat Ministerstwa Finansów uprawniający do prowadzenia ksiąg rachunkowych. Pracowałam w dużym zakładzie przemysłowym w Warszawie. Przez 10 lat byłam kierowniczką działu marketingu, a potem zostałam kierowniczką działu finansowego. Wcale mi się nie marzyło, że po przejściu na emeryturę znajdę pracę jako kierownik czy dyrektor. Chciałam być szeregowym pracownikiem w księgowości albo na zwykłym stanowisku biurowym czy w recepcji.

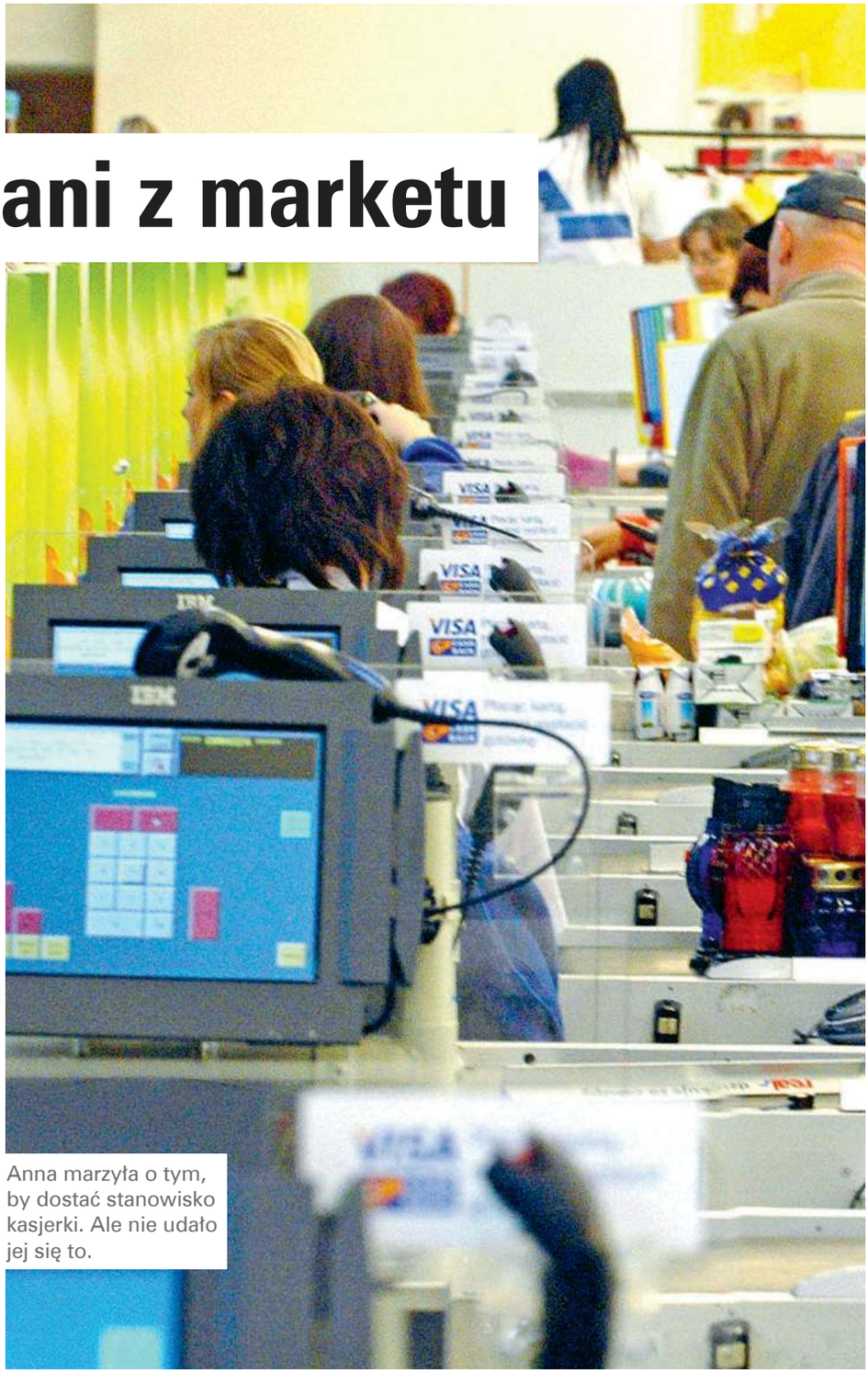

Anna marzyła o tym, by dostać stanowisko kasjerki. Ale nie udało jej się to.

Jak żyć za 1700 zł

W wielu krajach europejskich wiek emerytalny jest wyższy niż w Polsce. W Wielkiej Brytanii i Irlandii dla kobiet i mężczyzn wynosi 68 lat. W Niemczech, Holandii, Hiszpanii, Grecji, Francji, Danii, Chorwacji, Norwegii i Islandii – 67 lat. I nie chodzi o to, by przekonywać, że Polacy powinni pracować dłużej niż teraz. Trzeba jednak mieć świadomość, że marzenia o podróżach po świecie nie wszystkim się ziszczą. Po obniżeniu wieku emerytalnego do poprzedniego poziomu wnioski o emeryturę złożyło w 2018 r. 750 tys. osób. Średnie świadczenie emerytalne dla mężczyzn wyniosło 2724 zł brutto, dla kobiet 1695 zł brutto. Dlatego szczególnie w przypadku samotnych kobiet pojawia się problem, jak żyć. I jak dorobić.

24-44-46_kobieta z marketu.indd 44 eprasa.pl/31abbedc 2019-06-07 20:24:03

Zarejestrowała się na wielu portalach internetowych dla poszukujących pracy. Codziennie wysyłała kilka czy nawet kilkanaście ofert do różnych pracodawców. W sumie kilkaset. Odezwały się tylko dwie firmy rachunkowe. – Ponieważ mam wysokie kwalifikacje i duży staż pracy, uważam, że pod tym względem wygrałabym z konkurencją – twierdzi Anna. – Skoro jednak firmy z góry mnie skreślały, uznałam, że główną przeszkodą jest PESEL, czyli mój wiek. Właścicielka jednej z firm rachunkowych, które się odezwały, zadzwoniła i poprosiła, żebym uzupełniła jakieś dane. Powiedziałam, że chętnie wyślę jej wszystko, czego sobie życzy, ale czy przypadkiem mój wiek nie będzie przeszkodą. Stwierdziła, że absolutnie nie. Ale już więcej się nie odezwała. Gadanie sobie, a praktyka sobie. Pracodawcy nie lubią ludzi doświadczonych, bo takimi trudno manipulować. Niełatwo też im wmówić, że coś jest prawidłowe, jeśli tak nie jest.

Wtedy zrozumiała, że nie ma wyjścia i musi szukać pracy fizycznej. Odpadały wszystkie oferty, które dotyczyły osób ze stażem pracy, bo przecież Anna nigdy nie była zatrudniona jako pracownik fizyczny. – Nie było łatwo pogodzić się z tym, że muszę szukać pracy jako osoba bez kwalifikacji – wspomina. – Ale zamknęłam ten rozdział w życiu, kiedy zajmowałam stanowiska kierownicze, i zaakceptowałam fakt, że teraz będę musiała wykonywać bardzo ciężkie prace fizyczne. Zaczęłam wysyłać CV do marketów. Tam też wcale nie jest łatwo się dostać, bo niektóre wymagają, by osoba była przez kogoś polecona. Jeden z marketów odezwał się dość szybko. Poszłam na rozmowę. Kierownik spytał, czy zdaję sobie sprawę, jak ciężka jest to praca. Powiedziałam, że tak, choć nie miałam pojęcia, jak bardzo. Market był średniej wielkości. Załoga liczyła 15 osób. Ja zostałam przyjęta na stanowisko doradcy klienta. To takie górnolotne określenie, faktycznie z doradzaniem nie ma nic wspólnego. W zakresie obowiązków jest wykładanie towarów, przyjmowanie dostaw, robienie przecen, praca jako kasjerka itd.

W CV Anna opisała swój staż pracy, stanowiska, jakie zajmowała, ukończone studia. Kierownik nie komentował, że z takim doświadczeniem szuka zatrudnienia jako szeregowy pracownik sklepu. Widocznie nie pierwszy raz z tym się spotkał. A ona potem nawet żałowała, że opisała skrupulatnie swoją karierę, zamiast napisać, że jest emerytką i nie ma doświadczenia w pracy w handlu. Kilka tygodni przepracowała w tym niedużym markecie. Poznała całą załogę, zakolegowała się. Nigdy nie opowiadała o sobie, o swojej przeszłości. Rozmowy dotyczyły spraw dnia codziennego, błahych problemów, pogody. Dziewczyny rozmawiały o telenowelach i programach telewizyjnych, których ona w ogóle nie znała, więc nie zabierała głosu. Kiedyś zaczęła opowiadać o ulubionym serialu nadawanym przez HBO, ale zobaczyła zdziwienie w ich oczach, więc przestała mówić. Tylko z jedną z dziewczyn znalazła wspólny język, bo okazało się, że jest taką samą wielbicielką książek. – Wszystkie dziewczyny były bardzo sympatyczne i grzeczne, ale wydawało mi się, że pochodzimy z innych światów i że co innego jest dla nas ważne – twierdzi Anna.

Nie wstydzisz się?!

Pogodziła się z losem. Czasem tylko, kiedy spotkała się z którąś z dawnych koleżanek o podobnym wykształceniu, słyszała pogardliwe uwagi dotyczące jej obecnego zajęcia. Ale żadna nie zaproponowała, że pomoże jej zdobyć pracę w wyuczonym zawodzie. One same jako emerytki nie musiały pracować, bo miały pracujących albo pobierających emeryturę mężów. Ona zaś od zawsze borykała się z problemami finansowymi jako matka samotnie wychowująca córkę.

Wydawało się, że gorzej już nie będzie. Że może być nawet lepiej, bo dostanie jakąś podwyżkę czy premię. Ale los zgotował jej niespodziankę. Market został zlikwidowany, a załogę rozrzucono po hipermarketach. Anna pocieszała się, że w dużym markecie może zostanie kasjerką i nie będzie musiała wykonywać ciężkiej pracy fizycznej. Okazało się jednak, że wszystkie stanowiska kasjerek są zajęte. Wprawdzie wiele osób jest na zwolnieniach lekarskich, ale nowych się nie przyjmuje. Potrzebni byli ludzie do dźwigania, przenoszenia, rozkładania towarów... Anna trafiła do działu spożywczego.

– Robiłam wszystko, co mi kazano – wspomina. – Już wcześniej, kiedy pracowałam w małym markecie, zauważyłam, że praca fizyczna sprawia mi pewien problem, bo nie mam kondycji. Zaczęłam ćwiczyć, żeby poprawić wydolność. Choć bywały dni, kiedy czułam, że dłużej tego nie wytrzymam. Ale zaciskałam zęby. Wiedziałam, że muszę wytrwać, bo potrzebuję tych pieniędzy. Coraz trudniej było mi jednak znieść nie wysiłek fizyczny, ale to, jak kierownictwo traktuje pracowników. To była zupełnie inna sytuacja niż w tym pierwszym markecie, gdzie kierownik odnosił się do nas z szacunkiem. Tu stosowano metodę krzyków i nakazów. Nie dziwię się, że młodzi ludzie nie chcą pracować w handlu, skoro tak się ich traktuje. Poza tym ta praca wymaga dużego wysiłku i nie daje żadnych perspektyw rozwoju. Po 10 latach można ewentualnie zostać kierownikiem i zarządzać grupą kilkunastu osób. Czy to jest kuszące?

Uważaj na palce

Anna pamięta swój pierwszy dzień pracy w handlu. Wieczorem z nerwów nie mogła zasnąć. Dlatego z trudem wstała przed piątą. Przyszła na ranną zmianę, na szóstą. Dostała podkoszulek firmowy po jakimś pracowniku. Powiedziano jej, że powinna też dostać bluzę i buty z czubkami wzmocnionymi metalem, żeby uniknąć kontuzji palców stóp. Ale na stanie nie ma ani bluz, ani butów i będzie wypisane zapotrzebowanie. Kiedy uda się je zrealizować, nie wiadomo. Anna do pracy przeznaczyła własne buty sportowe. Czy miała inne wyjście? Bluzę dostała nieoczekiwanie, też z odzysku po poprzednim pracowniku, kiedy w markecie pojawiła się kontrola z centrali i zauważono, że ona nosi własną.

Pracodawcy nie lubią ludzi doświadczonych, bo takimi trudno manipulować.

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

24-44-46_kobieta z marketu.indd 45 eprasa.pl/c/31abbedc 2019-06-07 20:24:10

– W moim zakładzie, w którym przepracowałam kilkadziesiąt lat, pracownicy otrzymywali wszystko, co było przewidziane przepisami i co określały normy BHP – wspomina. – Dlatego bardzo mnie zdziwiło, że w marketach, w których pracowałam, tego się nie przestrzega. Kiedy na stoisku z mięsem musiałam umyć tace, na których było wykładane, nie miałam do tego żadnego płynu, jedynie ciepłą wodę. Kiedy musiałam zapełniać lodówki, zauważyłam, że tylne ściany powinny być wyremontowane albo choćby porządnie umyte. Ale firma zewnętrzna, która zajmowała się sprzątaniem, nie miała tego w zakresie obowiązków; zapewne sądzono, że będą to robić pracownicy etatowi. A oni, ze względu na ciągłe niedobory załogi, nie mieli czasu.

Pierwszego dnia trafiła do piekarni. Towarzyszyła dziewczynie, która już była obeznana z tą robotą. Anna przywoziła mrożone pieczywo z chłodni, rozkładała je na blachach, wkładała do pieca i wyjmowała. Po dwóch godzinach przerzucono je na kasę. Ona obsługiwała klientów, dziewczyna stała obok i uczyła ją w trakcie obsługi. Potem znów była piekarnia, po niej rozkładanie towarów na półkach. Bardzo szybko trzeba się wszystkiego nauczyć – opowiada Anna. – Kompletnie zielonego człowieka wpuszcza się na kasę i po krótkim instruktażu musi sobie dawać radę. Koleżanki nie przejmują się, że ty czegoś nie wiesz, bo one same mają bardzo dużo obowiązków i nie mogą zbyt wiele czasu ci poświęcić. Jeżeli towar ma kod kreskowy, to pół biedy, ale jeśli nie ma, tak jak pieczywo wypiekane w markecie, to trzeba rozpoznać towar, żeby wprowadzić kod. W przypadku warzyw i owoców też trzeba rozpoznać, czy jabłko jest takie, czy siakie, zważyć i wprowadzić kod. Jak nie daj Bóg się pomylisz, klient zrobi ci awanturę.

Kiedy trafiła na stanowisko z mięsem i wędlinami, koleżanka powiedziała: „Tu są kody, tu jest maszyna do krojenia wędlin. Uważaj na palce”. I tyle. W sumie w czasie ośmiogodzinnego dnia pracy siedem i pół godziny jest się na nogach. Nawet nie można na chwilę przysiąść na stołku. W zakładzie przemysłowym, w którym pracowała Anna, pracownicy fizyczni mieli stołki i mogli na chwilę usiąść.

Ostatnia przecena

Błędne koło. W marketach brakuje ludzi, bo praca jest ponad siły. A praca jest ponad siły, bo brakuje ludzi. Anna to rozumie, bo przecież z finansami miała do czynienia zawodowo, ale nie godzi się, by firmy w tak drastyczny sposób oszczędzały na pracownikach. W czerwcu kończyła się jej roczna umowa o pracę w hipermarkecie. Nie zamierzała wcześniej odejść. Myślała: „Zobaczę, co się wydarzy. Może dostanę podwyżkę, a wtedy się zastanowię”. Na pracę w wyuczonym zawodzie przestała już liczyć. Ale przyszedł dzień, który zaważył na jej planach. To było po świętach wielkanocnych. Do końca zmiany Anny zostały trzy godziny. Kierowniczka przyszła do niej i kazała zrobić przecenę warzyw i owoców. Normalna sprawa, w ramach jej obowiązków. Ale kiedy Anna zobaczyła dziesiątki skrzynek ustawionych w wysokie sterty, zrozumiała, że jedna osoba w trzy godziny tego nie wykona, choćby sobie żyły wypruła. Jednak nikt jej o zdanie nie pytał i nie zamierzał wysłuchać.

– Pracownicy mają wykonywać polecenia i tyle – komentuje Anna. – Obowiązkiem kierownika jest tak zorganizować pracę, żeby była zrobiona. Organizuje, jak umie. Pracownik ma pracować, a nie dyskutować. Kiedy zobaczyłam tyle skrzynek z owocami i warzywami, które musiałam przenieść, by pogrupować je według asortymentu, a potem przecenić towary, z góry wiedziałam, że trzy godziny to zbyt mało. Oczywiście nie skończyłam. Wiem, że na drugiej zmianie do dokończenia pracy zostali delegowani trzej pracownicy. Ale dla mnie właśnie ten dzień był kluczowy. Coś we mnie pękło. Zrozumiałam, że nie chcę tak pracować. Złożyłam wymówienie.

Anna była jedyną emerytką w tej grupie. Nie miała żadnej taryfy ulgowej – i to rozumie. Ale z tym, że czasami co godzinę była przestawiana z jednego stanowiska pracy na drugie, pogodzić się nie potrafi. – Byłam przekazywana jak piłeczka, nie miałam jakiegoś swojego miejsca. Wszystko można przeżyć, ale trudno się pogodzić z tym, że ktoś traktuje cię jak powietrze. Słyszałam, jak jedna z pań minister niedawno powiedziała, żeby emeryci byli spokojni, bo jest tyle pracy dla nich. I żeby młodzi ludzie też byli spokojni i nie wyjeżdżali za granicę, bo w kraju jest dla nich dużo pracy. Nieprawda. Jeśli jest praca, to najniżej opłacana i najcięższa. Ja w swoim zawodzie nie mogę znaleźć zatrudnienia. Najwyżej w sklepie, przy opiece nad ludźmi starszymi lub dziećmi. Nie każda emerytka, nawet zdesperowana, taką pracę może podjąć ze względów zdrowotnych. Na szczęście mnie zdrowie pozwala. Będę szukać nowej pracy. I wciąż mam nadzieję, że ktoś zdecyduje się wykorzystać moje umiejętności i doświadczenie jako księgowej. Mam już jedną propozycję. Może coś z tego wyjdzie. A jeśli nie, znów się zatrudnię w jakimś markecie za 1750 zł na rękę.

Ewa Rogowska

Jeśli jest praca dla emerytów, to w sklepie, przy opiece nad ludźmi starszymi lub nad dziećmi.

Z głębokim smutkiem żegnamy

Walentynę Mikołajczyk-Trzcińską

pisarkę, tłumaczkę, publicystkę kulturalną,
wieloletnią członkinię Klubu Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy RP
Cześć Jej pamięci!

Zarząd KKT/polskiej sekcji AICT

24-44-46_kobieta z marketu.indd 46 eprasa.pl/c/31abbedc 2019-06-07 20:24:15

ŚWIAT NIE URATUJE SIĘ SAM!
KOBIETA IDZIE NA WOJNĘ
W KINACH 21 CZERWCA
cojestgrane24
polki.pl
FILM RC.PL
zwierciadło
sens
KOBIETA.PL
empik

Piszę, bo lubię

To smutne, że w wymiarze pokolenia czy dwóch potrafiliśmy zapomnieć o tych, którzy budowali pejzaż liczącej się w świecie polskiej kultury

Rozmawia Tadeusz Deptuła

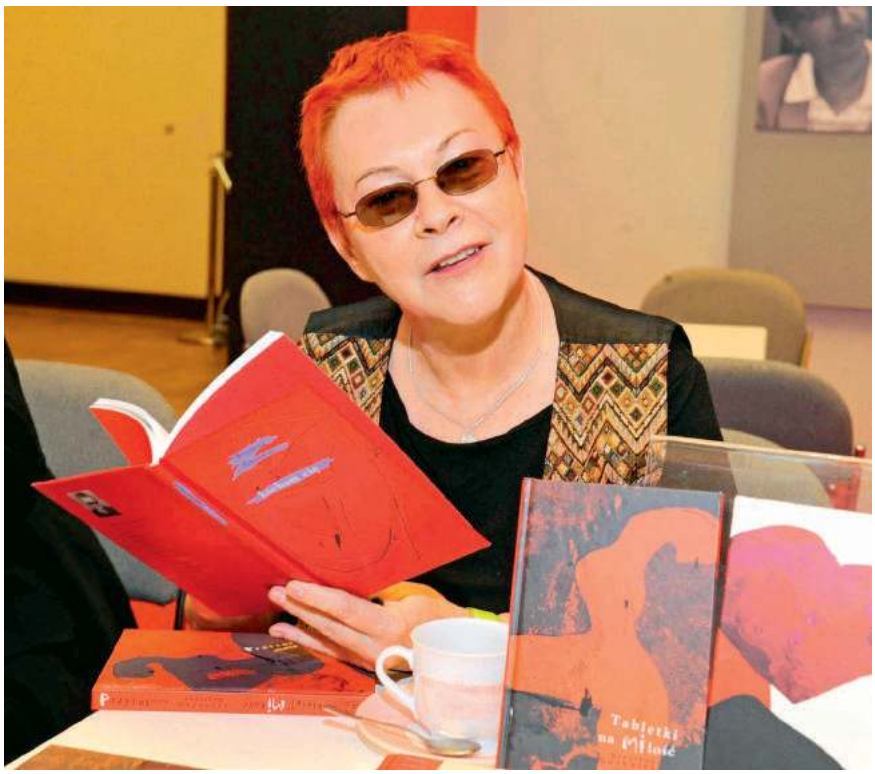

KRYSTYNA GUCEWICZ

– poetka, pisarka, dziennikarka

Pisarka, poetka – jak pani sobie radzi z tym, co wokół? Skąd w nas tyle złych emocji? Kochamy nienawidzić?

– Nie potrafię odpowiedzieć za cały świat. Jesteśmy po to, żebyśmy byli dobrzy i mili dla innych. Niestety, są też inni inni. Mówię to bez cienia pogardy czy wyższości. Po prostu jestem gdzie indziej. Mam jednak świadomość, że Kiepscy wiedzą lepiej. Być może dlatego piszę – żeby nie zapomnieć, kim jestem, skąd się wzięłam. W naszym domu, w naszym środowisku, tego typu emocje były nie do pomyślenia. Jakkolwiek naiwnie by to zabrzmiało, wychowano nas w szacunku dla człowieka, w potrzebie pracy dla innych, tolerancji, otwartości, radości życia, nieustannej rozmowy, zadawania pytań o rzeczy najważniejsze, a te pozostają niezmienne. Dobro, zło, przyzwoitość, wiara, nadzieja, miłość.

Zamyka się pani w swoim świecie?

– Zdecydowanie. Świat sztuki i piękna może być azylem, niekoniecznie ucieczką. Tym bardziej że niedemokratyczny świat (tak, tak, nasz świat) żąda od nas monopolu perspektywy, jedynej słusznej dla wszystkich. Przyszłość zadekretowana to nie dla mnie. Mądrość dnia wczorajszego – proszę bardzo. No i Horacjańskie *carpe diem* – staram się korzystać z każdej chwili.

Pisanie jest jak jazz: masz temat, kilka nut, motyw, parę taktów, a reszta jest przygodą, przyjemnością. Właśnie to uważam za istotę pisarstwa – radość tworzenia. Nic mnie nie obchodzi nakład, sprzedaż, sukces gotowego produktu. Tylko na jedno zwracam uwagę: książka musi być piękna. I – szczęściara – mam wokół siebie najwspanialszych artystów. To Maciej Buszewicz, Andrzej Pągowski, Andrzej Barecki, Ewa Stiasny, Lech Majewski, czekam na Edwarda Lutczyna, ale o tym sza.

I to jest ta piękniejsza strona życia?

– Jestem z epoki, kiedy czytało się książki i wierzyło w nie, w sens historii, potęgę rozumu, autorytet mądrzejszych. O terrorze głupoty rozmawiało się tylko teoretycznie. Nie osądzam, widzę… Ten stan zadziwienia jest też powodem, że wchodzę do skorupy, do muszli – mam nadzieję, że przeczekam. Również tę zawiść, nienawiść, zazdrość, o które pan pytał. „Mam wątrobę gołębia, bez żółci" – to z „Hamleta".

Jestem różnokrwista, może dlatego podejrzanie traktuję „prawdziwego Polaka". Mam kresowe geny, a to wspaniała mieszanka. Dlatego odwracam się od „wrzaskliwych patriotów". Przepraszam, że wpadliśmy w pułapkę polityki, to też złe emocje. Porażające i przygnębiające, że rządzą nami bezrozumni ignoranci, hipokryci i roszczeniowi prostacy. Smutno… Już nie chcę zmieniać ani naprawiać świata, chcę go zrozumieć.

I wtedy sztuka jest dobra na wszystko?

– Bywa. Oczywiście można się spotkać z zarzutem wydumanego arystokratyzmu, ale fantazja, zapał, namiętności – to wszystko znajduje ujście. Piszę, bo lubię. A na stronie powiem panu, że nic innego nie umiem robić.

I znakomicie robi to pani od zawsze!

– Komplementy to nie rzeczywistość. A co ma robić dziennikarz? Pisze. Ale zanim stało się to moim zawodem i pasją, powstało mnóstwo wierszy i powieść. Proszę sobie wyobrazić, dosłownie przedwczoraj znalazłam cały tomik pilnie przepisany na maszynie. Na tej samej maszynie, podkradanej memu tacie z gabinetu lekarskiego, w ostatniej klasie szkoły podstawowej wystukałam opasłą powieść, której akcja dzieje się w tajemniczym Mawiecku.

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

eprasa.pl 2531abbedc

Nietrudno zgadnąć, skąd ta nazwa. Mieszkam w Mińsku Mazowieckim, miasteczku o 600-letniej historii.

A przy okazji: przez ostatnie 20 lat wydałam 21 książek, szczęśliwie trafiły do serc czytelników. Jestem dumna i blada.

Najnowsza to „Notes Krystyny Gucewicz, czyli Fołtyn w śmietanie". Jest pani szczęśliwa?

– Pojawienie się na rynku każdej książki to dla autora ogromne szczęście, a ta ostatnia, tak myślę, jest naprawdę wyjątkowa. Pisałam ją bez specjalnego zamysłu, jak gdyby przypadkowo, notując przygody, zdarzenia, anegdoty, które składały się na mój dziennikarski los. Nagle okazało się, że ożywają sytuacje, spektakle, ludzie, festiwale, wernisaże. Cały wielki, kolorowy świat kultury, któremu miałam szczęście przyglądać się w pracy dziennikarskiej i w którym dalej mam zaszczyt istnieć.

Skąd wziął się ten pomysł?

– Z bałaganiarstwa. W całej mojej niemal półwiecznej pracy miałam tylko trzy notesy telefoniczne. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądają – zapisane na każdym skrawku, pokreślone, porozrywane. Niczego nie można znaleźć. A przybywają nowe numery, nowi znajomi i nie ma co z tym zrobić. Od 18 lat zapisuję wszystko na niezliczonych kartkach i karteluszkach. Oczywiście nie ma z tego żadnego pożytku. Któregoś roku podjęłam zatem odważną decyzję: zakładam nowy notes. Zaczęłam porządkować, przepisywać, uzupełniać… Przerwałam. Nie dałam rady. Okazało się, że tylu przyjaciół, znajomych, wybitnych kolegów już z nami nie ma. Wyprowadzili się do nieba. Ale w moich notesach nie ma pojęcia wyprowadzki, tym bardziej w moim sercu.

To znaczy, że ta książka jest pani hołdem dla tych, którzy przeminęli, pozostawiając ślad.

– Tak. Szczęściem zawodu dziennikarza, recenzenta, krytyka sztuki jest to, że może dotknąć, poznać, a często zaprzyjaźnić się z wybitnymi ludźmi swoich czasów. Mam to szczęście, ten zaszczyt. Pisałam o artystach, którzy tworzyli dzieła najwyższej rangi w dziedzinie teatru, muzyki, tańca, filmu, estrady i sztuk plastycznych. Z perspektywy młodej osoby ci wielcy byli jeszcze więksi. Z dzisiejszej perspektywy – kiedy o wielu już się nie pamięta – muszą pozostać jak pomniki, jak kamienie milowe w sztuce. Dlatego o nich piszę. Dla pamięci, z powinności, żeby oddać hołd. To smutne, że w wymiarze pokolenia czy dwóch potrafiliśmy zapomnieć o tych, którzy budowali pejzaż liczącej się w świecie polskiej kultury. Żaden czerwony dywan z dzisiejszą jednodniową gwiazdką nie przyćmi dorobku filarów polskiej sztuki, pięknych ludzi i wielkich artystów. Oni zostawili niezatarty ślad.

Pisanie jest jak jazz: masz temat, kilka nut, motyw, parę taktów, a reszta jest przygodą.

I to był ten pomysł, żeby ich zatrzymać?

– Żeby zostali ze mną. I z państwem. Sentymenty sentymentami, ale wielkość wielkością. Kto nie pamięta Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej i jej cudownego dziecka – Mazowsza? Kto się nie uśmiechnie na wspomnienie o Janku Himilsbachu, cudownym aktorze naturszczyku i świetnym pisarzu? Kto nie pamięta serialu „Dom"? A to przecież jedno z dzieł Jerzego Janickiego, który nigdy nie wyprowadził się ze Lwowa, choć mieszkał w Warszawie. Proszę zerknąć na indeks, prawie 1,2 tys. nazwisk. Jerzy Bralczyk, Piotr Fronczewski, Gustaw Holoubek, Czesław Niemen, Irena Santor, Stanisław Tym, Agnieszka Osiecka, Violetta Villas, Danuta Szaflarska. Wielcy niezapomniani.

Oczywiście o wszystkich opowiadam z mojej perspektywy, to wszystko zdarzyło się naprawdę i – niezależnie od mojego pogodnego charakteru – okazuje się bardzo optymistyczną historią. Naszą historią, naszymi czasami, które niezależnie od politycznej opresji toczyły się jak zawsze, jak wszędzie. Byłam przy tym, widziałam i wiem. Niezależnie od ustroju ludzie rodzą się i umierają, kochają i pracują, a jeśli osiągają szczyty – a tak było w polskiej kulturze – należy im się szacunek, wdzięczność i pamięć. Historia to nie propaganda polityków, to życie zwykłych ludzi.

Jest pani szczęściarą. W pewnym sensie sama pani napisała swoją historię.

– No tak. Świadek epoki, moje pół wieku. I żeby nie było, że nie było, wszystko można naocznie sprawdzić: „Notes" zawiera ponad 300 fotografii, z reguły wcześniej niepublikowanych. To mała cząstka (pół jednej walizki) mojego archiwum, a właściwie mojego bałaganu. Dzięki uprzejmości kolegów fotoreporterów mogłam je zamieścić w książce. To jest osobna opowieść, te zdjęcia czyta się jak nową książkę w książce. Dziękuję Wydawnictwu Arkady, którego nakładem się ukazała.

„Notes" to pani kolejna książka autobiograficzna.

– W pewnym sensie tak. Wyglądam zza pleców moich bohaterów, chociaż mam nadzieję, że ich nie zasłaniam. „Notes" mieści się w nurcie moich biograficznych książek. Zaczęło się od prozy „Pogrzeb wróbla". W dziejach naszej rodziny odbijała się historia kilku wieków Europy. Miałam więc o czym pisać. Jak wspomniałam, pochodzę z rodziny kresowej, mój praszczur to wybitny architekt wileński Wawrzyniec Gucewicz. Przodek naszej mamy Ignacy Hryniewiecki wsławił się zamordowaniem cara Aleksandra II. Jeden z jej braci zginął w Katyniu, drugi szczęśliwie zwyciężał pod Monte Cassino. Nie gorzej u Przyborów, którzy z kresowych włości przenieśli się do Warszawy. Dziadek Trojan przedzierał się przez płonącą rewolucyjną Rosję, zginął w powstaniu warszawskim – lustro dziejów.

Krystyna Gucewicz-Przybora – kobieta instytucja, poetka, pisarka, dziennikarka, krytyczka sztuki, satyryczka, recenzentka teatralna, reżyserka. Autorka scenariuszy widowisk teatralnych, programów telewizyjnych i filmów. Od 19 lat przygotowuje i prowadzi Ostry Dyżur Poetycki w Teatrze Narodowym w Warszawie. Wydała 21 książek, m.in. tomy poezji: „Z miłości", „Ave Maria", „Łzy ptaka", „Kocham Cię. Wiersze kardiologiczne", oraz prozy: „Pogrzeb wróbla", „Jeszcze wczoraj miałam raka", „Notes Krystyny Gucewicz, czyli Fołtyn w śmietanie".

eprasa.pl 2531abbedc

Myślę jednak, że dla czytelników najważniejszą pani książką jest „Jeszcze wczoraj miałam raka", za którą chciałem specjalnie podziękować.

– To dziwna książka, tak przynajmniej myślę. Powstała jako rodzaj pomocnika czy nawet poradnika w chorobie. Najczęściej jesteśmy bezradni w opresji zdrowotnej, ja jako dziecko lekarzy potrafiłam być racjonalna. Jedna operacja, druga, czternasta – bo tyle przeszłam w ciągu ostatnich lat – pozwoliły mi wybudować własną odporność. O tej umiejętności i o umiejętności poruszania się w labiryncie służby zdrowia jest ta książka. Cieszy mnie, że została przyjęta jak lekarstwo. Bezustannie dostaję listy, mejle, spotykam osoby, którym pomogła, w tym amazonki, dziewczyny, tak jak ja, po mastektomii. Jedno jest pewne: żadna choroba nie może nami rządzić. Od tego przekonania trzeba zaczynać każdą terapię. Kolejny krok to żyć tak jak dotąd – twórczo, aktywnie, z niczego nie rezygnując.

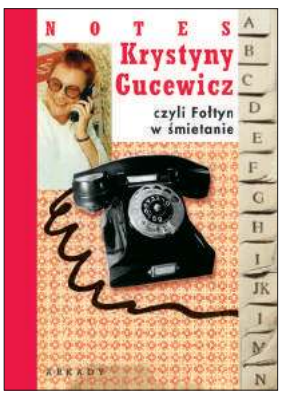

Taką terapią może być również poezja. Wydała już pani 10 tomików wierszy.

– Poezja daje absolutną wolność, nie skłamie. Tu nie gra się żadnej roli, tylko odsłania bez granic. Lubię swoje wiersze, najbardziej drobiazgi, które nazywam lapidariami. Mogę jeden?

Oczywiście.

– Tytuł: „O obrotach ciał niebieskich". „Kopernik nie miał racji – Wszechświat obraca się wokół ciebie". W każdym z nas jest morze poezji, tylko nie zawsze nadstawiamy ucha. Ja po prostu słyszę i zapisuję. Poezja nie jest poczytnym kryminałem, a jednak ludzie ciągle po nią sięgają. Miło, że po moje wiersze też.

Szczególnie po te o miłości.

– Każdy kogoś kocha, nawet jeśli o tym nie wie. Miłości się nie znajduje, nie traci, ale się w niej wzrasta. I na każdym etapie życia można się nią obdarowywać. Filozofią miłości jest oddanie. Przyjemnością – Eros. Łacina uczy, że Amor tkwi w szczegółach. Proszę posłuchać, chodzi tylko o jedną jedyną literkę: zakochani to *amantes*, a *amentes* to już szaleni. Miłość jest szaleństwem.

O uczuciach trzeba mówić wprost i nieustannie. Najzwyczajniej – kocham cię.

Pani poezja została doceniona nie tylko przez czytelników, ale także przez wybitnych poetów.

– Wielcy poeci okazali się życzliwi. Łaskawym okiem przeczytała te wiersze Wisława Szymborska, pochylił się nad moimi tomikami Tadeusz Różewicz, co zresztą ma swoją historię. Wielkiemu poecie powiedziałam, że to wszystko stało się za sprawą jego poematu „Et in Arcadia ego" i stąd moje erotyczne nastroje, co ten fenomenalny pan z uśmiechem skwitował: „Ale alimentów nie będę musiał płacić".

Jak to się dzieje, że w tych zwariowanych czasach ludzie tęsknią za poezją?

– Ta tęsknota jest wieczna. Tylko często zabija ją agresja codzienności. Ostatnie lata dramatycznie zdegradowały język polski. Cud słowa został zbezczeszczony przez ideologów i prostaków, przez niechlujstwo, dosadność i wulgarność myśli. A ludzie szukają słów wyrażających emocje, uczucia, doznania – wiem, bo o tym mi mówią i piszą.

Najlepszym dowodem, że świat nie kończy się w supermarkecie, są oblegane spektakle „Ostrych Dyżurów Poetyckich", które realizuję od 19 lat w Teatrze Narodowym w Warszawie. Wypełniona po brzegi widownia, wspaniała poezja w interpretacji najwybitniejszych aktorów i ta cisza, w której spotykają się myśli ludzi wrażliwych.

Dodajmy, że to jest działalność charytatywna.

– Absolutnie wszyscy oddają swój czas i talent, żeby wspomagać potrzebujących. To największe przedsięwzięcie dobroczynne polskich artystów. Wśród beneficjentów znajduje się m.in. Dom Artysty Weterana w Skolimowie. Pomagamy – to też jest piękno.

Pani recepta na sukces?

– Może dystans i poczucie humoru? Zawsze jakiś chichocik mi się snuje z tyłu głowy. Uwielbiam ironię, absurd, surrealizm. Mam naturę hipiski, bo przecież jestem z pokolenia Marca '68. Nie trzeba przypominać, że poza wszystkim był to pierwszy inteligencki zryw i protest po wojnie. I żadne scenariusze tego nie zmienią.

Ale mieliśmy żartować!

– Z historią nie ma żartów, chociaż są tacy, którzy śmieją się jej w nos. Ale skoro tak panu zależy, to proszę, bardzo mi bliska anegdota z prehistorii. Czy pan wie, że można umrzeć od wczesnego wstawania? Otóż Kartezjusz zmarł, albowiem przeziębił się, zmuszony przez szwedzką królową Krystynę (no cóż…) do rannego wstawania na wykłady.

Mało!

– Czy zdarza się, że boli pana kręgosłup?

Zdarza się. Zna pani diagnozę?

– Lata temu postawił ją góral z Suchej Beskidzkiej i król Hollywood Billy Wilder, ten od „Pół żartem, pół serio", od „Garsoniery" i siedmiu Oscarów. Zawsze powtarzał, że cierpi na bóle kręgosłupa z powodu seksu na zimnych klatkach schodowych.

Jestem z epoki, kiedy czytało się książki i wierzyło w nie, w sens historii, potęgę rozumu, autorytet mądrzejszych.

Jak przeżyć życie, żeby móc codziennie patrzeć na siebie w lustrze?

– Mam łatwiej, bo się nie maluję (śmiech). Mimo upływu czasu stosuję się do zasad wyniesionych z domu. Są oczywiste. Widzę tatę obłożonego lekturami filozofów, to dlatego już w niemowlęctwie poznałam maksymę Immanuela Kanta „Niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie". A potem takie, rzucane w przelocie: „Spojrzyj z drugiej strony", czyli poznaj racje przeciwne. Albo „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe", prawda, że proste? Kiedy prof. Julian Krzyżanowski znalazł się w naszej rodzinie, strona po stronie przestudiowałam trzy tomy zebranych przez niego przysłów polskich – krynica mądrości. I mimo że *panta rhei*, te prawdy nie przemijają. Generalnie fascynuję się istotą czasu, jego nieuchronnością. I zastanawiam się, czy czas zmienia wartości, czy to wartości zmieniają się z czasem.

Tadeusz Deptuła

eprasa.pl 2531abbedc

Czy gargulec da radę

Edward Mikołajczyk

Piękne słowo: gargulec. Zaraz zobaczę, co znaczy, ale już je lubię. Wcale nie pochodzi z dzisiejszej literatury pełnej cudownych wyzwisk, ale z książki głęboko ubiegłowiecznej, i to wcale nie napisanej po polsku. Najpierw więc ukłon dla tłumaczki – Ewy Horodyskiej – że szukając polskiego odpowiednika jeszcze bardziej mi nieznanego słowa angielskiego, właśnie postawiła na gargulca.

Miejsce akcji jest jak najbardziej polskie, bo przedwojenny Lwów. I hotel jest nasz, bo oczywiście George, ale autorka amerykańska, z Nowego Jorku. Pisze tak: „W ogromnej, pozbawionej okien jadalni, gdzie zimą żaden powiew świeżego powietrza nie rozpraszał zmieszanych woni jedzenia, dymu i wilgotnych ubrań, stoliki były zajęte przez ludzi, których podstawową rozrywkę stanowiło rozpoznawanie innych gości". Dalej jest opis pojedynczych modeli zwieńczony zdaniem: „Ogólnie rzecz biorąc, ta parada gargulców, jakkolwiek każdy typ był inny, miała jednorodny charakter".

Autorka nazywa się Virgilia Sapieha, a we Lwowie bywa przejazdem, w drodze do majątku męża Pawła Sapiehy w Siedliskach, albo przyjeżdża tu na zakupy, kiedy jej osobisty arystokrata udaje się do obowiązków dyrektorskich w browarze. Wspomnienia zatytułowane „Amerykańska księżna. Z Nowego Jorku do Siedlisk" wydał Ośrodek KARTA w serii „Świadectwa".

Teraz już biegnę do „100 tysięcy potrzebnych słów". Jest gargulec, ale prof. Bralczyk każe szukać dalej. Odsyła do rzygacza. Słowo już mniej piękne, wszystko jednak się zgadza. Rzygacz pasuje jak ulał do polskiej restauracji. Ale, ale. Takich słów nie używa się w kręgach. Może więc

Wiosną i jesienią najwięcej jest we wspomnieniach błota. Poza tym: ciemnoty, brudu, chorób, strasznej biedy i much.

rację miała amerykańska Polonia, która natychmiast obraziła się na księżnę po wydaniu jej polskich wspomnień w roku 1940? Chodzi oczywiście o tę część naszej diaspory w Stanach Zjednoczonych, która czyta ze zrozumieniem tekst w języku angielskim; pierwsze polskie tłumaczenie książki „Polish Profile" to właśnie dzieło KARTY z roku 2019, dlatego na reakcje miejscowych patriotów trzeba chwilę poczekać.

Przygoda z rzygaczem nie daje okazji do poważnej zaczepki. Rzygacz to u Bralczyka po prostu „ozdobne, wystające zakończenie rynny dachowej". Pozostaje zatem do ustalenia, czy księżna znała to słowo tylko w angielskim, czy posłyszała w Polsce i upodobała sobie gargulca? Czy kiedyś w obu językach używało się go do określania takich samych osobników męskich, prowincjonalnie urodziwych, zarażonych parciem na szkło, zanim wynaleziono telewizor, i na co dzień wydalających z ust potoki słów, jakby to była czynność potrzebna do życia jak oddychanie.

Paweł Sapieha nie był ani pierwszym, ani ostatnim mężem Virgilii Peterson, córki znanego amerykańskiego neurologa i w ogóle kobiety z lekarskiego, inteligenckiego domu, dobrze wykształconej i przystojnej, trochę za chudej jak na kandydatkę na Sapieżynę, która ma powiększać ród. Niedługo obejmie Siedliska w lwowskim powiecie i wejdzie do familii, w której wyłącznie krewni są właścicielami wszystkiego naokoło, a już zwłaszcza pałaców

Jesień 1937 r., Virgilia Sapieha z córką Krysią.

i zamków. Wiosną i jesienią najwięcej jest we wspomnieniach błota, a zimą – mrozu, śniegu i wiatru. Poza tym: ciemnoty, brudu, chorób, strasznej biedy i much oraz, nazwijmy to eufemistycznie, nierówności.

Przeczytałem we wprowadzeniu do książki o spotkaniu Marii Kuncewiczowej z autorką w roku 1956. Powiedziała Amerykance, że syn po lekturze wyrzucił jej książkę za burtę. Virgilia odpowiedziała, że zrobiłaby to samo, „będąc polskim chłopcem w czasie wojny". Wyrażane i słabo skrywane pretensje Polaków była Sapieżyna skwitowała krótko, że nie napisała nieprawdy, a tylko opisała to, co widziała na własne oczy. Ja osobiście pojąłem, dlaczego pewna prezenterka prowincjonalnej telewizji śniadaniowej w Nebrasce zapytała mnie kiedyś, czy wiem, jakie jest godło Polski (taki *polish joke*, w którym odpowiedź brzmi: mucha). Przeczytałem, jak Virgilia walczyła ze służbą w Siedliskach, żeby zamiast lepów wiszących nad stołami i oblepionych konającym robactwem montować siatki w oknach. I już wiem.

Ciekawe, co ze wspomnieniami amerykańskiej księżnej zrobi narodowo-kościelna i mitotwórcza prawica, której największa moc objawia się w demolowaniu historii polskiego 20-lecia międzywojennego, powojnia zresztą równie barbarzyńsko. Takiego świadectwa nie przegada byle gargulec. ■

FOT. ZE ZBIORÓW CHRISTINY SAPIEHY FREMANTLE

eprasa.pl 2531abbedc

KURTYNA W GÓRĘ

GRA O TRON

Puszkinowski dramat z dziejów wielkiej smuty, czyli „Borys Godunow", portretujący walkę o władzę w XVII-wiecznej Rosji, w szczytowym momencie samodzierżawia, zawitał do Teatru Polskiego w Warszawie. I to w sposób wyjątkowy – reżyserii podjął się bowiem Peter Stein, legenda teatru niemieckiego, który wybrał na swój polski „debiut" właśnie „Godunowa". Wcześniej już realizował ten dramat z sukcesem w Moskwie, teraz był ciekaw reakcji polskiego widza, który ma rzadką okazję obcować z widowiskiem o czasach, kiedy Polska była dla Rosji największym zagrożeniem. Jednych może to wprawić w nastrój tęsknoty za utraconą szansą dominacji, drugich w zadumę nad kaprysami fortuny.

Tak czy owak, powstał spektakl o rzadkiej urodzie, z bujną scenografią (kilkanaście zmian miejsca akcji), wielką obsadą (gra niemal pół setki aktorów) i wysmakowanymi kostiumami. Przez scenę przetaczają się więc tłumy bojarów, szlachty, żołnierzy, mnichów, dzieci i przedstawicieli plebsu. Jak w kalejdoskopie pojawiają się wszystkie klasy społeczne, a całość ilustruje walkę o władzę, której towarzyszą wyrzuty sumienia wygranych i przegranych.

Przede wszystkim chodzi o Borysa Godunowa (wielka rola Andrzeja Seweryna), który po trupach doszedł do carskiej korony, a teraz cierpi katusze prześladowany zmorą zamordowanego carewicza, ale także o Dymitra Samozwańca (Marcin Bubółka), czyli ambitnego, wykształconego mnicha, który pragnie dorównać najpotężniejszemu człowiekowi w Rosji. On również miewa chwile zawahania – tak się zdarza podczas wyznań, jakie czyni ukochanej, Marynie Mniszchównie (Marta Kurzak), ona jednak nie pozwala mu na okazywanie słabości. Ale chodzi też o bezwzględnie manipulowany lud pod jarzmem Cerkwi, który łupią bojarzy.

Jest w tym spektaklu na co patrzeć i kogo słuchać – Stein wciela bowiem w życie swój ideał teatru. Chodzi o teatr wierny słowu poety, ale jednocześnie dbający o plastyczny kształt widowiska.

Tomasz Miłkowski

Aleksander Puszkin, „Borys Godunow", przekład Seweryn Pollak, reżyseria Peter Stein, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana, premiera 24 maja 2019

DAMSKI OKTET

Widzowie może pamiętają francuski film „8 kobiet" z 2002 r. z Catherine Deneuve, Emmanuelle Béart, Fanny Ardant, Isabelle Huppert i jeszcze czterema gwiazdami. Teraz ten sam konflikt został przekształcony z klasycznego kryminału w komediowy psychodramat z doskonałym podkładem muzycznym. Trudno tu wyróżnić najlepszą rolę, bo osiem pań wspólnie tworzy galerię krwistych, choć trochę przerysowanych postaci, tak jak Augusta – Izabela Dąbrowska, rewelacyjna siostra Pani Domu – Katarzyny Gniewkowskiej. A wszystko jest zasługą inteligentnej i finezyjnej reżyserii. To prawdziwy popis sceniczny, który przez półtorej godziny bawi, tumani i trochę przestrasza.

Bronisław Tumiłowicz

Robert Thomas, „8 kobiet", reżyseria Adam Sajnuk, przekład Jakub Rotbaum, Och Teatr, premiera 30 maja 2019

WYDARZENIE

MUMIO FESTIVAL
Ktoś zapukał mi do buta, czyli 21 lat Mumio

Mija 21 lat Mumio na scenie i ekranie. Z tej okazji grupa zaprasza na bezprecedensowe wydarzenie – Mumio Festival. Podczas czerwcowych wieczorów w warszawskim Teatrze Ateneum artyści – Jadwiga i Dariusz Basińscy, Jacek Borusiński i Tomasz Drozdek – pokażą to, co najcenniejsze w historii i specyfice Mumio, najlepsze sceny, niezapomniane postacie, szalone improwizacje, oraz to, czego nie pokazywali jeszcze nikomu i nigdzie. W programie spektakle: „Kabaret Mumio", „Welcome Home Boys", „Przybora na 102" oraz spektakl finałowy, przygotowany specjalnie na tę okazję – „Ktoś zapukał mi do buta". Ponadto w programie wernisaż wystawy „Semantic Pseudo Child Art", nowego kierunku w sztukach plastycznych zainicjowanego przez Dariusza Basińskiego i Tomasza Skorupę, oraz „Kopytko i Mazy" – Mumio w reklamie, przegląd wybranych dokonań Mumio w dziedzinie reklamy telewizyjnej.

WARSZAWA, TEATR ATENEUM, 17-27 CZERWCA

eprasa.pl 2531abbedc

NA EKRANACH

TAJEMNICE JOAN

reż. Trevor Nunn, prod. Wielka Brytania, w kinach od 14 czerwca

A co wy byście zrobili, gdyby się okazało, że wasza matka w czasie II wojny światowej szpiegowała na rzecz Rosjan? Sędziwą Joan Stanley (Judi Dench, brytyjski skarb narodowy) właśnie zatrzymało MI5, co jej syn uznaje za absurdalne nieporozumienie. Jednak kiedy Joan nie zaprzecza zarzucanym jej czynom, mężczyzna musi zadać sobie pytanie, ile wie o rodzicielce, i rozstrzygnąć, czy stoi u niego w hierarchii wyżej niż ojczyzna. Ze swoimi dylematami zostaje sam, bo społeczeństwo już wydało wyrok i nazwało starszą panią zdrajczynią i komunistką. Tym, co ona ma do powiedzenia na swój temat, nie jest zainteresowane, w przeciwieństwie do reżysera, który daje jej prawo rozliczyć się z wyborów. To, co dziś wydaje się czarno-białe, w młodości Joan, którą poznajemy z retrospekcji, ma już znacznie więcej odcieni szarości. A dla Trevora Nunna skomplikowanie wojennej rzeczywistości jest ważniejsze nawet od jej filmowości. Choć to opowieść o szpiegu, film nie oferuje wybuchów ani nagłych zwrotów akcji. Wypełniają go za to moralne dylematy.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

FARBA ZNACZY KREW
Kobieta, afekt i pragnienie we współczesnym malarstwie

„Wystawa prezentuje twórczość polskich artystek w szerszym kontekście międzynarodowego malarstwa kobiet, które mierzy się z reprezentacją intensywności świata zewnętrznego i wewnętrznego", czytamy we wprowadzeniu. Tytuł nawiązujący do krwi upolowanego zwierzęcia zaczerpnięto z książki byłego myśliwego Zenona Kruczyńskiego. Wystawa jednak nie opowiada o kobiecym zniewoleniu. Malarki bowiem tworzą obrazy oparte na introspekcji, niekiedy obsceniczne, zuchwałe, a jednocześnie niepozbawione humoru czy efektów groteskowych.

WARSZAWA, MUZEUM NAD WISŁĄ, DO 11 SIERPNIA

NA DVD

GREEN BOOK

Tony, drobny cwaniaczek z Bronxu, z nadzieją na zgarnięcie konkretnej sumki zatrudnia się jako szofer wybitnego, ekstrawaganckiego muzyka Dona Shirleya. Razem wyruszają na wielotygodniowe tournée na południe Stanów Zjednoczonych. Z pozoru różni ich wszystko: od majątku i wykształcenia, przez sposób bycia, po ulubione jedzenie i rozrywki. Z czasem jednak będą mieli okazję przekonać się, że tak naprawdę więcej ich łączy, niż dzieli. „Green Book", wielki zwycięzca Oscarów, już na DVD i Blu-ray. Na wydaniu Blu-ray znalazło się aż 45 minut materiałów dodatkowych.

SERIALE

WIELKIE KŁAMSTEWKA

Szkodliwość kłamstwa, trwałość przyjaźni, kruchość małżeństwa i nieoczekiwane konsekwencje wychowywania dzieci to tematy podjęte w drugim sezonie „Wielkich kłamstewek". Do piątki z Monterey – Madeline (Reese Witherspoon), Celeste (Nicole Kidman), Jane (Shailene Woodley), Renaty (Laura Dern) i Bonnie (Zoë Kravitz), oraz ich mężów, Eda (Adam Scott), Nathana (James Tupper) i Gordona (Jeffrey Nordling), dołącza teściowa Celeste, Mary Louise (Meryl Streep).

HBO I HBO GO, OD 10 CZERWCA

SANKTUARIUM ZŁA

Czy może być coś gorszego niż uwięzienie w szpitalu, w którym nic nie jest takie, jakie się wydaje, a wszyscy uważają cię za kogoś zupełnie innego? Na antenie Canal+ już możemy oglądać szwedzki ośmioodcinkowy serial sensacyjny autorstwa twórców „Millennium", z udziałem Agnieszki Grochowskiej. Zdjęcia realizowane były w 2018 r. w Alpach, gdzie rozgrywa się akcja, oraz w Rzymie.

CANAL+

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ARCHIWUM MUMIO, BEST FILM

eprasa.pl 2531abbedc

Medycyna alternatywna: wiedza czy pseudowiedza?

Najczęstszymi technikami leczenia są: modlitwa, multiwitaminy, masaże, witaminy C i E, muzykoterapia i medytacja

Wiesław Łukaszewski

Szczególnym przypadkiem wiedzy kontrowersyjnej, często wręcz nazywanej pseudowiedzą, jest obszar tzw. medycyny alternatywnej lub niekonwencjonalnej (jako przeciwstawienie medycyny konwencjonalnej). O zainteresowaniu medycyną alternatywną niech świadczy fakt, że po wpisaniu do Google hasła „medycyna konwencjonalna" otrzymamy 112 tys. odpowiedzi, natomiast po wpisaniu „medycyna alternatywna" – ponad 2,5 mln.

Kwestie dotyczące medycyny alternatywnej nie są jednak do końca jasne, bo i w obiegu publicznym, i w literaturze psychologicznej (szczególnie zachodniej) zazwyczaj używa się zbitki „medycyna komplementarna i alternatywna" (*complementary and alternative medicine*). Przykładem typowego zabiegu medycyny komplementarnej (towarzyszącej, uzupełniającej) jest akupunktura albo różne suplementy diety, przykładem typowego zabiegu medycyny alternatywnej zaś jest aromaterapia albo medytacja. (…)

Czynne zainteresowanie medycyną alternatywną jest nadzwyczaj duże. Badania prowadzone w różnych stronach świata pokazują, że większość osób badanych przyznaje, iż w ostatnim roku korzystała z dobrodziejstw (?) takiej medycyny. Ten trend nie omija też Polski. Wydatki na suplementy diety idą w miliardy złotych rocznie i rosną z roku na rok (…).

Tymczasem z badań wynika, że prawie 90% dorosłych Polaków stosowało w ciągu ostatniego roku wiele leków dostępnych bez recepty – czy to środki przeciwbólowe, czy witaminy, czy też środki odchudzające, czy preparaty wspomagające erekcję – przy czym tylko nieliczni konsultują to z lekarzem, czy choćby informują o tym lekarzy. Co dziwniejsze, większość Polaków zdaje sobie sprawę z tego, że różnego rodzaju leki i suplementy mogą mieć szkodliwe skutki, a mimo to je stosuje.

Nieraz słyszy się, że medycyna alternatywna jest właściwie jedynym dostępnym sposobem podtrzymywania nadziei – tak jest ponoć w poważnych chorobach nowotworowych czy innych chorobach terminalnych. Rzecz jednak w tym, że ludzie uciekają się do alternatywnych zabiegów nie dlatego, że wyczerpali wszystkie konwencjonalne sposoby ratowania zdrowia, ale często stosują je zamiast leczenia konwencjonalnego. Co więcej, zabiegi niekonwencjonalne stosują kobiety w ciąży i rodzice u swoich dzieci. Mało tego, zabiegi te są dość powszechne wśród studentów medycyny czy pielęgniarek. Popatrzmy na niektóre wyniki badań prowadzonych na świecie. Badań tych przeprowadzono bardzo wiele.

Badania, w których uczestniczyło ponad tysiąc chorych na choroby nowotworowe Turków, pokazały, że blisko 60% z nich uciekało się do praktyk medycyny alternatywnej. Ten wskaźnik jest zasadniczo niezależny od rodzaju choroby nowotworowej. Okazuje się także, że zabiegi medycyny alternatywnej chorzy zaczynali stosować równie często na różnych etapach choroby – zarówno w fazie początkowej, jak i zaawansowanej. Najczęściej stosowane zabiegi to terapie ziołowe – stosowało je 95% chorych, a najczęściej aplikowano napar z pokrzywy (70%!). Często odwoływano się również do uczestnictwa w praktykach religijnych, do stosowania multiwitamin czy uprawiania jogi. Tylko nieliczni konsultowali swoje praktyki z lekarzami. Zaledwie połowa osób badanych stosujących zabiegi medycyny alternatywnej uważała, że okazały się one skuteczne, pozostali zaprzeczają ich skuteczności.

Teza, jakoby zabiegi medycyny alternatywnej stosowali ci, którzy wykorzystali już wszelkie sposoby medycyny konwencjonalnej, nie znajduje potwierdzenia w badaniach. W jednym z nich uczestniczyło prawie 80 kobiet, u których właśnie

eprasa.pl 2531abbedc

wykryto nowotwory piersi. Badania przeprowadzono trzykrotnie: bezpośrednio po postawieniu diagnozy, dwa miesiące później i sześć miesięcy po postawieniu diagnozy. Po pierwsze, okazało się, że ponad 95% kobiet stosowało od pięciu do sześciu różnych zabiegów alternatywnych. Po drugie, stwierdzono, że najczęściej używanymi technikami alternatywnymi były: modlitwa, multiwitaminy, masaże, witamina C i witamina E, muzykoterapia, medytacja. I te właśnie, w tej kolejności, były uznawane za najbardziej skuteczne. Po trzecie jednak, istnieje niezbyt silna, ale systematyczna tendencja do zmniejszania się liczby pacjentek stosujących zabiegi medycyny alternatywnej w miarę upływu czasu. Wszystkie badane osoby poddawane były równolegle terapii konwencjonalnej (terapii hormonalnej, radioterapii, chemioterapii). Większość kobiet miała wykształcenie wyższe (licencjat i magisterium) i nie odnotowano zależności między stosowaniem praktyk alternatywnych i różnicą w poziomie wykształcenia.

Szczególnie zastanawiająca jest rola modlitwy. W ogromnej duńskiej próbce ponad 3 tys. kobiet, u których rok wcześniej zdiagnozowano nowotwór piersi, sprawdzano także wpływ nadziei, opartej na przesłankach religijnych („z pomocą Boga"), na wyzdrowienie. Prawie połowa tych kobiet wyrażała dużą nadzieję na wyzdrowienie, ponad 35% żywiło nadzieję umiarkowaną na zmianę z niepewnością, pozostałe zaś nie miały nadziei na wyzdrowienie. Sprawdzano wykorzystywanie różnych technik medycyny alternatywnej, takich jak modlitwa, suplementy diety, masaż, preparaty ziołowe, specjalne diety, akupunktura, refleksologia, relaksacja i joga, kinezjologia. Wszystkie te techniki były wykorzystywane przez 89-99% badanych kobiet. Odnotowano słabą tendencję zależną od stopnia wiary w uzdrowienie: im słabsza była ta wiara, tym częściej chore stosowały zabiegi medycyny alternatywnej. W tych badaniach niestety nie sprawdzano subiektywnych ocen skuteczności stosowanych procedur.

Podobnie wygląda sytuacja w japońskich ośrodkach opieki paliatywnej. W co najmniej 60% tych ośrodków (a zbadano ich 150!) stosowano co najmniej jedną metodę terapii alternatywnej, choć ośrodki te nie odwołują się do żadnej regulacji prawnej w tym zakresie. Widać zatem pozytywny stosunek do medycyny alternatywnej na poziomie instytucjonalnym. Najczęściej stosowane zabiegi to aromaterapia, muzykoterapia, masaże. Co ciekawe, ośrodki te rzadko konsultują propozycje stosowania terapii alternatywnych zarówno z pacjentami, jak i z ich rodzinami.

Analiza stron internetowych prowadzonych przez 41 czołowych ośrodków leczenia nowotworów w Stanach Zjednoczonych pokazuje, że przynajmniej część tych ośrodków proponuje różne terapie alternatywne (nie mniej niż 25% i nie więcej niż 60% ośrodków w zależności od stosowanej metody). Proponuje się m.in. akupunkturę, zioła, diety, hipnozę, wizualizacje, medytacje, masaże, uzdrawiający dotyk(!), taniec i inne. Jak widać, ośrodki medyczne, najpewniej z powodów marketingowych, wychodzą naprzeciw miłośnikom medycyny alternatywnej i w ten sposób nobilitują praktyki alternatywne.

Badania nad osobami, które zostały wyleczone z choroby nowotworowej, dowodzą, że systematycznie sięgały one po zabiegi medycyny alternatywnej. Jakkolwiek wyleczeni pacjenci wskazywali na dobroczynne skutki terapii alternatywnych, to nie stosowali ich częściej niż przeciętni Amerykanie, którzy nie chorowali na choroby nowotworowe. Co ważne, w wypadku tych osób terapie alternatywne były zawsze komplementarne do terapii konwencjonalnej (chemioterapii, radioterapii czy terapii hormonalnej).

Podobne efekty odnotowano w odniesieniu do terapii bólu. Ocenia się, że większość klientów specjalistów od chiropraktyki (kręgarzy) czy osteopatii poszukuje sposobu na usunięcie bólu i sięga po różne alternatywne sposoby terapii – suplementy diety, środki przeciwbólowe, akupunkturę, zioła, masaże. (…)

Zadziwiającym zjawiskiem jest uciekanie się do medycyny alternatywnej przez kobiety w ciąży i przez rodziców małych dzieci. W badaniach szwajcarskich blisko 70% kobiet ciężarnych informowało o stosowaniu zabiegów medycyny alternatywnej – najczęściej homeopatii, akupunktury czy osteopatii. Co ciekawe, dotyczyło to rdzennych Szwajcarek, a nie imigrantek (93% *versus* 8%). Interesującym faktem jest również to, że zabiegi medycyny alternatywnej częściej stosowały kobiety lepiej wykształcone niż kobiety o niższym wykształceniu.

Nieco lepiej wygląda sytuacja w badaniach amerykańskich – kobiety ciężarne i kobiety bezpośrednio po porodzie stosują alternatywne zabiegi medyczne w przybliżeniu równie często, jak kobiety niebędące w ciąży (ok. 40%). Najczęściej są to: hipnoza, wizualizacje, medytacje, joga. Stosunkowo rzadko kobiety stosują specjalne diety i suplementy, szczególnie dotyczy to kobiet, które niedawno urodziły.

Skrajnie odmienny obraz wyłania się z badań australijskich. Okazuje się, że tu ponad 80% kobiet ciężarnych używa farmakologicznych środków redukowania bólu, a blisko 75% stosuje środki niefarmakologiczne. Ze środków przeciwbólowych farmakologicznych i innych (niepowiązanych z bólem) technik alternatywnej medycyny korzysta ponad 90% kobiet w ciąży i bezpośrednio po porodzie. W grę – poza lekami – wchodzą zioła, różnego rodzaju odżywki, masaże, akupunktura, aromaterapia oraz joga. I niespełna połowa kobiet zasięga w tej kwestii porad specjalistów.

Widać pewne uwarunkowania kulturowe. O ile w Europie, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych można zauważyć pewną powściągliwość wobec alternatywnych praktyk medycznych, o tyle w Australii są one powszechnie stosowane.

Medycynę alternatywną stosuje się także wobec dzieci. Z badań przeprowadzonych na oddziale

Ludzie często wolą zabiegi alternatywne zamiast leczenia konwencjonalnego.

Część spośród 41 czołowych ośrodków leczenia nowotworów w USA proponuje m.in. akupunkturę, zioła, diety i hipnozę.

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 2531abbedc

ratunkowym szpitala uniwersyteckiego w Zurychu, w których analizowano dane dotyczące ponad tysiąca dzieci (a ściśle – ich rodziców), wynika, że ponad połowa stosowała wobec dzieci co najmniej jedną procedurę alternatywną (najczęściej homeopatię i zioła, ale często też inne formy oddziaływań alternatywnych, np. muzykoterapię, masaże, diety, medytację). Nadzwyczaj interesujące są poglądy rodziców na skuteczność procedur alternatywnych wobec dzieci. Jako zawsze skuteczne oceniło je blisko 40% rodziców, ale jako skuteczne rzadko lub nigdy – zaledwie 8%. Dla porównania ocena praktyk konwencjonalnej medycyny: skuteczne zawsze – ponad 60%, skuteczne rzadko lub nigdy – 2%. Połowa badanych rodziców uważa jednak, że zabiegi medycyny alternatywnej były bardziej skuteczne niż zabiegi konwencjonalne. Rodzice rzadko wskazywali na uboczne efekty terapii alternatywnych (ponad 90% podkreślało brak efektów ubocznych). W wypadku medycyny konwencjonalnej tylko 52% osób wskazywało na brak efektów ubocznych. Podkreślenia wymaga fakt, że ponad połowa badanych rodziców miała wyższe wykształcenie.

Badania włoskie, obejmujące małoletnich (od 4 do 16 lat) pacjentów cierpiących na chroniczne bóle głowy, ujawniają, że procedury medycyny alternatywnej stosowało blisko 80% pacjentów (najczęściej ich rodziców), a ponad 40% w wypadku narastania bólu głowy korzystało z więcej niż jednej procedury naraz. Najczęściej stosowano preparaty ziołowe, suplementy diety, homeopatię, jogę i tym podobne. I w tym wypadku istniała pozytywna korelacja między wykształceniem rodziców i stosowaniem praktyk alternatywnych wobec swoich dzieci. Rodzice wykształceni częściej uciekali się do medycyny alternatywnej niż rodzice niezbyt wykształceni.

Medycynę alternatywną stosuje się także wobec dzieci.

W niewielkich, ale ważnych (i dość dramatycznych) badaniach uczestniczyli australijscy rodzice dzieci, które niedawno zmarły z powodu choroby nowotworowej. Okazało się, że 30% z nich stosowało praktyki medycyny alternatywnej, w większości więcej niż jedną z procedur. Najczęściej były to specjalne diety, modlitwa i homeopatia. Co ważne, wyniki badań pokazują, że rodzice tych dzieci nie stosowali praktyk alternatywnych częściej niż rodzice dzieci, które chorują na inne choroby, co podważa tezę, że do medycyny alternatywnej uciekają się ludzie bezradni, którzy wyczerpali wszystkie inne sposoby.

Spora grupa badań dotyczy stosunku do medycyny alternatywnej wśród personelu medycznego oraz studentów medycyny.

W badaniu losowej próbki niemieckich lekarzy stwierdzono, że popierających medycynę alternatywną jest dwukrotnie więcej niż wątpiących w jej wartości lecznicze. Ponadto niektóre techniki medycyny alternatywnej są częściej zalecane przez lekarzy niż praktyki medycyny konwencjonalnej.

W wielkim badaniu, które objęło reprezentatywną próbę obywateli Stanów Zjednoczonych (ponad 14 tys. osób), uczestniczyło też ponad 1,2 tys. pracowników szeroko pojętej służby zdrowia. Okazuje się, że 76% pracowników służby zdrowia stosuje różne techniki medycyny alternatywnej (w całej populacji jest to 63%!). Są to różnego rodzaju energoterapie, diety, witaminy, zioła. Jak widać – wbrew oczekiwaniom – wiedza medyczna nie wyklucza stosowania praktyk medycyny alternatywnej. (…)

Problem dotyczy także kandydatów na lekarzy – studentów medycyny. Choć ponad 60% badanych studentów irlandzkich informuje, że nie ma wystarczającej wiedzy o medycynie alternatywnej (dobrą znajomość deklaruje mniej niż 30% badanych, a połowa nie ma żadnej opinii na temat skuteczności medycyny alternatywnej), jednak prawie 80% uważa, że wiedza ta jest istotna w ich przyszłej karierze medycznej, a ponad 50% żywi przekonanie, że medycyna alternatywna zostanie włączona do studiów medycznych. Studenci należący do wspólnot religijnych są bardziej zainteresowani medycyną alternatywną niż studenci niereligijni. (…)

Sporo badań pokazuje, że medycyną alternatywną szczególnie zainteresowani są ludzie starsi, przede wszystkim starsze kobiety. W wielkim badaniu amerykańskiej próby liczącej ponad 10 tys. osób powyżej 50. roku życia stwierdzono, że ponad 60% kobiet i nieco ponad 40% mężczyzn stosowało zabiegi medycyny alternatywnej. Im starsi byli badani, tym silniejsze było zainteresowanie medycyną alternatywną. I tutaj okazało się, że osoby lepiej wykształcone częściej stosują zabiegi medycyny alternatywnej niż osoby gorzej wykształcone, biali Amerykanie sto-

eprasa.pl 2531abbedc

sują je częściej niż czarni Amerykanie. Dominującym zjawiskiem jest przewaga kobiet: typowym amerykańskim użytkownikiem medycyny alternatywnej jest kobieta w średnim wieku, z wykształceniem powyżej średniego, a niektórzy donoszą nawet, że pewne praktyki medycyny alternatywnej, np. refleksologię, stosują prawie wyłącznie kobiety.

Pora postawić pytanie, skąd bierze się ta fala zainteresowania medycyną alternatywną. Dlaczego ludzie, którzy tak niewiele o niej wiedzą, stosują ją z zapałem? Dlaczego ostrzeżenia specjalistów dowodzących nieskuteczności (a nierzadko szkodliwości) procedur medycyny alternatywnej nie wpływają na zachowania ludzi? Dlaczego magii medycyny alternatywnej ulegają lekarze, pielęgniarki i studenci medycyny? Najpierw sprawdźmy, jak uzasadniają to sami użytkownicy medycyny alternatywnej.

Z zabiegów medycyny alternatywnej częściej korzystały kobiety lepiej wykształcone niż o niższym wykształceniu.

W badaniu wielkiej próby amerykańskiej ludzi starszych (50+) okazało się, że powody, z jakich stosowali oni praktyki medycyny alternatywnej bądź ich nie stosowali, były zasadniczo trzy: przekonanie o nieskuteczności zabiegów konwencjonalnych i o skuteczności zabiegów alternatywnych, wysoka cena zabiegów konwencjonalnych oraz rekomendacje dostawców, a przede wszystkim reklama środków alternatywnych.

W wielu badaniach sprawdzano korelaty i uzasadnienia stosowania zabiegów medycyny alternatywnej. Badania blisko 24 tys. Amerykanów przyniosły wyniki bardzo interesujące. Tak więc na zachodzie Stanów Zjednoczonych częściej stosuje się zabiegi medycyny alternatywnej, bo są znacznie tańsze niż na wschodzie. Z wyjątkiem chiroterapii stosowanie praktyk medycyny alternatywnej było pozytywnie skorelowane z wykształceniem. Nie ma jasnego związku między stanem zdrowia i stosowaniem medycyny alternatywnej – najczęściej stosują ją osoby, które uważają stan swojego zdrowia za wyśmienity, bardzo dobry i dobry, najrzadziej zaś ci umiarkowanie zdrowi. Istnieje natomiast związek między stosowaniem tych praktyk i przekonaniem, że polepszają one dobrostan. Potwierdzają to zarówno badania sondażowe, jak i psychologiczne badania jakościowe. Medycynę alternatywną stosują także ci, którzy sądzą, że dostęp do konwencjonalnej medycyny jest trudny i kosztowny. (…)

Istnieje również związek między stosowaniem praktyk medycyny alternatywnej i różnego rodzaju irracjonalnymi przekonaniami. W badaniach reprezentatywnej próby fińskiej liczącej ponad tysiąc osób stwierdzono, że najlepszym predyktorem stosowania praktyk medycyny alternatywnej są przekonania o istnieniu zjawisk paranormalnych, rozczarowanie podstawową wiedzą naukową oraz przekonania proekologiczne, natomiast ocena stanu własnego zdrowia czy zadowolenie z konwencjonalnej medycyny i wykształcenie nie pozwalają przewidywać skłonności do stosowania medycyny alternatywnej. Irracjonalne przekonania o istnieniu zjawisk paranormalnych oraz przekonania proekologiczne były silnymi predyktorami gotowości do stosowania alternatywnych praktyk medycznych, co stwierdzono też w badaniach brytyjskich. W innych badaniach brytyjskich pokazano, że opisanym tu zjawiskom towarzyszy sceptycyzm wobec skuteczności medycyny konwencjonalnej. (…)

Idea medycyny alternatywnej podporządkowana jest trosce o stan własnego zdrowia, ale stosowanie praktyk tej medycyny ma słaby związek z rzeczywistym stanem zdrowia. Głębokie przyczyny ich stosowania bowiem są natury nie tyle medycznej, ile socjopsychologicznej, przede wszystkim warunkowane postawami światopoglądowymi. Spora część osób stosuje praktyki medycyny alternatywnej mimo braku wiedzy na ich temat. Czyni tak, bo stosują je ludzie z otoczenia (rodzina, przyjaciele), co wskazuje na mechanizm pluralistycznej ignorancji. Wbrew oczekiwaniom praktyki te stosują ludzie zamożniejsi i bardziej wykształceni, co wskazuje, że to nie brak dostępu do medycyny i leków czy zabiegów konwencjonalnych przesądza o ich aprobacie wobec medycyny alternatywnej. Wreszcie, znacząca rola postaw światopoglądowych – i tych proekologicznych, i tych religijnych, i tych paranormalnych – ponownie wskazuje na psychologiczne uwarunkowania uciekania się do praktyk alternatywnej medycyny. W grę wchodzi bowiem pewien rodzaj wiary, który mimo obiektywnej nieskuteczności lub skuteczności znikomej pozwala wierzyć w cudowne działanie medycyny alternatywnej, choć najprawdopodobniej mamy do czynienia z efektem placebo. (…)

Trzeba jednak przypomnieć, że utrwalona i powszechnie stosowana w literaturze kategoria „medycyna komplementarna i alternatywna" bardzo zaciemnia obraz zjawiska. Komplementarna, to znaczy towarzysząca, uzupełniająca medycynę konwencjonalną. Rzecz jednak w tym, że choć często mówi się o różnorodności praktyk komplementarnych i o częstości ich stosowania, to nadzwyczaj rzadko wspomina się o tym, jakie praktyki konwencjonalne one uzupełniają. Określenie „alternatywne praktyki" jest nieco jaśniejsze, bo dotyczy tych praktyk, które stosuje się nie obok, ale zamiast praktyk konwencjonalnych. O ile pierwszy przypadek (komplementarne praktyki) jest w wielu wypadkach wątpliwy, bo ocena ich skuteczności jest trudna, podobnie jak ocena szkodliwości czy braku wpływu, o tyle przypadek drugi jest już klarowny, bo samo zaniechanie leczenia konwencjonalnego w wielu wypadkach przynosi szkody lub straty, a dodatkowo szkodliwe może okazać się stosowanie praktyk alternatywnych. Szkodliwe w tym sensie, że brak skutecznej terapii może (a pewnie nawet musi) prowadzić do pogarszania się stanu zdrowia osób cierpiących na poważne dolegliwości. Rzecz jednak w tym, że stosowanie obu rodzajów medycyny znacznie częściej odwołuje się do wiary w ich skuteczność niż do wiedzy o mechanizmie ich oddziaływania. (…)

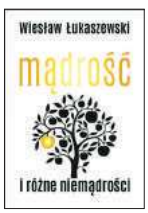

Fragmenty książki Wiesława Łukaszewskiego *Mądrość i różne niemądrości*, Smak Słowa, Sopot 2018

eprasa.pl 2531abbedc

Kubańska fiesta

Rozśpiewana i roztańczona Kuba jest mocarstwem muzycznym. Dokądkolwiek się pójdzie, słyszy się salsę, son, bachatę czy pachangę. Do zabawy zapraszani są turyści. Zespoły w rodzaju słynnego Buena Vista Social Club rodzą się jeden po drugim, a w repertuarze sięgają po przeszłość muzyczną Kuby. Największą popularność zdobyła grupa Los Van Van. Światową sławą cieszy się otwarty w 1936 r. kabaret Tropicana, w którym swego czasu kucharzem był Polak. Wkrótce otwarty zostanie Bar Beatlesów. Niedziele i święta to bez przesady karnawał uliczny, podczas którego prezentują się lokalne grupy artystyczne. Polityka jest odkładana na bok.

LM

eprasa.pl 2531abbedc

Powitanie przy wejściu do kabaretu Tropicana.

Tancerki umilają rejs katamaranem.

Zespoły muzyczne są wszędzie.

FOT. LECH MIODEK

eprasa.pl 2531abbedc

Cyfrowego klienta trudniej nabrać

Im więcej chcemy wiedzieć o produktach, tym pilniej jesteśmy śledzeni przez producentów i sprzedawców

W trakcie zakupów można sprawdzić, z jakiego kraju pochodzi produkt i jaki ma skład.

Bronisław Tumiłowicz

Badacze rynku ogłosili początek nowej epoki, a w każdym razie koniec starej. Do niedawna obserwowano jakby dwa światy: jedni kupowali w sklepach stacjonarnych, a drudzy w internetowych. Teraz okazało się, że świat jest jeden. Z badań firmy konsultingowej Deloitte wynika, że dwie na trzy wizyty klienta w zwykłym polskim sklepie odbywają się z wykorzystaniem urządzeń elektronicznych.

Wskaźnik wpływu cyfrowego na zakupy w Polsce wynosi 60%. Większość klientów włącza komputer stacjonarny, laptop, tablet, smartfon itd. przeważnie wtedy, gdy chce czegoś się dowiedzieć o danym produkcie, porównać ceny, jakość, poznać opinie innych klientów i rankingi. Co ciekawe, w wyliczeniu owego wskaźnika wpływu cyfrowego nie brano nawet pod uwagę płacenia w sklepie, a przecież coraz więcej klientów płaci za zakupy kartą kredytową albo telefonem komórkowym. Badano jedynie wspomaganie się narzędziami elektronicznymi w przygotowaniu do zakupu: oglądanie portali producentów i sieci handlowych, szukanie wiadomości na YouTubie, Facebooku i w innych mediach społecznościowych albo np. zgłoszenia reklamacji, chęci zwrotu towaru po dokonaniu zakupu itd.

Oczywiście więcej takich zachowań odnotowano u ludzi młodych. W grupie osób urodzonych po 1995 r., czyli mających teraz 18-24 lata, wskaźnik wpływu cyfrowego jest najwyższy i wynosi 71%. Dla badanych do 44. roku życia wynosi on 60% lub więcej, w grupie 45-54 lata – 53%, a w przypadku seniorów (65-70 lat) jedynie 38%. Sprawdzono też, że zamożność klientów nie ma większego wpływu na wspomaganie się urządzeniami elektronicznymi, bo smartfony stają się coraz powszechniejsze.

Najczęściej szukamy informacji o sprzęcie elektronicznym. Chcemy również dobrze się rozeznać w ofercie rynkowej, gdy kupujemy produkty dla zdrowia, kosmetyki, meble, sprzęt służący rozrywce lub rekreacji, artykuły motoryzacyjne. Dzięki internetowi można bardzo szybko porównać ceny, obejrzeć zdjęcia produktów i dopiero po wstępnym rozeznaniu wybrać się do sklepu lub zamówić online. Także gdy szukamy czegoś na prezent, internet dostarcza inspiracji. Podobno Polacy chętniej niż inne nacje korzystają z rankingów i porównań. Tak przygotowany klient coraz rzadziej dokonuje zakupów przypadkowych, pod wpływem czyjejś rady, emocji albo reklamy. Jest też kategoria klientów, którzy wyszukują przede wszystkim towary i usługi w promocji, polują na okazje, specjalne upusty. Tutaj także urządzenia cyfrowe są niezawodnym przewodnikiem.

Polacy chętniej niż inne nacje korzystają z rankingów i porównań.

Badania pokazały, że klient wyposażony w odpowiednie wiadomości przywiązuje coraz mniejszą wagę do rad sprzedawcy. Chciałby natomiast, aby pracownik sklepu wiedział jak najwięcej o działaniu i szczegółach danego produktu, by mógł natychmiast odpowiadać na wszelkie pytania, kierować klienta do innych sklepów z podobnymi towarami. Takie cechy może mieć tylko sprzedawca wyposażony w komputer podłączony do sieci, także do wewnętrznej sieci danej branży czy korporacji. Klient jest dziś coraz bardziej niecierpliwy, uważa, że w zdigitalizowanym świecie wszystko musi działać szybko i bezbłędnie.

Pogoń za precyzyjnymi informacjami i chęć sprawnego poruszania się w krainie zakupów ma także ciemniejsze strony. Każdy klient, który szuka w sieci konkretnych informacji o produktach, a następnie kupuje te towary, jest namierzany przez sprzedawcę lub producenta. Im bardziej jesteśmy niecierpliwi i żądni wiedzy, tym pilniej jesteśmy śledzeni, bo sprzedawca chce wiedzieć, co i za ile zamierzamy kupić, jakie mamy preferencje, co nam się podoba bardziej, a co mniej, a także na co chorujemy, czy mamy dzieci itd. Mnóstwa informacji dostarczają nawet powszechnie stosowane w portalach internetowych ciasteczka – *cookies*. To maleńkie informacje wysyłane przez serwis internetowy, który odwiedzamy, i zapisywane na komputerze, laptopie czy smartfonie, z którego korzystamy podczas przeglądania stron internetowych. Jeszcze bardziej wyrafinowane jest działanie tzw. bikonów (*beacon*), czyli maleńkich nadajników wykorzystujących technologię Bluetooth, których sygnał odbierają odpowiednie aplikacje na smartfonie. Wystarczy, że ktoś się pojawi w miejscu, gdzie one działają, a natychmiast otrzyma na komórkę sprofilowane informacje, chociaż wcale o nie nie prosił. Widać więc, że klient z cyfrowym urządzeniem może być osaczany ze wszystkich stron. Osoba, która tylko raz weszła na stronę producenta lub sprzedawcy, zostaje już zarejestrowana, poszczególne informacje o niej są gromadzone, a nawet sprzedawane innym zainteresowanym. W ten sposób gdy ktoś kupił kran do umywalki, niebawem otrzyma ofertę zakupu kabiny prysznicowej czy szlafroka kąpielowego. Już nie wywinie się ze szponów zdigitalizowanego świata handlu. ■

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 2531abbedc

My w Europie

Mamy gorący okres w sprawach europejskich. Po wyborach do Parlamentu Europejskiego nadchodzi czas nowych porządków.

Trzeba wybrać przewodniczącego europarlamentu, wiceprzewodniczących, szefów komisji, co wymaga żmudnych negocjacji. Poza tym trwa bój o stanowisko przewodniczącego Komisji Europejskiej. Tu rywalizują niemiecki chadek Manfred Weber i znany dobrze w Polsce holenderski socjaldemokrata Frans Timmermans. Ponieważ jednak Parlament Europejski jest rozdrobniony jak nigdy wcześniej i chadecy z socjaldemokratami nie mają w nim większości, sprawy mogą zakończyć się różnie. Wszystko zależy od tego, jak będą przebiegać negocjacje z udziałem tego trzeciego, czyli liberałów.

A jak w tej grze odnajduje się Polska?

Trudno nie odnieść wrażenia, że tradycyjnie. Czyli wykorzystuje szansę, by siedzieć cicho.

Są tego dwa symbole. Pierwszy to zdjęcie premiera Morawieckiego z uroczystości 75. rocznicy lądowania aliantów w Normandii. Uroczystości odbywały się w Portsmouth, skąd 5 czerwca 1944 r. alianckie okręty wypłynęły na kontynent. Na trybunie Mateusza Morawieckiego usadowiono za królową Elżbietą II (ona tamte czasy pamięta). No i doszło do wpadki, bo złośliwy reporter sfotografował Morawieckiego bardzo zajętego czytaniem informacji z telefonu.

Drugim symbolem jest Ewa Kopacz, którą wybrano na wiceprzewodniczącą parlamentarnej frakcji Europejskiej Partii Ludowej. Prasa sprzyjająca PO okrzyknęła to natychmiast wielkim sukcesem i zaszczytem. Jednak nie przesadzajmy z tym sukcesem. W EPL wiceprzewodniczących jest dziesięcioro, więc tak czy inaczej PO, jako jedna z największych grup, ma to miejsce zagwarantowane. Jako minimum. Ale jest rzecz gorsza – otóż okazuje się, że Ewa Kopacz włada angielskim w stopniu niedużym (ona twierdzi, że komunikatywnym, na to samo wychodzi). Jak może działać wiceprzewodniczący, który niewiele rozumie i duka? Ewa Kopacz zobowiązała się, że będzie się uczyć języka, bo jest pracowita. OK, niech się uczy. Ale czy nie powinna tego zrobić wcześniej?

Ech! Nasuwa się analogia do nowej szefowej MSWiA Elżbiety Witek. Ona też stwierdziła, że nie za bardzo zna się na resorcie, którym przyszło jej kierować, ale będzie się uczyć. Powodzenia!

W tym układzie, który kształtuje się w Parlamencie Europejskim, ważne też jest, jakie miejsce zajmie PiS. Jego naturalny sojusznik, Fidesz Viktora Orbána, jest w EPL i nie zamierza stamtąd wychodzić. Wprawdzie były głosy wśród chadeków, by Węgrów z frakcji wyrzucić z powodu nieprzestrzegania unijnych norm przez rząd Orbána, ale w obronę wzięli ich przedstawiciele… Platformy.

Fidesz pozostał więc w EPL, a w następstwie tego ruszyły targi, z kim PiS w Parlamencie Europejskim się zjednoczy. Bo dotychczasowi sojusznicy, brytyjscy konserwatyści, szykują się do brexitu. Na razie wygląda tak, że PiS z prorosyjskim Zgromadzeniem Narodowym pani Le Pen nie pójdzie, za to z Ruchem Pięciu Gwiazd, również prorosyjskim, owszem, tak. I stworzy frakcję.

W języku polityki europejskiej nazywa się to chodzeniem po obrzeżach.

Attaché

Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Przed wejściem do Wielkiego Meczetu w Kolombo podczas Id al-Fitr, święta dziękczynienia na zakończenie ramadanu.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2531abbedc

JOLKA

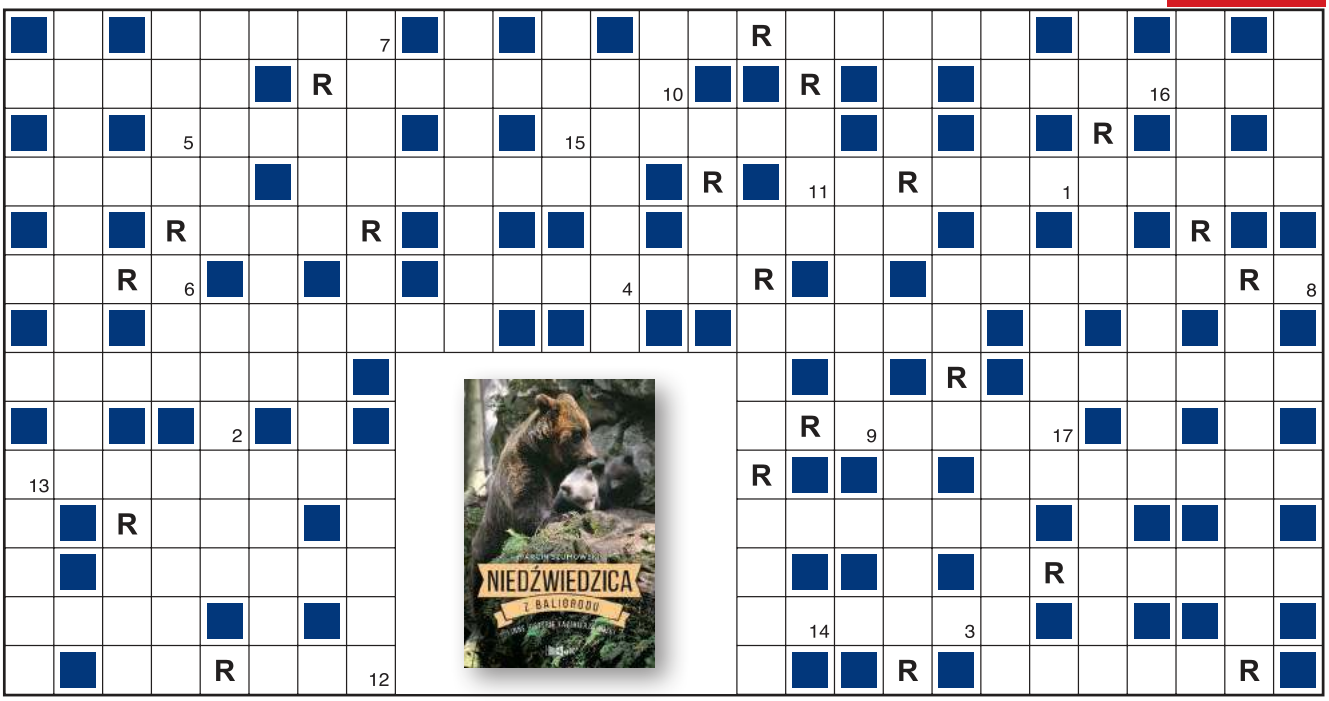

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- tłumi światło lampy
- …sostenuto rozpoczyna sonatę Księżycową
- Kasia, reżyserka „Amoku”
- nad nią Werona
- likier kminkowy, rymuje się z głupim malarzem
- np. nori służące do przygotowania sushi
- miejsce pracy technika farmaceutycznego
- muzyk, malarz lub performer
- urodził się w niej Martin Luther King
- można się za nie brać z życiem
- w ręku ekonoma
- prerafaelici lub św. Łukasza
- niebieski w zbożu
- szczera zrobi z ciebie oficera
- fakty, liczby, na których można się oprzeć
- wiadomość z agencji informacyjnej
- nauka bliska Markowi Belce
- imię autorki „Wichrowych wzgórz”
- ciuszek
- los, nieubłagana konieczność
- bokobrody lub metresy
- wtaczany przez Syzyfa
- pseudonim Stefana Roweckiego
- straganiarz albo domokrążca
- tańszy niż detal
- „…śmierci” lub olimpijskie
- kwitnie najwcześniej z krajowych wierzb
- jego ikra na czarny kawior
- obok gniadosza w stajni
- dekompresyjna dla nurka
- upór i nieposłuszeństwo
- nicpoń, nic dobrego
- profan, dyletant
- imię europosłanki Geringer de Oedenberg
- odbijana przez badmintonistów
- stolica Angoli
- gdy w kasie mniej, niż powinno być
- sprężynowy lub piankowy w łóżku
- o śniedzi na miedzi
- nielot z pampasów
- ogół wiedzy ludzkiej albo dyscyplina badawcza
- powalający cios
- czasem najdzie na coś
- między septetem a nonetem
- osłona z cienkich niteczek dla gąsienicy
- ptak, roślina i obiekt sportowy
- Księżyc w całej krasie
- panika
- teren z domem jako czyjaś własność
- dopplerowski wykorzystywany w meteorologii
- reżyser Piwowarski, polityk Sikorski
- ostatnia kończy spłatę kredytu
- deklamuje wiersz
- jego królową lekkoatletyka
- …interesów – prowadzi do konfliktu
- …po wiedeńsku – z jajkiem sadzonym i plasterkiem cytryny
- jego beczka w wesołym miasteczku
- dominujące kolory
- „jej… jak bystra woda”
- stado z basiorem
- koniec tunelu
- bolesny w kąciku ust
- wyraz taki jak wiarygodny

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-912”. Do rozlosowania książki „Niedźwiedzica z Baligrodu” ufundowane przez Oficynę 4eM. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 czerwca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-909” z 26 maja: *Gniew słabnie z czasem.* Nagrody otrzymują: Judyta Klimkiewicz z Warszawy, Józef Mozio z Poznania, Kazimierz Szulowski z Lesznowoli.

eprasa.pl 2531abbedc

PENETRACJE

ZDANIE

MAREK BELKA,
BYŁY PREMIER

Jak widzi pan przyszłość lewicy?

– Jest takie powiedzenie: za dużo wodzów, za mało Indian. Problem lewicy w ogóle, nie tylko w Polsce, polega na tym, że jej program socjalny został zaanektowany przez inne partie, choćby chadeckie, a przede wszystkim przez populistów. To co pozostało lewicy? Ekologia, gender, feminizm, równouprawnienie? OK, choć tradycyjny elektorat lewicy może mieć opory. To jednak nie są wielkie projekty społeczne. U nas na razie święci triumfy populizm prawicowy, który zawłaszczył program socjalny lewicy, a od siebie dodał nacjonalizm i ksenofobię.

DOGMATU

MICHAŁ KOZŁOWSKI,
PUBLICYSTA

Geografia wyborcza wskazuje jednoznacznie na istotne różnice polityczne między prowincją i dużymi miastami. Nacjonalistyczna prawica jest relatywnie słaba w miastach, natomiast potężna na prowincji. To, czego lewicowcy zdają się nie rozumieć, świetnie rozpoznał najinteligentniejszy przedstawiciel polskiej prawicy. Oddajmy głos Rafałowi Matyi: „Ścisłe powiązania między lokalną władzą a Kościołem. Urzędnik mówiący na otwarciu mostu: »Jakże to piękne, że most św. Kingi połączy rondo bł. Stanisława z rondem Jana Pawła II«. Czuje pan? Gdzieś jest ten moment, kiedy zaczyna mdlić. I wszystko fasadowe. Wiadomo – wszyscy to wiedzą! – że nic z tego nie jest na serio. Że to tylko schlebianie fasadowym gustom".

VIVA!

TOMASZ SEKIELSKI,
DZIENNIKARZ

Jak się pracuje z bratem?

– Niełatwo na to odpowiedzieć. Bywały trudne chwile, gdy mocno się kłóciliśmy. Marek odpowiadał za stronę produkcyjną i techniczną i za pilnowanie budżetu, a ja jestem artystą, który ma swoje wizje. Momentami mieliśmy sprzeczne interesy. Marek niechętnie, ale pewnie przyzna, że dobrze się stało, iż wyśrubowałem poziom tego filmu i że się o to spierałem. Ale gdyby nie on, bylibyśmy w dużym deficycie, więc dobrze, że czasami mnie hamował w artystycznych zapędach. Jest młodszy o cztery lata, ale bardzo się z nim liczę.

Twój STYL

KATARZYNA DOWBOR,
DZIENNIKARKA POLSATU

To był straszny cios. Utratę pracy przeżyłam bardziej, niż się wtedy komukolwiek przyznawałam. Przez 30 lat gmach TVP był moim drugim domem, a w trudnych momentach nawet pierwszym. Gdy przeżywałam kryzys w związku albo się rozwodziłam, od problemów uciekałam w pracę. Kiedy dostałam wypowiedzenie, zastanawiałam się, czy będę mogła jeszcze przejechać ulicą Woronicza… Mogę. Nie patrzę za siebie, tylko do przodu. Mama mnie nauczyła, żeby się nad sobą nie użalać. Powiedziałam sobie: Tak jak nie ma ludzi niezastąpionych, tak nie ma niezastąpionych miejsc pracy".

Wykwintne dania koniecznie na luksusowej zastawie. Stół z miejscem dla prezydenta Trumpa, przygotowany na uroczystą kolację z księciem Karolem – Winfield House w Londynie, rezydencja amerykańskiego ambasadora.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

MICHAŁ RUSINEK O POLAKACH

Jesteśmy bezdennie patriarchalnym społeczeństwem. Potwornie zakompleksieni i antyinteligenccy.

ROBERT BIEDROŃ O SOBIE

Ludzie chcą się przytulać do mnie. Skracanie dystansu to moja specjalność.

JANUSZ ROLICKI O WŁADYSŁAWIE KOSINIAKU-KAMYSZU

Teraz liczy na wdzięczność Kościoła. Tyle że ten ma już sprawdzonego partnera w postaci PiS.

LUDWIK DORN O RYSZARDZIE CZARNECKIM

To jest polityczny wycieruch, który opiewał Leppera.

GRAŻYNA STANISZEWSKA O ZEMŚCIE

Zemsta byłaby czymś najgorszym. Agresja i odwet zawsze rodzą następną agresję i następny odwet.

ARTUR ANDRUS O SOBIE

Jestem typowym słoikiem. Kiedy wracam od mamy z Bieszczad, przywożę wekowane i mrożone jedzenie, np. gołąbki z farszem ziemniaczanym.

MAGDA MOŁEK O ADOPCJI

Adoptowałam córkę. Mam teraz dwóch synów i córkę.

EDYTA BARTOSIEWICZ O NOWEJ PŁYCIE

Jestem w bardzo rewolucyjnym nastroju i czuję, że zaczynam wszystko od początku.

KRZYSZTOF HOŁOWCZYC O SOBIE

Byłem bezwzględnym skurwysynem, który widział tylko jedno – osiągnąć cel. Zobaczyłem, że staję się smutnym gościem, od którego ludzie się odwracają.

REMIGIUSZ MRÓZ O MIEJSCU NA MIŁOŚĆ

Miłość zawsze sama zrobi sobie tyle miejsca, ile potrzebuje.

MONIKA BRODKA O DOTYKU

Dotyk może działać cuda i w stanach stresowych lubię się przytulać do moich bliskich.

STANISŁAW SOYKA O WARSZAWIE

To jedyne miasto w Europie z taką mnogością stylów architektonicznych. Tutaj jest tyle różnych Warszaw…

eprasa.pl 2531abbedc

Słoń syty i małpa cała

Niemiecki Circus Roncalli jako pierwszy na świecie zastąpił zwierzęta hologramami. Dzięki systemowi projektorów widzowie mogą podziwiać popisy m.in. wirtualnych słoni, małp i koni. Cyrk istnieje od 1976 r. i wcześniej wykorzystywał w pokazach wiele tresowanych zwierząt. Decyzja o cyfryzacji programu pozwala z nich zrezygnować, czego oczekiwała bardziej wrażliwa etycznie część potencjalnej publiki, bez szkody dla *show*. Ale cyrk!

Bez dywidendy z procentów

Największy fundusz emerytalny w Norwegii, KLP, sprzedał warte ok. 320 mln dol. udziały firm, które czerpią więcej niż 5% zysków ze sprzedaży alkoholu lub organizowania hazardu. Dyrektor zarządzający funduszu, Sverre Thornes, podkreślił, że w odpowiedzialnym korzystaniu z tego rodzaju przyjemności nie ma niczego złego, ale zaraz dodał, że uzależnienie od nich ma poważne negatywne konsekwencje dla jednostek, rodzin i społeczeństwa. KLP nie zamierza także inwestować w firmy, które zarabiają na pornografii. Ciekawe, w co zainwestują swoje emerytury sami norwescy seniorzy.

Czy leciał z nami uczniak?

Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych po przeprowadzeniu wewnętrznego dochodzenia oficjalnie odniosły się do sprawy, która rozpalała wyobraźnię internautów. Wojskowi stanowczo wykluczyli, by ułożenie się smug kondensacyjnych na niebie w okolicach Phoenix w kształty przypominające penisy mogło być efektem celowego działania pilotów. Zapewniają, że manewry wykonywane przez myśliwce F-35 wynikały z symulowanej potyczki powietrznej. Nas to nie przekonuje: w końcu uczniowie także najchętniej rysują wspomnianą część ciała w czasie lekcji...

Ktoś tu dał się ssskusić

Philomina Chieshe, księgowa z departamentu edukacji w stanie Benue w Nigerii, trafiła przed sąd. Nie pomogły tłumaczenia, że 35 mln nair (ok. 90 tys. euro) w gotówce nie zostało przez nią zdefraudowane, lecz połknięte przez tajemniczego węża. Śledczy nie dali temu wiary, choćby dlatego, że wspomniana kwota wypełniłaby kilka worków. Jest bardziej prawdopodobne, że rzeczony gad jedynie namówił kobietę do złego.

Nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu

81-letni emerytowany fryzjer Luigi Rimonti wyruszył samochodem z Newcastle do Rzymu, gdzie miał nadzieję zobaczyć papieża. Na miejscu zaniepokoił go nie tylko brak fontanny di Trevi, ale przede wszystkim to, że włoska metropolia bardziej przypominała niemiecką wioskę. Podobieństwo okazało się nieprzypadkowe: mężczyzna trafił nie do Romy, ale do Rom w okolicach Kolonii. Jak wyjaśnia, ślepo wykonywał polecenia nawigacji satelitarnej, błędnie nastawionej przez uczynnego pracownika stacji benzynowej.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 2531abbedc

Pogoda na loda! Goryle w zoo w Pradze i ostronos w zoo w Rzymie.

Kochaj albo spadaj

Jak co roku IKEA wypuściła limitowaną serię dywanów, zaprojektowanych przez cenionych twórców. Aby zabezpieczyć się przed cwaniakami chcącymi zarobić na ich odsprzedaży, belgijski oddział firmy wymógł na zainteresowanych kupnem udział w nietypowym teście. Za pomocą specjalnej elektronicznej opaski na głowę badano reakcje ich organizmów na prezentowane produkty. Jeśli nie wskazywały one na prawdziwą miłość i wzruszenie sztuką, z zakupu nici. Firma twierdzi, że żaden z cymesów nie pojawił się na rynku wtórnym, za to o niemal 40% wzrosła łączna sprzedaż dywanów.

Za zdrowie nauki!

Badacze z Uniwersytetu Missouri wprowadzili 156 osób w optymalny stan upojenia alkoholowego, a następnie prowokowali do różnych zachowań. Nagrania z imprezy dano do obejrzenia niezależnym obserwatorom. – Badani konsekwentnie informowali, że doświadczają wyższego poziomu ekstrawersji, stabilności emocjonalnej i otwartości na doświadczenia, jak również niższego poziomu sumienności. Tymczasem zewnętrzni obserwatorzy nie dostrzegali tak wyraźnych zmian w zachowaniu – poinformowała autorka eksperymentu Rachel Winograd. – Chcielibyśmy potwierdzić te odkrycia poza laboratorium: w barach, na przyjęciach i w domach – dodała.

FOT. FB/ANONIMOWYINTERNAUTA, RADUCH TWITTER (2), AFP/EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Natalia Czarnecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 2531abbedc

Świat nieograniczonej inwencji twórczej

Jubileuszowy wernisaż
ASPTTF i WSA
1999-2019

PATRONAT **PRZEGLĄDU**

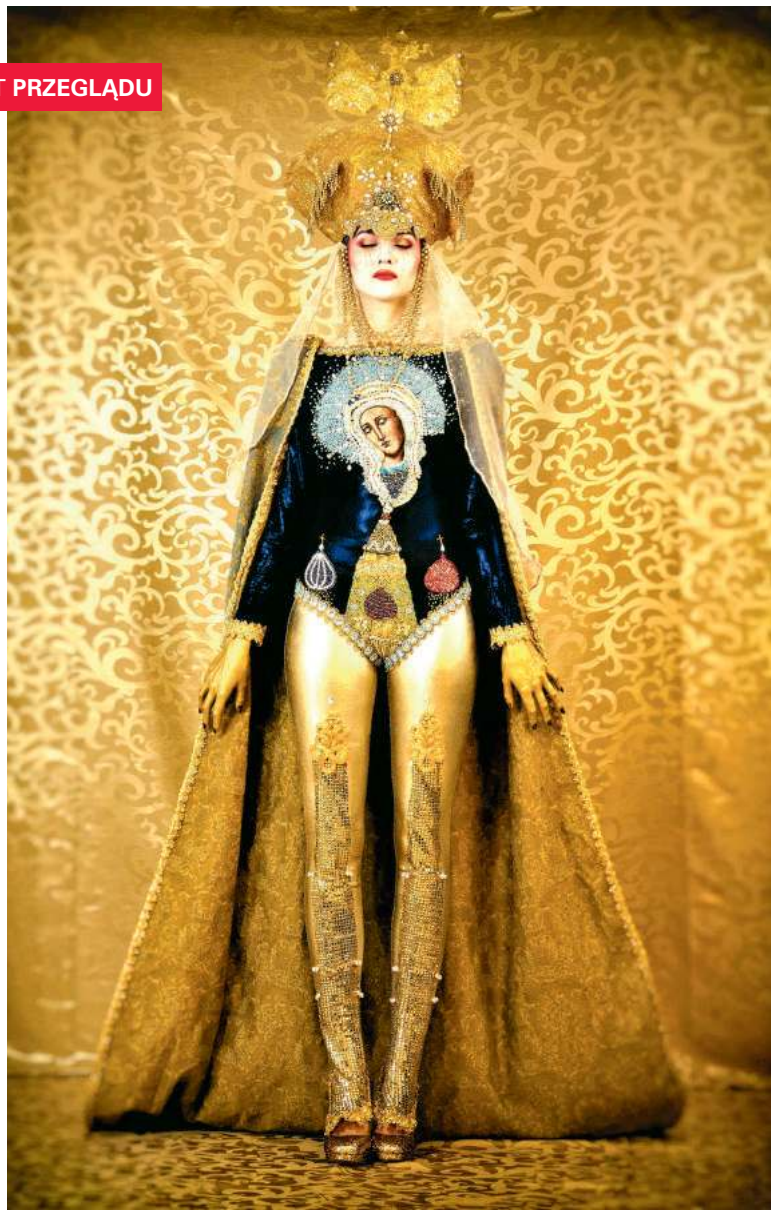

Prom Kultury
Warszawa, ul. Brukselska 23
do 27 czerwca

12 czerwca 2019 r. w warszawskim Promie Kultury na Saskiej Kępie odbędzie się wernisaż wystawy będącej przeglądem 20-letniej działalności Aktywnego Studium Plastycznego Technik Teatralno-Filmowych oraz 10-lecia istnienia Wyższej Szkoły Artystycznej w Warszawie. Prezentowane będą obrazy, fotografie, grafiki, filmy, kostiumy, rekwizyty oraz performance łączący charakteryzację, kostiumy, ruch sceniczny, światło i muzykę. Całość stanowi podsumowanie twórczości studentów i absolwentów uczelni z ostatnich lat.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2531abbedc

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

fot. Magda Hueckel

Capri – wyspa uciekinierów

reżyseria, scenariusz i scenografia: Krystian Lupa
specjalne pokazy work in progress 15, 16 czerwca, g. 19.00
premiera 12 października 2019

Nowy spektakl Krystiana Lupy, na podstawie utworów: Kaputt i Skóra Curzia Malapartego oraz Księga z San Michele Axela Munthego. Lupa chce przyjrzeć się przemianom współczesnej Europy i roli wielkich osobowości w procesach polityczno-społecznych. Akcję umieszczą na Capri, wyspie, na którą uciekali marzyciele, władcy i rewolucjoniści, m.in. cesarz Tyberiusz, Lenin, Gorki, George Bernard Shaw, czy Rilke.

Patroni medialni: wyborcza, wyborcza.pl WARSZAWA, co jest grane 24, AKTIVIST, Dwutygodnik

www.powszechny.com

SOPHIE COOKSON

STEPHEN CAMPBELL MOORE

TOM HUGHES

ZDOBYWCZYNI OSCARA®
JUDI DENCH

REŻYSERIA TREVOR NUNN

TAJEMNICE JOAN

PRAWDZIWA HISTORIA
FASCYNUJĄCEJ
KOBIETY - SZPIEGA

KSIĄŻKA W SPRZEDAŻY

FILM W KINACH OD **14 CZERWCA**

eprasa.pl 2531abbcd